ZNAK

MIESIĘCZNIK

CZY W KOŚCIELE MOŻLIWY JEST OTWARTY DIALOG ?

KRAKÓW

Rok XIX KWIECIEŃ (4) 1967

154

ZESPÓŁ

Hanna Malewska, Maria Morstin-Górska, Stefan Swieżawski, Stanisław Stomma, Jerzy Turowicz, Stefan Wilkanowicz, Jacek Woźniakowski, Jerzy Zawieyski, Władysław Stróżewski, Halina Bortnowska, Stanisław Grygiel

REDAKCJA

Hanna Malewska (redaktor naczelny), **Halina Bortnowska** (sekretarz redakcji), **Władysław Stróżewski, Stanisław Grygiel, Franciszek Blajda**

Adres redakcji: Kraków, Sienna 5, I p., tel. 256-84

Redakcja przyjmuje w godz. 13—15
Adres administracji: Kraków, Wiślna 12, I p., tel. 213-72
Administracja przyjmuje w godz. 9—13

Prenumerata krajowa: kwartalnie zł 36.—; półrocznie zł 72.—; rocznie zł 144.—

Prenumerata przez wpłaty na konto „Ruchu" Kraków, ul. Worcella 6, PKO No 4-6-777 albo przez urzędy pocztowe i listonoszy.

Prenumerata zagraniczna: kwartalnie zł 50.40; półrocznie zł 100.80; rocznie zł 201.60

Prenumerata przez wpłaty na konto PKWZ „Ruch" Warszawa, ul. Wilcza 46, PKO 1-6-100024.

Zamówienia i przedpłaty przyjmowane są w terminie do dnia 15-go miesiąca poprzedzającego okres prenumeraty

---

Cena zeszytu zł 12.—

Egzemplarze archiwalne „Znaku'' nabywać można w **Administracji miesięcznika „Znak", Kraków ul. Wiślna** 12 oraz w następujących księgarniach:
Katowice: Księgarnia św. Jacka, ul. 3 Maja 18; **Kraków:** Księgarnia Krakowska, ul. św. Krzyża 13; **Łódź:** Księgarnia „Czytaj", ul. Narutowicza 2; **Poznań:** Księgarnia św. Wojciecha, Pl. Wolności 1; **Warszawa:** Księgarnia św. Wojciecha, ul. Freta 48; **Wrocław:** Księgarnia Archidiecezjalna, ul. **Katedralna 6.**

Nakład 7.000+350 egz. Arkuszy druk. 9,75. Papier druk. sat. kl. V, 61X86 60 g. Maszynopis otrzymano 7. IV. 1967 r. Druk ukończono w maju 1967 r. Zam. nr 201 7. IV. 1967 r. R-55

Krakowskie Zakłady Graficzne, Zakład Nr 1, Kraków, Kazimierza Wielkiego 95

ZNAK
MIESIĘCZNIK

Rok XIX Nr 154 (4)
Kwiecień 1967
Kraków

ELŻBIETA SUJAK

DROGA KU DOJRZAŁOŚCI

Czas w którym literatura, sztuka teatralna i filmowa z okrutną bezwzględnością strąca z cokołów bohaterów, demaskuje człowieka porządnego, ukazuje klęski jego najlepszych usiłowań — czas, w którym żyjemy — nie jest pomimo wszystko czasem rezygnacji z ludzkiej wielkości. Wydaje się, że trzeba umieć poprzez wszystkie klęski odczytywać wołanie o człowieka dojrzałego, zdolnego do miłości — i to miłości nie będącej głosem instynktu, pożądania czy nawet solidarności ludzkiej wobec krzywdy.

Analizując losy tak bogatej, a jednocześnie rozbitej na dziesiątki kierunków i szkół naukowych psychologii, można dostrzec, że po latach zainteresowania głównie rozwojem dziecka, pomiarami sprawności psychicznych i typologią, śledzenia metodami analitycznymi nikłych śladów najwcześniejszych bodźców i urazów i ich destrukcyjnych skutków — wreszcie zaczyna interesować się rozwojem człowieka dorosłego, jego szansami zdobycia wielkości, jeszcze nie precyzując dokładnie ani w sposób powszechnie obowiązujący tego, co zarysowuje się w pojęciu pełni ludzkiej dojrzałości.

Podobnie pedagogika, koncentrując całą uwagę na oddziaływaniu formującym rozwój dziecka, bardzo po macoszemu traktuje problem wychowania poza dzieciństwem, a zwłaszcza proces samowychowania. W tej ostatniej dziedzinie tylko religie domagające się doskonałości etycznej człowieka wykształciły własne systemy wychowawczo-ascetyczne. Szczególnie ascetyka katolicka to system naukowy zwarty i rozbudowany, stanowi on dla kilkudziesięciu pokoleń zakonników i kapłanów niemal jedyną dostępną psychologię, jedyną teorię samowychowania.

Nasuwa się pytanie, czy w chwili obecnej, a zwłaszcza w sytuacji zaangażowania człowieka w rozwój świata, tak jak to zakłada *Konstytucja duszpasterska o Kościele w świecie współczesnym* mówiąc: „człowiek bowiem pracując nie tylko przemienia rzeczy i spo-

łeczność, lecz doskonali też samego siebie. Uczy się wielu rzeczy, swoje zdolności rozwija, wychodzi ze siebie i ponad siebie..." — ten system samowychowania, jaki głosi klasyczna ascetyka, może wystarczyć.

Nie chodzi tu oczywiście o krytykę ascetyki, raczej o konfrontację, albo tylko prezentację kilku myśli na temat rozwoju człowieka dorosłego, zaangażowanego swym życiem w rozwój świata. Zresztą trudno mówić o konfrontacji, operując innym językiem, innymi kategoriami pojęć nawet nie będącymi wprost pojęciami szkolnej psychologii. Po prostu chodzi o trochę refleksji o ludzkiej dojrzałości.

Nie można stać się człowiekiem dojrzałym bez własnego świadomego udziału w procesie dojrzewania. Jednocześnie jednak nie jest to ściśle zaplanowana droga do określonego celu. Nie czuje się swojego dojrzewania, tak jak też i nie można o sobie powiedzieć, czy i kiedy się tę dojrzałość osiągnęło. Znajduje się ona jakoś „po drodze" — tak jak niektórzy pisali o szczęściu, że znajduje się je w życiu raczej „po drodze", aniżeli dążąc do niego.

Wśród rozważań o wychowaniu wytworzył się pewien powszechny nawyk myślowy, który zakłada aktywność podmiotu wychowującego i bierność przedmiotu wychowywanego. Mówi się nieraz o wynikach wychowania niemal jak o wynikach procesu produkcyjnego.

Tymczasem poza wczesnodziecięcą tresurą (świadomie tak nazwaną, gdyż chodzi tu o wykształcenie odruchów warunkowych), której wyniki streszcza popularne pojęcie „kindersztuby", niemal wszystko co jest wychowaniem daje się streścić w może trochę zaskakującym określeniu p r o p o z y c j i. Prawie wszystko, co przynosi wychowankowi wychowawca jest tylko propozycją: ukazuje wartości, proponuje ich przyjęcie jako wartości, proponuje również pewien zhierarchizowany porządek tych wartości. Jest to jednak ogromnie wiele, jeśli się zważy, że wewnętrzna stała hierarchia wartości jest rdzeniem charakteru człowieka dojrzałego. Kształtowanie się tej wewnętrznej hierarchii wartości w ludzkim dojrzewaniu podlega wpływom przeżyć emocjonalnych i kontaktów uczuciowych z ludźmi, wiąże się z konstytucjonalnie dominującymi potrzebami i uzdolnieniami, wrodzoną i nabytą wrażliwością na określone kategorie wartości. Tworzący się w procesie dojrzewania charakteru system wartości obejmuje zarówno wartości materialne, jak kulturalne, ideowe, a więc nadrzędne wobec ludzkiego „ja", a w konsekwencji życia wymagające podporządkowania im potrzeb nawet tak osobistych, jak dobre samopoczucie, zaspokojenie głodu popędowego i uczuciowego itp.

Aby takie podporządkowanie było możliwe, system wartości musi zostać przez człowieka świadomie zhierarchizowany i na trwałe akceptowany. Właśnie ta konieczność akceptacji świadomej sprawia,

że wychowanie stanowi zaledwie propozycję jakiejś reprezentowanej, czy wyznawanej przez wychowawców hierarchii wartości. Choćbyśmy optymistycznie mówili, jak to się nieraz czyta, o „wpajaniu wartości", w gruncie rzeczy chodzi o sugestię — tym silniejszą, im bardziej proponowany wychowaniem system wartości jest przez wychowującego wewnętrznie przeżyty, tym zaś słabszą, czasem zupełnie nieprzekonywającą czy wręcz żałosną, im bardziej sprzeczna z nim jest postawa osobista wychowawcy, oraz oczywiście jego własna wewnętrzna hierarchia wartości.

W najlepszym, z punktu widzenia wychowawcy, razie proponowany system wartości zostanie przez wychowywanego przyjęty za własny. O wiele częściej proponowany system wartości podlega rewizji, czasem wręcz odrzuceniu, a wychowywany człowiek buduje swoją własną hierarchię wartości. Jest to już proces samowychowania — nie zawsze jako taki w pełni uświadomiony. Może właśnie dzięki temu wychowankowie przerastać mogą swoich wychowawców, wyrastając ponad wyznaczony cel wychowania, i chyba dzięki temu możliwym się stał rozwój ludzkości w dziedzinie moralności i kultury.

Trwałość wewnętrznej hierarchii wartości jest jedną z zasadniczych cech dojrzałej ludzkiej osobowości. Wierność tym wartościom staje się sprawą sumienia, które żywo reaguje na każdą zdradę wartości wyższej na rzecz niższej. Prawdziwy upadek stanowi jednak nie taka pojedyncza zdrada — właśnie przeżyta jako zdrada — ile przestawione wartości w ich hierarchii, degradacja wartości wyższych, która stanowi początek procesu regresji osobowości, jedynej rzeczywistej katastrofy wewnętrznej człowieka.

Drugą z cech dojrzałości ludzkiej jest w dziedzinie uczuciowości stopniowe najpierw zrównoważenie się w życiu psychicznym uczuć związanych z własnym „ja" z uczuciami wobec innych ludzi, a następnie trwała dominacja uczuć heteropatycznych (skierowanych ku innym) nad autopatycznymi. I tej dojrzałości nie nabywa się automatycznie, stanowi ona wynik długiego procesu i licznych konfrontacji. Proces ten oznacza jednocześnie przejście od typowej dla niedojrzałych postawy biorcy, do postawy dawcy. W subiektywnym przeżyciu testem takiej postawy jest radość, która u niedojrzałych jest odpowiedzią na otrzymywanie, u dojrzałych zaś towarzyszy udzielaniu świadomości, że się jest komuś potrzebnym.

Punktem krytycznym w tym procesie dojrzewania, grożącym utrwaleniem się na całe życie, jest moment przejściowy w prawidłowym rozwoju, jest to moment przeżywany jako radość zdobywania: w gruncie rzeczy ciągle jeszcze radość brania, ale już nie dotycząca otrzymywania. Wzmożone przeżycie własnej wartości, towarzyszące zdobywcy, kryje w sobie właśnie zagrożenie utrwalenia się postawy

biorcy i zdobywcy, którego otrzymywanie, jako forma zależności upokarza, a który nie osiągnął radości udzielania. Przejście przez ten próg dojrzewania nie jest łatwe. Wymaga porażki dobrze przeżytej, niekiedy wręcz klęski, bolesnego zderzenia z granicami własnych możliwości lub milczącą obojętnością świata. (Można zaryzykować przypuszczenie, że dlatego trudniej dojrzewać tzw. dzieciom szczęścia — zbyt obdarzanym i bardziej utalentowanym, zdobywającym łatwo i wiele).

Psychologia nazywa ten proces dojrzewania zwróceniem kierunku dążeń z ksobnego na zewnątrz, mówi o zmianie postawy z egocentrycznej na rzeczową, lub społeczną. Dotyczy to również procesów poznawczych, a zwłaszcza interpretacji poznawanej rzeczywistości, przejścia od pytania „czym to jest dla mnie" do „czym to jest obiektywnie". Podobnie w odbiorze sztuki możliwe jest odejście od prymitywnej formy przeżywania przez utożsamienie.

Pomiędzy tworzeniem się stałej hierarchii wartości a dojrzewaniem uczuciowym istnieje głęboki związek o cechach — chciałoby się powiedzieć — „sprzężenia zwrotnego". Wbrew przyjętym przekonaniom, sąd człowieka o wartości nie jest tylko dziełem rozumu, ogromną rolę grają uczucia, nie chodzi tylko przecież o „wartości, które chcę mieć", ile raczej o „wartości, którym chcę służyć". Toteż w tworzeniu wewnętrznej hierarchii wartości istoty głos mają uczucia. I chyba nie łatwo ustalić, co człowiek osiąga wcześniej i co bardziej decyduje o jego dojrzałości: rozwój uczuciowości czy wewnętrzna skala wartości.

Przyjmując wielotorowość procesu dojrzewania osobowości warto przyjrzeć się jeszcze jednemu z tych torów, a mianowicie stopniowo utrwalającej się przewadze potrzeby twórczości nad potrzebą własnego rozwoju. Obie te potrzeby przejawiają się w życiu psychicznym człowieka od początku, przy wieloletnim dominowaniu potrzeby rozwoju, początkowo zaspokajanej odruchowo i spontanicznie, a dopiero w okresie młodzieńczym w pełni świadomie. Potrzeba twórczości nie jest obca nawet dziecku, które przeżywa żywą radość z wszystkiego, co „samo zrobiło". Dopiero jednak dojrzała osobowość cechuje się pełną i trwałą dominacją tej potrzeby. „Twórczość" trzeba tu jednak pojąć jak najszerzej, jako zaangażowanie całym sercem w dzieło, przedmiot pracy: dom, który się buduje, podłogę, którą się szoruje, atmosferę gniazda rodzinnego. Jedną z najpiękniejszych form twórczości ludzkiej staje się tak właśnie pojęte i traktowane macierzyństwo i ojcostwo. Testem sprawdzającym realizację potrzeby twórczości jest zaangażowanie w dzieło czy służbę bez względu na osiągane korzyści oraz stopień uznania czy jakkolwiek pojęty awans społeczny. Właśnie w oddaniu, z jakim człowiek pełni swoją służbę — realizuje się najpokorniejsza forma twórczości, akceptu-

jąca dla siebie rolę pośrednią, tylko współdziałającą w tworzeniu dzieła wspólnego, lub służba na rzecz twórczości drugiego człowieka.

Istotnym w linii życiowej człowieka dojrzałego jest zaprzestanie „wspinania się" po drabinie społecznej, zdobywania dowodów uznania, czy angażowania się we współzawodnictwo w zakresie sprawności. Rozwojem sprawności kieruje już tylko wymaganie, jakie stawia sama twórczość. Wydaje się potwierdzać tę prawdę mądrość narodów, która stworzyła zasadę powoływania czy wybierania na najwyższe stanowiska tych, którzy będąc najbardziej ich godni, pewnie wcale by się o nie nie ubiegali. Troska i walka z własnym ograniczeniem o doskonałość dzieła czy służby staje się — w myśl „sprężenia zwrotnego" — metodą doskonalenia się twórcy.

Psychologia zresztą nie używa pojęcia doskonałości, obciążonego pejoratywnym zabarwieniem w słowie „perfekcjonizm" — tak, jak również nie wypracowano metody rozwoju człowieka dorosłego, metody samowychowania. Jedynie dane z obserwacji tego procesu mogą stać się jakąś sugestią w tym kierunku.

Sam proces rozwoju człowieka nie przebiega tak, jak zwykło się widzieć np. rozwój intelektualny w postaci ciągłego narastania sumy wiadomości i jednocześnie kształtowania się ich syntezy w postaci poglądów. I tu rozwój zresztą kryje czasem niespodzianki w postaci skoków rozwojowych, przeżywanych jako odkrycia, czy nagłe zrozumienia prawd ogólnych — które zresztą nie są niczym innym jak końcową fazą ukrytej przed świadomością w swym toku syntezy doświadczeń intelektualnych.

W rozwoju charakterologicznym linia skokowa zdaje się być zasadą. Skok rozwojowy dokonuje się z reguły w sytuacjach konfliktowych, w których człowiek musi dokonać ogromnego wysiłku konfrontacji wartości, niekiedy heroicznego aktu wyboru, niejednokrotnie przekroczyć swój dotychczasowy, a w odnośnej sytuacji niedostateczny stopień przystosowania, rozróżnienia wartości, zdolności rezygnacji, samozaparcia, sprawności. Obrona własnej hierarchii wartości, jakim jest każdy akt konfrontacji i wyboru na rzecz wierności, utrwala ją i pogłębia każdorazowo przeżycie wartości najwyższych. Ile niekiedy kosztuje człowieka sprostanie zadaniu, przyjęcie i rozwiązanie sytuacji konfliktowej, choć przynosi właśnie skok rozwojowy — wiele mogłaby powiedzieć medycyna, gdyby lekarze zainteresowali się życiem swoich pacjentów pod tym kątem. Właśnie medycyna stworzyła na pograniczu psychologii pojęcie dezintegracji psychicznej — i właśnie dezintegracji pozytywnej w sytuacjach, w których rozgrywa się ludzka szansa rozwoju. Jednakże rozpoznanie związku cierpienia człowieka z jego wewnętrzną sytuacją psychiczną stawia przed lekarzem zadanie, do któ-

rego nie przygotowuje go żadna akademia medyczna i żadna w swym aktualnie zatwierdzonym programie specjalizacja. Toteż cena ta pozostanie ukryta jeszcze długo zarówno wobec tego, który ją płaci, jak i tych, którzy mają możność śledzić czyjeś zmagania o wypełnienie dostrzeżonego w życiu zadania. W naszkicowanym procesie dojrzewania człowiek nie koncentruje swojej uwagi na samym procesie wypracowywania sprawności — sprawność rośnie pozornie samorzutnie, w miarę jak staje się potrzebna w procesie twórczym, w miłości, na służbie, w każdym ludzkim zaangażowaniu. Już to ostatnie spostrzeżenie akcentuje różnicę, między dojrzewaniem człowieka poprzez zaangażowanie w przyjęte na siebie zadanie życiowe, a ascetycznym systemem doskonalenia samego siebie, pojętego jako zwalczanie wad jednej po drugiej i nabywaniu sprawności nazywanych cnotami.

W zestawieniu z warunkami rozwoju człowieka poprzez zaangażowanie w służbę w ogólnoludzkim dziele przemiany świata, sugerowane przez metodę ascezy traktowanie świata i ludzi jako okazji do ćwiczenia się w cnotach, uparte stawianie zasady własnego rozwoju na pierwszym miejscu przed zasadą twórczości, egocentryzm, (np. metody szczegółowego rachunku sumienia) — zdaje się być utrwaleniem na całą drogę życia postawy młodzieńczej, tego okresu, w którym świeżo odkryta świadomość własnego rozwoju każe podejmować próby wzmożenia własnych sił przez ćwiczenie, współzawodnictwo — dopóki życie nie postawi przed młodym człowiekiem obowiązku służby lub twórczości, dopóki nie stanie się w jakimś punkcie świata potrzebnym albo nawet na przeznaczony sobie czas — niezbędnym.

Kiedy ludzka dojrzałość może zostać nazwana doskonałością?

Kiedy ludzkie zaangażowanie w służbę Bogu jako wartości najwyższej, kiedy ludzka wierność, ofiarność i miłość może zostać nazwane świętością? Czy opisana wyżej droga ludzkiego dojrzewania może prowadzić do świętości tak, jak ma prowadzić i zapewne doprowadziła wielu droga głoszona przez podręczniki ascetyki? Oto pytania otwarte — na które nie potrafi odpowiedzieć świecki obserwator życia i ludzkiego dojrzewania. Jak narazie — nieczęsto zdarza się spotkać człowieka prawdziwie dojrzałego — ciągle jeszcze zdaje się być niedość dostrzegalną szansa rozwoju przez tę formę samowychowania, która nie ma określonej „metody", prócz ustawicznej konfrontacji wartości i odczytywania zadania postawionego na dzień dzisiejszy. Zdaje się zapowiadać nową ascezę metoda rewizji życia, praktykowana we wspólnotach Małych Braci i Małych Sióstr Ojca Karola de Foucauld. Przecież jednak nie stanowi jeszcze odpowiedzi na pytanie postawione przez człowieka zaangażowanego w świat.

Elżbieta Sujak

JAN NIZWANDOWSKI

REFLEKSJE O MAŁŻEŃSTWIE

Tragedią chrześcijańskiej, a bodaj zwłaszcza katolickiej nauki o małżeństwie jest to, że tworzyli ją ludzie żyjący poza małżeństwem. Bycie małżeństwem, bycie mężem czy żoną, stanowi tymczasem szczególny sposób ludzkiego istnienia, do którego jedyny dostęp — jak zresztą we wszystkich sprawach wiążących się z istotnym przeżyciem egzystencji — wiedzie poprzez bezpośrednie doświadczenie. Doświadczenia — w jego żywej, bezpośredniej „naoczności" — nie zastąpi żaden opis, żadne sprawozdanie, żadne, choćby najbardziej intymne zwierzenie. Ktoś, dostatecznie wrażliwy, może na podstawie jakiegoś stosunkowo adekwatnego przekazu wywołać w sobie najwyżej w y o b r a ż e n i e czegoś analogicznego do opisywanego przeżycia, jeśli sam nigdy nie przeżył czegoś podobnego rodzaju. Twierdzenie to odnosi się absolutnie do wszystkich danych szeroko pojętego doświadczenia, ale nabiera ostrości tym bardziej, im trudniej dane doświadczenia pozwalają się intersubiektywnie przekazywać. Nie wiem jak doświadcza zieloności liścia mój sąsiad — choć mam prawo przypuszczać, że doświadcza jej t a k s a m o jak ja, skoro obaj na t e n l i ś ć patrzymy. Ale stokroć bardziej nie wiem, jakim przeżyciem dla kobiety jest moment wydania dziecka na świat, skoro sam, jako mężczyzna, nigdy czegoś analogicznego nie przeżyję.

*

Chrześcijańską naukę o małżeństwie tworzyli najczęściej ludzie, którzy świadomie wybrali sposób bycia wykluczający pewne właściwości, istotne dla sposobu istnienia małżeństwa. Wykluczenie tych właściwości musiało znaleźć usprawiedliwienie. Najłatwiej było wskazać na ich „niższość", potraktować jako zło konieczne, a ostatecznie — zohydzić. Właściwości te to przede wszystkim sprawy seksu. One to nabrały rangi naczelnej. Nie widziano innych istotnych różnic między byciem w małżeństwie i byciem poza małżeństwem. Ubóstwo, czy nawet posłuszeństwo, mogły być

dzielone w obu sposobach bycia — życie seksualne nie. Wobec tego z niego, albo z tego, co się z nim bezpośrednio wiąże uczyniono istotę małżeństwa. Tak zwane pytania „o istotę" były (i są) w gruncie rzeczy pytaniami o akcenty: „płodzenie" (wiadomo: konsekwencja pożycia seksualnego) czy „zaspokojenie namiętności" (bezpośredni skutek, cel, czy cecha (?) tego pożycia). Rozumowano mniej więcej tak: z jednej strony „wolno" — z drugiej „nie wolno". To jest różnica zasadnicza. Ale to, czego „nie wolno", musi być z istoty swej złe, a przynajmniej podejrzane. Wobec tego ci, którzy decydują się na celibat, wybierają — *ipso facto* — życie bezpieczniejsze, a równocześnie gwarantujące realizację jakiegoś programu maximum, w szczególności programu świętości, która musi od początku wykluczyć wszystko co „podejrzane". Ci natomiast, którzy postanawiają żyć w małżeństwie, narażeni są na nieustanne niebezpieczeństwa, a poza tym sami siebie skazali na realizację jakiegoś programu minimum. Żeby ich dusze ratować, trzeba obwarować tę niebezpieczną strefę zakazami. A najlepiej doprowadzić do tego, by możliwie rychło złożyli śluby czystości. Wtedy mają szanse wejść także na drogę uświęcenia. Tymczasem — o ile mi wiadomo — nie ma (poza św. Rodziną, oczywiście, ale to nie wchodzi w rachubę, bo tylko raz w historii się zdarzyło, że Panna porodziła Boga) w Kościele żadnego kanonizowanego małżeństwa. Małżeństwa żyjącego zgodnie z istotną naturą tegoż. Małżeństwa — a nie wdowy czy wdowca, ewentualnie quasi-małżonka po ślubach czystości.

Wydaje się, że czas najwyższy postawić tę całą koncepcję małżeństwa (podlaną jakże obficie manichejską wizją człowieka i indywidualną frustracją jej twórców) z głowy na nogi. Czas powiedzieć wreszcie, że małżeństwo, jak każdy inny sposób realizacji ludzkiego życia, jest pełnoprawną drogą wiodącą do świętości. Inaczej Chrystus nie ustanowiłby s a k r a m e n t u małżeństwa. Świętość jest podstawowym celem małżeństwa i — w konsekwencji — rodziny. Wszystko inne: wspólnota ciał i wspólnota ducha, wzajemne przenikanie się obu osobowości współmałżonków zarówno poprzez miłość i przyjaźń jak i poprzez fizyczne zbliżenia (które, n.b., nigdy nie są czysto fizyczne, skoro człowiek jest psychofizyczną jednością!) — jest temu celowi podporządkowane. Więcej: jest z góry nim uświęcone na mocy konsekwencji sakramentu, danego właśnie „z góry" — bo na początku drogi — i niejako „na wyrost".

Świętość jest darem indywidualnym. Nie ma świętości rodzin „jako takich" ani narodów „jako takich". Jeśli jest święta rodzina, to dlatego, że święty jest każdy jej członek. Jeśli święty miałby być naród, to tylko pod warunkiem, że n a j p i e r w stałby się świętym każdy jego przedstawiciel. Ale, choć indywidualna, świętość może,

a chyba nawet musi (poprzez Kościół) wypracowywana być także wspólnie. „Gdzie jest dwóch albo trzech...”. Małżeństwo jest jednym ze sposobów wspólnego zdobywania świętości — jako daru indywidualnego. Konkretnie: jest sposobem jej zdobywania poprzez realizację najpełniejszej z ludzkich form miłości. Sposobem łatwym — czy trudnym? Na pewno innym niż te, które doczekały się wielkiej i wspaniałej literatury ascetycznej i mistycznej. W małżeństwie obowiązują także umartwienia i asceza. Ale ci, którzy o tych sprawach pisali, nie mieli pojęcia, na czym ma polegać różnica między ascezą małżeńską a zakonną. Nie mogli mieć pojęcia, gdyż nie mieli d o ś w i a d c z e n i a małżeństwa. A bez tego można było bądź przerzucać formy ascezy zakonnej na małżeństwo — bądź tylko stwierdzić (poprzez negację) że jest ona inna. Jeśli inna — to może się zdarzyć, że żadna. Tak też mówiono... To prawda zresztą, że w małżeństwie wszystko stać się może przeszkodą w zdobyciu świętości. Ale równocześnie w s z y s t k o, absolutnie wszystko stać się może środkiem jej realizacji. Czyż tak nie jest zresztą i na innych jej drogach? Czyż pokora nie może przerodzić się w obłudę, a posłuszeństwo w nieodpowiedzialność?

To, co pozostaje w dyspozycji małżonków, przedstawia wartość sprzęgniętą ze szczególną odpowiedzialnością. Jest wartością niebezpieczną — ale przez to staje się jeszcze większą wartością. Użycie tych środków może prowadzić do dobra i do zła — ale rozeznanie bywa trudne, a biało-czarny schemat nie obowiązuje w konkretnych sytuacjach. Droga świętości małżeńskiej utożsamia się z drogą miłości, ale tożsamość ta nie jest statyczna lecz dynamiczna. W konsekwencji stosunek tej dynamicznej jedności może stać się zarzewiem konfliktowości niejednej sytuacji. Dziedzina seksu wchodzi integralnie i jak najpełnoprawniej w życie miłością. Obwarowana zakazami niejednokrotnie prowadzi do konfliktu tam, gdzie skądinąd, w naturalnym biegu rzeczy, można by go uniknąć. Wybrać miłość czy świętość? W tym pytaniu wyraża się cała paradoksalność stworzonej obecnie sytuacji. Jeśli wybieram miłość, biorę na siebie także ciężar winy i odpowiedzialności. Czy przez to wykluczam świętość? A może to właśnie jest świętość? Co to naprawdę znaczy: „duszę dać?”

*

Formułujący zakazy odwołują się często do natury ludzkiej. Do natury człowieka „w ogóle” *(animal rationale...)*, człowieka indywidualnego, a także człowieka żyjącego w małżeństwie. Niemało napisano już na temat wieloznaczności samego terminu „natura”. Zachodzi obawa, że w odniesieniu do najtrudniejszych spraw małżeńskich stosuje się go w czysto fizjologicznym, biologicznym znaczeniu.

Przy koncepcji małżeństwa, sprowadzającej jego istotę do spraw seksu, taka interpretacja natury jest jak najbardziej na miejscu! Dla manichejczyków seks był zły, gdyż był najbardziej ewidentnym przejawem „naturalności". Przestańmy wreszcie rozpatrywać człowieka, stworzonego na obraz i podobieństwo Boga (jak często zapominamy o tych słowach), w kategoriach natury! A jeśli już chcemy zachować ten termin, stwierdźmy w pierwszym rzędzie: do natury człowieka jako człowieka należy przede wszystkim miłość. Miłość jest jego powołaniem i jego sposobem bycia. Jej obowiązek podkreślany jest przez wszystkie wielkie religie świata. Miłość właściwa człowiekowi polega na tym, że c a ł y człowiek zdolny jest poprzez nią się przejawić. Cały wychodzi naprzeciw całemu człowiekowi, cały się jemu oddaje — i jego oddanie przyjmuje. Czy ludzka miłość przeciwstawiać się może ludzkiej świętości? Wydaje się, że jeżeli coś takiego zachodzi, mamy prawo szukać błędu wśród założeń koncepcji, która do tego doprowadziła.

*

Jest w życiu człowieka, chyba każdego człowieka, taki punkt, w którym zmienia się to, co trzeba nazwać *postawą*. Oczywiście trudno tu mówić o punkcie — takich „punktualnych" zdarzeń albo nie ma wcale, albo jest bardzo niewiele. Zauważamy zmianę, gdy jesteśmy już po „drugiej stronie" — i domyślamy się, że gdzieś musiała być granica. Chodzi o postawę wobec własnego szczęścia. Gdy się jest młodym, mówi się np. tak: „kocham Cię, nie wyobrażam sobie życia bez Ciebie, tylko z Tobą mogę być szczęśliwy". I to jest prawda. Może nawet prawda aktualna do końca. A jednak coś w tym właśnie się zmienia: zmienia się akcent, kładziony na „ja", na „moje", na „mogę" — na całą pierwszą osobę. Ona staje się już nieważna. Nieważne staje się *moje* szczęście. Promieniem wyobraźni mogę śledzić inne możliwości własnego szczęścia, inne związki i układy rzeczy. Ale to już jest tylko wyobraźnia czy fantazja, nie licząca się w obliczu aktualnego i realnego życia. Myślę innymi kategoriami. Żyję nie dla własnego szczęścia. Gdy o nim myślę, myślę właśnie nie o sobie, ale np. o żonie i dzieciach. Ich szczęście staje natychmiast na pierwszym planie. Instynktownie liczę się z nim i instynktownie wiem, w którym miejscu mógłbym je naruszyć. To nie jest nic bolesnego dla mnie: przeciwnie — kryje się w tym głębokie zadowolenie i radość. Gdy rodzice mówią, że żyją dla swoich dzieci, nie jest to frazes. To jest po prostu normalny sposób odczuwania. Normalny: a więc inne są nienormalne. W tym wszystkim nie ma żadnej zasługi — jak nie ma zasługi w zachowaniu się zgodnym z instynktem.

Rozszerzona więc zostaje sfera nie tylko tego, co moje — ale i tego, co jest mną. To, co zdawało się peryferiami, staje się centrum — centrum schodzi na krańce, na drugi plan, przestaje być ważne. Zmienia się hierarchia wartości i potrzeb. Zmienia się zakres odpowiedzialności i jej wyakcentowanie.

Rozszerzona zostaje radość o radość najbliższych i ból o ich ból. Przez przerwane granice przelewa się strumień przeżyć, jak krew tętniąca w jednym organizmie. Pojęcie wspólnoty tu właśnie nabiera najbardziej konkretnego, najbardziej dosłownego sensu. Myślę, czuję nie jako *ja* — a w każdym razie nie tylko jako ja — lecz jako *my*. Równocześnie wszystko to dzieje się i dokonuje we mnie. Dlatego zdarza się, że nie jestem w stanie przeżyć ani całości wspólnej radości, ani wielkości wspólnego bólu.

*

Jedność zasadza się na jedyności. Na jedyności jego i na jedyności jej. W każdym z nich jest coś absolutnie niewymiennego i nie dającego się porównać z czymś innym. Przede wszystkim: z kimś innym. Każde małżeństwo postuluje jedność, ale każde realizuje ją w swoisty, właściwy sobie sposób. Wydaje się zaś, że jedność spełnia się tym bardziej, im bogatsze są relacje oparte na momentach jedyności każdej ze stron. Jeżeli jedno dla drugiego jest w zasadniczych aspektach jedyne — jest tym samym konieczne i niewymienne.

Ale właśnie moment jedyności jest czymś najbardziej narażonym na niebezpieczeństwo. Gdy ufundowany jest w głębi, która została prawdziwie dostrzeżona, niebezpieczeństwo jest mniejsze niż wtedy, gdy znajduje się niejako na powierzchni, narażony na ciągłe konfrontacje i porównywania. Czyż nagle nie może się okazać, że ktoś inny jest zręczniejszy, przystojniejszy, zgrabniejszy? Porównania zaczynają schodzić do coraz głębszych, coraz bardziej indywidualnych i istotnych warstw. Czy nie jest mądrzejszy, szlachetniejszy, lepszy? Więc ten uznany za jedynego nie jest jedyny? Więc może nie jest jedyny także d l a m n i e? Podważanie jedyności dokonuje się w całym jej zasięgu. Tym samym, niepostrzeżenie nadwerężona zostaje jedność.

I chyba nie można już o niej mówić, gdy wreszcie okaże się, że któryś z partnerów nie jest już w żadnym aspekcie jedyny. Jedność, która nie zasadza się na elementach powiązanych ze sobą koniecznie, a więc: nawzajem jedynych, przestaje być — niestety — jednością istotną.

Jedyność jest wartością, którą trzeba zdobywać poprzez odkrywanie jej coraz głębiej. Zachwianie się jednej jej strony może stać się w ten sposób okazją do wykrycia innych, o wiele bardziej

istotnych. Na tym polega chyba prawidłowość rozwoju: przez odrzucanie nieistotnego dochodzić do istoty, coraz wyraźniej i pełniej warunkującej autentyczną jedyność — i jedność. Droga może mieć wiele zakrętów i niebezpieczeństw. Chodzi o to, by w ostatecznym rozrachunku prowadziła naprzód — do tego na czym naprawdę można się oprzeć i budować.

*

Na czym polega różność ascezy małżeńskiej wobec ascezy „klasycznej", znajdującej swój najpełniejszy wyraz w ascezie zakonnej? Wydaje się, że w ascezie małżeńskiej akcent pada raczej na g o t o w o ś ć przyjęcia najróżniejszych umartwień, aniżeli na a k t u a l n o ś ć ich nakładania i wybór ich form. Przyjęcie gotowości jest równie dobrowolne jak samo nałożenie na siebie odpowiednich rygorów dyscyplinarnych, wymaganych np. przez określoną regułę. Reguła ustala dość dokładnie granice ascetycznych praktyk, zarówno zbiorowych jak i indywidualnych. Nikt nie zaprzecza, że są one surowe. Ale wskutek tego, że są określone, odebrana im zostaje właściwość nieoczekiwania, zaskoczenia. W małżeństwie gotowość przyjęcia umartwień rozszerza się do gotowości poddania się losowi we wszystkich jego niespodziankach — do przyjęcia wszystkiego. Jest gotowością na dobre i złe. Oczywiście: także i tu jest jakaś teoretyczna granica bólu, niepowodzenia, klęski. W praktyce przybliżać się ona może do kresu ludzkiej wytrzymałości. Od tego, co tu się dzieje nie ma żadnej ucieczki. W grę wchodzą sprawy samego ż y c i a.

Różnica więc polega ostatecznie na tym, że to, co nazywamy tu niezbyt szczęśliwie umartwieniem, teoretycznie może, lecz nie musi przyjść. To jest zapewne jakiś plus w stosunku do tych form ascezy, w których wszystko jest od początku, z góry dokładnie określone. Ale z drugiej strony owo m o ż e jest w stanie zaktualizować się w czymkolwiek, a więc i przybrać kształt czegoś najgorszego. Zdrada, choroba, wydanie na świat kalekiego lub niedorozwiniętego dziecka... I wówczas także musi być przyjęte. Już nie może — lecz musi. Przychodzi czas zaktualizowania się g o t o w o ś c i, która założona była na początku. Niech nikt się nie łudzi, że ten czas go ominie.

*

Wszystko sprowadza się ostatecznie do tego, że są we dwoje. Pismo mówi: „dwoje w jednym ciele". Dwoje, choć w całości, która ich jednoczy i rozpościera się nad nimi jak coś nadrzędnego. To nie jest przypadek, że owo jedno utożsamione zostało z ciałem.

Ciało jest tym konkretem, który leży u podstaw i na którym można i trzeba budować jedność. Dlatego asceza odnośnie do samego ciała, a więc i aktu seksualnego — zwłaszcza wtedy, gdyby chciało się go sprowadzać do fizjologii (owo nieszczęsne „uśmierzanie namiętności") — pozostanie czymś problematycznym, jeśli nie wręcz fałszywym w założeniu. Asceza, umartwienie musi dotknąć człowieka w jego ostatecznej indywidualnej osobowości — inaczej nie ma sensu. Tylko ta może dokonać się w całkowitej wolności i dobrowolności. A do jej istoty należy, że musi dokonać się tylko we własnym imieniu. Odnosi się więc do tego, co pozostanie ostatecznie odrębne mimo jedności, choćby najpełniejszej, najbardziej wszechstronnej, której oczywiście nie można ograniczać do ciała: to byłby absolutny nonsens. Człowiek jest człowiekiem i ponosi konsekwencje tego stanu. Ostatecznie odrębna pozostaje osobowość każdego z małżonków. Ale właśnie tu zaczyna się droga umartwienia.

Do istoty osobowości, pojętej jako coś absolutnie indywidualnego, należy pewna szczególna izolacja czy „separacja": zamknięcie się w sobie, wejście w siebie — stworzenie tajemnicy, do której nikt nie ma dostępu. Otóż w małżeństwie to „święte świętych" zostaje otwarte dla drugiego, otwarte i — co najważniejsze — oddane poniekąd w jego ręce. Małżonkowie są względem siebie absolutnie nadzy. Teraz każdy gest, każde słowo, każda myśl niemal staje się najzupełniej jawna, odkryta dla drugiego. Może zostać tylko odczytana, odkryta; może zostać przyjęta z miłością. Ale także — z nienawiścią.

Ile miłości, taktu i dobrej woli potrzeba, by nie dotknąć drugiego niechcący. To wtedy, gdy dwoje ludzi „dociera się" nawzajem, właśnie: dotyka, opukuje, by lepiej się poznać. Poznanie wzajemne jest najważniejsze, bez niego nie ma miłości świadomej, najwyżej przeczuta. Ale poznania nie ma bez otwarcia, bez dobrowolnego otwarcia się drugiemu. Otwarcie zaś rozbraja — im bardziej jest otwarciem.

*

Ubóstwo, posłuszeństwo, czystość.

Te cnoty, tak istotne dla wszelkiej ascezy, znajdują swój wyraz w małżeństwie, choć zrazu też bardziej pod postacią gotowości, niż praktyki zbliżonej do zakonnej.

Nie wchodząc w trudną, wieloaspektową praktykę ubóstwa, przypomnijmy tylko, że nie utożsamia się ona z biedą, chociaż i na nią trzeba być przygotowanym. Naprawdę chodzi jednak o zdolność rezygnacji ze wszystkiego, absolutnie wszystkiego, co w jakikolwiek sposób własne — zarówno materialnie, jak i du-

chowo. Raz jeszcze w nowym świetle wraca problem celu małżeństwa: czy wolno by rezygnować z tego wszystkiego, gdyby cel nie był najwyższy? Z własnych ambicji, aspiracji, marzeń o sławie, uznaniu, satysfakcji? A także: z oszczędności gromadzonych na własną „czarną godzinę", z przedmiotów zbieranych dla własnej przyjemności... A w gruncie rzeczy — bo ostatecznie o to chodzi — z własnego ja?

Czystość małżeńska, z którą tyle kłopotu mają teologowie moralni i spowiednicy. A może i w niej chodzi o coś innego niż się na ogół sądzi? Mianowicie: o czystość intencji, podporządkowujących wszystkie sprawy ostatecznemu celowi? Czystość zaś w dziedzine seksualnej nie jest celem, lecz środkiem. Winna służyć miłości — nie miłość jej. Inaczej dojdziemy do nonsensów, stawiających na głowie całą hierarchię wartości. Zresztą i tu znajduje zastosowanie nasze przeświadczenie o gotowości jako istocie ascezy małżeńskiej. Jeśli jednym z przejawów czystości jest powstrzymanie się od stosunków seksualnych, to nie należy się obawiać, by gotowość przyjęcia i tego żądania nie miała być wystawiona na próbę życia.

Jest gotowość autentyczna i gotowość nieautentyczna. Druga nie wytrzymuje wypełnienia, przeradza się w swoje przeciwieństwo. Zamiast akceptacji pojawia się bunt, mogący prowadzić do zerwania i odejścia. Fałszywa gotowość wyklucza się z odpowiedzialnością: po tym bodaj najłatwiej ją rozpoznać.

Autentyczna gotowość znajduje swój wyraz w realnym fiat. Czeka, by się spełniło — i by sama przestała już być gotowością. Przeradza się wówczas nie w swoje przeciwieństwo, lecz przechodzi z możności do aktu. To tak łatwo i pięknie powiedzieć: „co przyniesie los". Gdy wreszcie przynosi, gdy się staje, człowiek budzi się w przerażeniu. Co się stało naprawdę może teraz trwać... A odznacza się tylko tą jedną właściwością, która sprawia, że nie ma już żadnego odwołania: jest rzeczywiste.

Miłość rodzi odpowiedzialność. Jeśli nigdzie poza małżeństwem miłość nie może przybrać swej najpełniejszej — w ludzkim wymiarze — formy, nigdzie nie osiąga jej także, w równie wysokim stopniu, odpowiedzialność. Odpowiedzialność wzięta za kogoś i za coś, pozostaje także w istotnej relacji do tego, przed kim i przed czym ją się ponosi — choćby tym „kimś" lub „czymś" miałbym być ja sam, moje sumienie. Postawa, która obejmując pierwszy moment odpowiedzialności (odpowiedzialność „za") i nie przestając być odpowiedzialnością „wobec", zwraca się przede wszystkim wprost ku temu do kogo (czego) się odnosi — nazywa się troską. Odniesienie ku jest tu tak ścisłe, że to, o co się troszczę, mam prawo nazwać swoją własną troską. Małżeństwo jest jedynym spo-

sobem istnienia, który podejmuje gotowość otoczenia troską tego, czego istnienie w całości i bez reszty od tej troski zależy. Nigdzie poza nim troska nie wypełni się w tym najwyższym wymiarze. Wszędzie poza nim jest przejawem odnoszenia się człowieka do siebie samego lub ludzi dorosłych do siebie. Tutaj przedmiotem troski staje się człowiek, który jeszcze nie jest w stanie zatroszczyć się o samego siebie — dziecko, i to nie od momentu narodzenia, lecz poczęcia. Troską staje się samo życie w swym najpełniejszym wymiarze.

*

Właściwe rozwiązanie problematyki małżeństwa zawisło od poprawnego wywiedzenia jej z doświadczenia oraz od oparcia jej na prawdziwej teorii człowieka. Jak długo będziemy mówili o ciele i duszy, a nie o cielesno-duchowym człowieku, jak długo będziemy przeciwstawiali miłość cielesną miłości duchowej zamiast widzieć po prostu miłość l u d z k ą — nie znajdziemy drogi wyjścia spomiędzy Scylli fizjologizmu i Charybdy angelizmu.

Św. Tomasz pisał: „Materia cielesna otrzymuje od duszy to istnienie, dzięki któremu dusza jest samoistna. Z tej zaś materii cielesnej i z duszy obdarzonej umysłem p o w s t a j e j e d n o ś ć, tak że to i s t n i e n i e c a ł e g o b y t u z ł o ż o n e g o j e s t z a r a z e m i s t n i e n i e m s a m e j d u s z y" (*Summa Theologiae*, I, 76, 1 ad 5). „Dusza obdarzona umysłem obejmuje więc wirtualnie wszystko, co przysługuje zmysłowej duszy bezrozumnych zwierząt i wegetatywnej roślin. Podobnie więc, jak płaszczyzna ograniczona pięcioma bokami nie jest czworobokiem dzięki jednej figurze, a dzięki innej znów pięciobokiem (figura czworoboku byłaby zbyteczna, gdyż zawiera się w pięcioboku), tak i Sokrates nie przez jedną duszę jest człowiekiem, a przez inną zwierzęciem, lecz jedna i ta sama dusza sprawia zarówno to, że jest człowiekiem, jak i to, że jest zwierzęciem" (j. w. 76, 3c).

Tomistyczna teoria człowieka była — i ciągle jeszcze jest — wręcz predystynowana do wypracowania w swych ramach bardzo pełnej i bardzo chrześcijańskiej filozofii małżeństwa. Niestety, jak dotąd, szansy tej nie wykorzystano. A tomistyczna teoria człowieka została w dużej mierze zdystansowana przez teorie inne, zanim zdołała wywieść wszystkie wynikające ze swych założeń konsekwencje. Może tym, którzy byli w stanie je dostrzec, wydały się zbyt szokujące?

Wśród pojęć związanych z wieloznacznym terminem „natura" jest także pojęcie najbardziej podstawowe i najważniejsze dla naszej problematyki: natura to „istota rzeczy wzięta w stosunku do właściwego jej działania, każda rzecz bowiem działa we właściwy

sobie sposób" (por. *De ente et essentia*, I, 3). A równocześnie: „każda rzecz zdaje się być tym przede wszystkim, co jest w niej naczelne" (*S. T.* 75, 4 ad 1). Do istoty człowieka należy świadomość i wolność — cechy konstytutywne duszy ludzkiej, będącej równocześnie formą ludzkiego ciała: „musimy w sposób konieczny powiedzieć, że intelekt, będący zasadą działalności umysłowej jest formą ciała ludzkiego" (*S. Th.* 76, 1c). Mówiąc — w kontekście postulatów stawianych małżeństwu i rodzinie — o zgodności z naturą, winniśmy mieć na uwadze przede wszystkim (jeśli nie wyłącznie) to, co konstytuuje naturę — istotę człowieka jako człowieka: jego świadomość i jego odpowiedzialność.

*

Z *Księgi Tobiasza*: „A jeśli ty będziesz chciał być razem z nią, powstańcie najpierw oboje i módlcie się, i proście Pana nieba, aby okazał wam miłosierdzie i ocalił was. Nie bój się, ponieważ od wieków jest ona przeznaczona dla ciebie. W ten sposób ją ocalisz i ona pójdzie za tobą. Sądzę też, że urodzi ci dzieci i będą dla ciebie jak bracia. Nie martw się" (6, 18).

„Tobiasz podniósł się z łóżka i powiedział do niej: „Wstań, siostro, módlmy się i błagajmy Pana naszego, aby okazał nam miłosierdzie i ocalił nas". Wstała i ona i zaczęli się modlić, i błagać, aby dostąpić ocalenia. I zaczęli tak mówić:

„Bądź uwielbiony, Boże ojców naszych,
i niech będzie uwielbione imię Twoje
na wieki przez wszystkie pokolenia.
Niech cię uwielbiają niebiosa
i wszystkie Twoje stworzenia
po wszystkie wieki.
Tyś stworzył Adama
i stworzyłeś dla niego pomocnicę Ewę,
żonę,
i z obojga powstał rodzaj ludzki.
I Ty rzekłeś:
Nie jest dobrze być człowiekowi samemu, uczyńmy mu pomocnicę podobną do niego.
A teraz nie dla pożądliwości
biorę tę siostrę moją za żonę
ale w czystym zamiarze.
Okaż mnie i jej miłosierdzie
i pozwól razem dożyć starości".

I powiedzieli kolejno: „Amen, amen". A potem spali przez całą noc" (8, 4—9).

Jan Nizwandowski

STEFAN WILKANOWICZ

KOŚCIÓŁ SŁUŻĄCY BOGU I LUDZIOM

„Pogłębiając wasze życie duchowe i dążąc do świętości pamiętajcie, żebyście nie byli świniami" — tymi słowy zakończył pewien mądry ksiądz rekolekcje dla swoich współbraci, podczas których mówiło się dużo o cnotach, o życiu wewnętrznym, o oddaniu się Bogu i służeniu ludziom. To paradoksalne i brutalne sformułowanie szokuje w pierwszej chwili, bo jakże można mówić jednocześnie o świętości i świństwie, jak człowiek chcący się wyzbyć do gruntu swego egoizmu, może zachowywać się jak świnia? A jednak ta drastycznie sformułowana przestroga opiera się na głębokiej znajomości natury ludzkiej. Najprościej mówiąc, istnieje coś takiego, jak tendencja do usamodzielniania się środków, które człowiek zaczyna traktować jako niezależne cele, zapominając jakby o celu ostatecznym, któremu mają one służyć. Każdy z nas może to łatwo zauważyć w swoim życiu, a także w życiu instytucji czy grup społecznych. Jest to niebezpieczeństwo, które grozi zarówno każdemu chrześcijaninowi jak i Kościołowi, a także wszelkiej ludzkiej organizacji i społeczności. Człowiek chce służyć Bogu i ludziom, ale co krok łapie się na tym, że w gruncie rzeczy służy sobie, Kościół ma służyć Bogu i ludziom, ale także ulega pokusie traktowania instytucji Kościoła jako celu samego w sobie. Trzeba dobrze rozumieć mechanizm tego wypaczenia, aby móc właściwie osądzać i siebie i Kościół, aby umieć się bronić przed tym niebezpieczeństwem i u siebie samego i w życiu społeczności chrześcijan.

Na pierwszy rzut oka sprawa przedstawia się dość prosto: człowiek musi się na czymś koncentrować, nie umie jednakowo silnie w każdej chwili angażować się w zadanie dnia dzisiejszego i w odległy cel ostateczny. Zawsze ma skłonność do skupiania się na celach pośrednich, które ma osiągnąć dziś, jutro, pojutrze; wie oczywiście, że one służą celowi zasadniczemu, ale jego odległość odbiera mu wiele blasku. Żywe i konkretne są cele „etapowe". Chcemy rozszerzać Królestwo Boże i podnosić moralnie ludzkość; rzeczą do

tego wielce przydatną jest posiadanie pewnych rzeczy jak np. budynków, książek, środków przekazu; staramy się zatem energicznie rzeczy te osiągnąć i po jakimś czasie stają się one dla nas w praktyce ważniejsze niż Królestwo Boże, zwłaszcza jeśli zdobycie ich przychodzi nam z trudem i wymaga długotrwałych zabiegów.

Ale nie tylko na tym polega niebezpieczeństwo, jest ono subtelniejsze i sięga głębiej w życie chrześcijanina. W jaki sposób bowiem dążymy do Boga? Prowadząc życie cnotliwe. Wiara bez uczynków jest martwa, zatem trzeba praktykować cnoty. Ale co to jest cnota? Jest to sprawność moralna — odpowiada etyka chrześcijańska. I wylicza zaraz liczne cnoty, które powinniśmy osiągnąć aby postępować moralnie. Sprawność, jak wiadomo, nie rodzi się tak sobie, ale rozwija się wskutek ćwiczenia, wskutek powtarzania tych samych czynności. Trzeba więc wykonywać akty cnoty, trzeba się ćwiczyć w dobrych uczynkach. Ale nie umiemy na wszystkim skupiać uwagi, zatem ćwiczenia rozkładamy sobie na etapy, najpierw pracujemy po prostu nad uporządkowaniem rozkładu zajęć, potem walczymy z lenistwem, dalej ćwiczymy się w przezwyciężaniu niechęci w stosunku do osób nam niemiłych, staramy się o większe skupienie w czasie modlitwy, uczymy się dostrzegać potrzeby naszych bliźnich, badamy naszą wrażliwość na upokorzenia i krytyki itd., itd. To wszystko nie jest łatwe, wymaga wysiłku, ale daje także dużo okazji do zajmowania się sobą. Nieświadomie można względnie łatwo skupić uwagę na s w o i c h zaletach i brakach, na s w o i c h osiągnięciach — w taki sposób, że trochę się zapomina, do czego one mają służyć, czemu mają być podporządkowane. Zaczynamy więc cnoty traktować dość sportowo. To jednak nie wszystko.

Wykonywanie każdej czynności na początku jest trudne, wymaga wysiłku fizycznego i wysiłku woli. W dziedzinie moralnej chodzi tu właśnie o wysiłek woli i nierzadko intelektu. Ale z biegiem czasu coraz łatwiej pilnować porządku dnia, coraz szybciej reaguje się na cudze potrzeby. Nadchodzi moment, kiedy nasza sprawność zaczyna nam przynosić zadowolenie. Coraz mniej wymaga wysiłku woli, reagujemy coraz bardziej spontanicznie, z biegiem czasu coraz bardziej mechanicznie, przy coraz mniejszym udziale świadomości. Sprawności zamieniają się w nawyki. Uśmiechamy się bezmyślnie jak dobrze wyszkolone stewardessy, opanowujemy swoje odruchy jak prawdziwi dyplomaci, bronimy słusznej sprawy jak starzy adwokaci. Odzwyczajamy się od refleksji, rutyna pozwala nam zaoszczędzić wiele energii psychicznej. Jesteśmy zadowoleni, chcielibyśmy ten stan utrzymać. Nasze zachowanie coraz bardziej się schematyzuje, utrwalone w poświadomości nawyki stają się czynnikiem dominującym i autonomiczną siłą. Początkowo nie rzuca się to w oczy, ale z biegiem czasu otoczenie zaczyna nieprzyjemnie odczu-

wać nasze wzorowe zachowanie się, nie wiadomo co ludzi drażni. Sprawa się wyjaśnia wtedy, gdy zdarzy się sytuacja, w której należy się zachować wyraźnie „nietypowo", na przekór „dobrym" przyzwyczajeniom. Jeśli zwycięży przyzwyczajenie, fałsz naszej cnoty staje się widoczny. Gruboskórność moralna koegzystuje z wysokimi duchowymi aspiracjami. Możemy zrobić świństwo idąc za naszą „cnotą". Możemy skrzywdzić człowieka w imię porządku, odtrącić nieszczęśliwego w imię sprawiedliwości, stchórzyć w imię roztropności, dopuszczać niesprawiedliwość w imię pokory.

Czy tak musi być zawsze? Czy cnota zawsze przekształca się w mechaniczny, bezduszny nawyk? Oczywiście nie. Samo pojęcie cnoty zakłada akty świadome, przeciwstawianie się bierności i bezmyślności. Ale w praktyce łatwo przekroczyć granicę, jeśli się zapomni o prymacie miłości nad schematami. Trzeba także brać pod uwagę ciśnienie potocznych poglądów na temat „życia cnotliwego". Raczej kojarzy się nam ono z pewną biernością i konformizmem niż z rewolucyjnym dynamizmem. Zapewne, potrzeby życia społecznego i potrzeby instytucji Kościoła wpływają na przywiązywanie w praktyce większej wagi do umiejętności współżycia i podporządkowania się autorytetowi niż do samodzielności myślenia i rewolucyjnego nonkonformizmu. Samo więc istnienie instytucji Kościoła wywołuje tendencję do pewnej deformacji zachowania, ta zaś deformacja wywołuje z kolei tendencję do zniekształcania roli instytucji Kościoła. Ludzie bowiem wychowani w konformizmie i pojmujący cnotę na sposób nawyku—konwenansu będą mieli tendencję do przypisywania nadmiernego znaczenia instytucjonalnej stronie Kościoła, a co za tym idzie, do zapominania, że wszelkie instytucje kościelne są tylko narzędziami, które mają służyć człowiekowi w realizacji jego powołania. I tyle są warte, ile służą.

Powołanie człowieka polega, jak to już pisałem w pierwszym odcinku tych rozważań, na ustawicznym przekraczaniu siebie, na wychodzeniu poza swój stan zastany. Chrześcijaństwo nie zmienia tego powołania, ono tylko wskazuje jego cel i obdarza pomocą dla jego realizacji. Wydaje mi się nieraz, że nie wystarczy wyjaśniać innym czy też przypominać sobie, na czym właściwie polega cnota. Może lepiej powiedzieć sobie łopatologicznie, że najważniejsza jest „sprawność wychodzenia poza schemat", cnota nonkonformizmu w stosunku do siebie samego. To „wyjście poza siebie", jednocześnie ku Bogu i ku ludziom, jest czymś najistotniejszym w życiu człowieka, jest istotą życia chrześcijańskiego.

Jaki to ma związek z życiem Kościoła? Wydaje mi się, że najściślejszy. Jesteśmy obecnie w okresie refleksji i przewartościowań dotyczących roli Kościoła w świecie. Od pewnego czasu mówi się o końcu „ery konstantyńskiej" i o przywróceniu Kościołowi właści-

wej pozycji w świecie. Spostrzeżono się, że przez wiele wieków Kościół (jako instytucja) był zbyt ściśle związany z państwem i w ogóle z instytucjami mającymi doczesne cele. W niektórych okresach i państwach administracja kościelna i państwowa nieomal się pokrywały. Biskupi bywali ministrami i rycerzami, którzy walczyli na równi z innymi. Zresztą w praktyce często bywali mianowani przez monarchów a nie przez papieża. Za czasów naszych dziadków lub pradziadków istniało jeszcze Państwo Kościelne, które miało swoją armię i prowadziło wojny. Oglądałem niedawno fotografie z tamtych czasów i one dopiero w pełni uświadamiają przewrót, jaki nastąpił w ciągu jednego wieku. Kiedy się przeczyta soborową *Konstytucję o Kościele w świecie współczesnym* i wysłucha komunikatu radiowego o nowym pokojowym apelu Papieża, a potem zacznie oglądać zdjęcia papieskich wiarusów gotowych do bitwy (a nad nimi wije się napis: *Porta inferi non praevalebunt),* to trzeba przecierać oczy, żeby wierzyć oglądanym obrazom. Kościół uwalnia się więc od związków z państwami i doczesnymi instytucjami, a jednocześnie wcale się nie odcina od doczesności i ziemskich spraw. Nawet przeciwnie, rozwija się teologia rzeczywistości ziemskich, mówi się o świętości świeckich i mówi się coraz więcej o służbie Kościoła wobec świata. Doczesność jest doceniana.

Kościół związany z państwem nieomal musiał stawać się jego narzędziem albo używać go jako narzędzia. Stając się narzędziem państwa, musiał przynajmniej częściowo zatracać swoją religijną misję, musiał zdradzać Boga. Używając państwa jako narzędzia, musiał wyolbrzymiać w praktyce swoją stronę instytucjonalną a zaniedbywać duchową. Zresztą posługując się państwem częściowo się z nim identyfikował, wikłał w jego sprawy i zaniedbywał swoją misję. W praktyce nie było możliwości aby Kościół mógł być pojmowany przez szerszy ogół jako duchowa wspólnota przekraczająca granice widzialnej społeczności i organizacji.

W tych warunkach świadectwo Kościoła nie mogło być „czyste". Nie było wcale oczywiste, że Kościołowi chodzi tylko o duchowe podniesienie ludzi. Głoszenie Ewangelii musiało być zmieszane z obroną takich lub innych interesów, całkiem doczesnych i Kościołowi w gruncie rzeczy obcych, a czasem wręcz godnych potępienia. Można by znajdować odpowiednie przykłady w historii, ale wystarczy przypomnieć wydarzenia sprzed niewielu lat. Gdy Ngo Dinh Diem był prezydentem Południowego Wietnamu, a jego brat — arcybiskup — najważniejszą osobą w episkopacie tego kraju, na Boże Narodzenie sprzedawano lampiony (nie było bezpieczną rzeczą ich nie kupować) z wizerunkiem Dzieciątka Jezus po jednej stronie a Diema po drugiej. Ci katolicy, którzy nie zgadzali się z polityką rodziny Ngo, żyli w ucisku i mawiali z goryczą, że „bramy ziemi

strzeżone są przez prezydenta a bramy niebios przez jego brata". Co zaś mieli myśleć o Kościele np. buddyści? Jak mieli dostrzec Ewangelię?

W Watykanie zdawano sobie z tego sprawę, ale nie było łatwo w ówczesnej sytuacji rozerwać związki Kościoła z państwem. Potem był przewrót, walki buddystów z katolikami i ucieczka z Kościoła tych, którzy niedawno tak licznie „nawracali się", aby być dobrze widziani przez władze.

W dobie Soboru świadomość niebezpieczeństw płynących z takiej sytuacji jest powszechna. Kościół odcina się od takich związków, chce być naprawdę niezależny i służyć tylko Bogu. Podkreśla się duchowy aspekt Kościoła, rozpowszechniona jest niechęć do „środków bogatych" czyli do działania zbyt polegającego na środkach materialnych, organizacji i technice; kładzie się nacisk na środki duchowe, „czyste"; modlitwę, post, jałmużnę, na świadczenie życiem a nie na przytłaczającą propagandę. Przywiązuje się szczególną wagę do głęboko przeżytej religijności osobistej, trochę się lekceważy tradycyjne postawy religijne, zbyt zależne od opinii, przyzwyczajeń, nacisku instytucji; zbyt nietrwałe w zmieniających się warunkach i w ogóle „nieautentyczne".

Mówi się o Kościele ubogich. Znaczy to przede wszystkim, że Kościół ma być dla ubogich, ale także, że nie powinien przywiązywać się do bogactw i splendorów, że powinien kochać prostotę, skromność, ubóstwo.

Jednocześnie Kościół chce być obecny w świecie, wcale się od niego nie odwraca. Ale w jaki sposób? Jak ferment, jak drożdże w cieście — określa *Konstytucja o Kościele w świecie współczesnym* — a nie jak ciało obce, społeczność wydzielona, getto czy armia podziemna.

Znaczy to, że na pierwszy plan wysuwa się braterstwo i ogólnoludzka solidarność, że członkowie Kościoła mają czuć się braćmi wszystkich ludzi, współpracować z nimi, prowadzić z nimi dialog. Ale także twardo upominać się o prawa ubogich i prześladowanych. Niektórzy chrześcijanie, przeżywając głęboko współczucie z wydziedziczonymi i skandal niesprawiedliwości, angażują się w rozmaite ruchy rewolucyjne, występujące w gwałtowny sposób przeciwko ustalonemu porządkowi czy nieporządkowi panującemu w wielu krajach, zwłaszcza Trzeciego Świata. Coraz bardziej odczuwany jest skandal niesprawiedliwości w stosunkach pomiędzy krajami bogatymi i biednymi. Także w krajach bogatych atmosfera sytej obojętności budzi niepokój i sprzeciw środowisk najbardziej wrażliwych moralnie i najbardziej zatroskanych o przyszłość naszej cywilizacji. Chrześcijaństwo się radykalizuje, odkrywany jest nonkonformizm chrystianizmu. Jednocześnie ci, którzy dotychczas

wierzyli w sposób konwenansowy i letni, zaczynają się źle czuć w tym Kościele, w którym dzieją się takie zmiany i który zaczyna mieć coraz większe wymagania. Wielu z nich obojętnieje i odchodzi. Ci zaś najbardziej niecierpliwi i gorący, którzy odkrywają nowe duchowe i teologiczne perspektywy i którzy chcą przemieniać świat bez zwłoki, też źle się czują w instytucjonalnych strukturach Kościoła. Wydaje się im, że nie ma powodu czekać na pozwolenie i dyrektywy powolnej machiny kościelnych urzędów. Urządzają sobie życie religijne na własny rachunek, niezbyt się oglądając na władze kościelne. Niektórzy z nich wypowiadają im posłuszeństwo i stają się „chrześcijanami bezkościelnymi". Ks. Charles Davis, znany teolog angielski, który niedawno to uczynił, tak mówi o swojej decyzji: „Doszedłem do przekonania, że Kościół, taki jaki jest w chwili obecnej, stanowi przeszkodę dla chrześcijan zaangażowanych, których znam i podziwiam. Kościół nie jest dla nich źródłem wartości, które przeżywają i upowszechniają. Przeciwnie, żyją oni stale w stanie napięcia i opozycji wobec Kościoła. Wielu jest takich, którzy pozostają katolikami, bo żyjąc na marginesie Kościoła katolickiego właściwie go nie znają". Ks. Davis mówi dalej, że stracił wiarę w Kościół katolicki jako instytucję i że do żadnego innego Kościoła nie przystępuje, bo wydaje mu się, że żaden nie daje mu odpowiedzi na jego problem.

Opozycja wobec Kościoła jako instytucji nie jest niczym nowym. Prawie zawsze istniało w Kościele napięcie pomiędzy zwolennikami organizacji i porządku a tymi, którzy pojmowali go na kształt duchowej wspólnoty wolnych apostołów. Napięcie to przybierało nieraz dramatyczne formy, nawet wewnątrz zakonów. Bardzo pouczające i poruszające są tu dzieje zakonu franciszkańskiego, w którym walka pomiędzy zwolennikami „normalnej" struktury zakonu a „spirytuałami" (*viri spirituales*), którzy nie chcieli ani o włos odstąpić od stylu życia Franciszka, od rygorystycznie pojmowanego ubóstwa, przybierała najbardziej dramatyczne formy. Niektórzy z tych ostatnich przychylali się nawet do wizjonerskich idei Joachima z Fiore, który głosił zbliżanie się epoki Ducha św., epoki Kościoła nareszcie w pełni czystego, wolnego od skaz ziemskich, przepojonego duchem wolności, prowadzonego przez mężów uduchowionych. Walka pomiędzy obiema tendencjami trwała cały wiek, nie obyło się bez stosów i antypapieży. W rezultacie zakon franciszkański rozpadł się na dwie gałęzie, mimo że skrajnych spirytuałów już w nim na ogół nie było. Dziś różnice pomiędzy tymi gałęziami są nieistotne, natomiast rodzą się nowe prądy i grupy, które w innych warunkach i formach, w zupełnie innym klimacie teologicznym, znowu buntują się, uważając oficjalny Kościół za zbyt mało chrześcijański, za niewierny Ewangelii.

Co tymczasem robi Kościół instytucjonalny? Angażuje się w politykę i to w duchu tych, którzy dotychczas stanowili raczej jego marginesy, jak np. różni chrześcijańscy pacyfiści. Jeszcze za życia Jana XXIII (którego spirytuałowie nazwaliby pewnie, jak Celestyna V, „papieżem anielskim"), chodziły słuchy, że nosi się on z zamiarem doprowadzenia do spotkania na szczycie: Kennedy'ego, Chruszczowa i jego samego. Jego następca nie ogranicza się do dramatycznych apeli o pokój, ale prowadzi wytrwałą akcję dyplomatyczną zmierzającą do negocjacji pomiędzy uczestnikami konfliktu wietnamskiego. Nie ulega chyba wątpliwości, że wykorzystuje z całą świadomością instytucje kościelne dla wywarcia określonego wpływu na strony walczące. Niestety, jak dotąd, wpływ ten nie jest wystarczająco silny. Szkoda, że ciężar tych instytucji nie jest większy, że nie jest większa dyscyplina i jedność wśród katolików, że głos papieża nie może zmusić stron walczących do odłożenia broni. Narzekamy nieraz na kościelną dyscyplinę, ale w takich chwilach żałować trzeba, że nie jest ona większa, że może papież nawoływać do pokoju, a jeden z kardynałów do wojny.

Ale jakże się może papież mieszać do polityki? Ledwośmy zrozumieli niebezpieczeństwa płynące z politycznych związków, a już Kościół angażuje się na nowo?

Od dawna mi się wydawało, że ci, którzy walczą o zakończenie „ery konstantyńskiej", o wyzwolenie Kościoła z politycznych związków z państwem, niekiedy nieświadomie wpychają Kościół z powrotem do zakrystii. Korzystając z pobytu o. Congara w Krakowie, po jego odczycie zapytałem, z jakiego to tytułu papież występuje z akcją dyplomatyczną w sprawie Wietnamu — czy na zasadzie pomocy w nagłych wypadkach, do której wszyscy są zobowiązani, niezależnie od pełnionych funkcji i zawodowej specjalizacji? Kiedy wybucha pożar, gaszą go przecież wszyscy jak potrafią, zwłaszcza gdy brak strażaków. Odpowiedź o. Congara całkowicie potwierdziła moje intuicje. Powiedział on najpierw, że nie ma gotowej, wyczerpującej odpowiedzi — na pierwszy rzut oka wydaje mu się, że w tym wypadku rzeczywiście istnieje sytuacja wyższej konieczności, absolutne niebezpieczeństwo dla ludzkości wiążące się z bombą atomową. Papież jest także najwyższym pasterzem chrześcijan, przewodnikiem duchowym, a ponadto ma w s z y s t k i m głosić prawdę i nawoływać do dobra, co też stwarza tytuł do interwencji. Co zaś dla mnie było jeszcze ważniejsze, podkreślał z naciskiem, że nie da się precyzyjnie określić stosunku pomiędzy czynnikiem duchowym a doczesnością (*on n'arrivera jamais à une formule parfaite*), a zatem pomiędzy Kościołem a doczesnymi sprawami. Jedno jest tylko absolutnie pewne, mianowicie to, że Kościół ma nauczać i chrzcić w imię Jezusa Chrystusa.

Wydaje mi się, że nakaz miłości bliźniego jest czymś najbardziej podstawowym i uniwersalnym. Różni ludzie realizują go w różny sposób, bo troszczą się o zaspokojenie rozmaitych potrzeb swoich bliźnich. Nigdy jednak nie można ograniczyć miłości bliźniego do ram swojej specjalności. Ktoś mi kiedyś opowiadał, że jacyś zmęczeni turyści, którzy pomylili drogę, zapukali późnym wieczorem do klasztoru z prośbą o gościnę. Odpowiedziano im, że jest już po 21-ej, a zatem nie mogą być wpuszczeni: „A czy po 21-ej reguła nie przewiduje miłości bliźniego?" — odrzekł na to jeden z turystów. Gdyby papież powiedział sobie, że jego funkcją jest nauczanie i chrzczenie, ale nigdy nic więcej, to łatwo mógłby się narazić na zarzut, że zaniedbał coś niezmiernie ważnego, choć nie mieszczącego się ściśle w jego „obowiązkach służbowych". Na taki zarzut naraził się Pius XII — bo w obliczu zagrożenia podstawowych ludzkich wartości nie interweniował z całą siłą jaka była osiągalna, nie rzucił na szalę całego ciężaru swego urzędu, zawahał się przed zaangażowaniem autorytetu Kościoła. Niebłahe argumenty spowodowały to wahanie, ale uzasadnione są wątpliwości czy były to argumenty wystarczające.

Bywały w dziejach sytuacje, w których trudno było rozstrzygnąć, czy Kościół jako instytucja powinien interweniować w doczesne sprawy. Ale bywały także takie, w których żadne tego typu wątpliwości chyba nie powstają. Jeżeli w obliczu klęsk elementarnych i w stanie chaosu zachowała się tylko organizacja kościelna, to należało jej użyć także dla zabezpieczenia gospodarki, porządku, zdrowia itp., nawet dla zbrojnej obrony, jeśli zachodziła rzeczywiście taka konieczność. Jeżeli duchowni byli w danym kraju jedynymi ludźmi umiejącymi czytać i pisać, to nie mogli używać tej umiejętności tylko dla funkcji ściśle religijnych. Księża musieli zakładać szkoły, szpitale i schroniska, jeżeli nikt inny tego nie robił. Musieli nawet czasami być ministrami czy dyplomatami. Takie sytuacje dziś w rozwiniętych społeczeństwach występują rzadko, ale dawniej stanowiły regułę i jeszcze ją stanowią na niektórych terenach misyjnych.

Trzeba zatem rozróżniać misję istotną hierarchii i duchowieństwa — nauczanie i udzielanie sakramentów — od funkcji doraźnych, których się może ono i powinno zastępczo podejmować, jeśli sytuacja tego wymaga. I nie są to jakieś przypadkowe „prace zlecone", ale udział w powszechnym prawie ludzkiego braterstwa i obowiązku miłości bliźniego.

Oczywiście trzeba sobie zdawać sprawę z wszystkich niebezpieczeństw tych funkcji doraźnych. Pierwsze zaś leży w tym, że mają one tendencję do utrwalania się. Przyczyna może już ustać, ale „doraźna" funkcja weszła już do tradycji i mowy nie ma o wyrze-

czeniu się jej. Wtedy z konieczności zaniedbuje się misję istotną, a z drugiej strony zaangażowanie świeckie budzi ferment i krytyki, budzi opory w środowiskach tych, które w rzeczywistości są do pełnienia danej funkcji powołane i mogą już się jej podjąć.

Innym przypadkiem będzie po prostu zaangażowanie w złą sprawę, po niewłaściwej stronie. Trzeba pamiętać, że ludzie Kościoła nie mają charyzmatu kompetencji w sprawach świeckich. I że często bardzo łatwo tu o błąd. Niekoniecznie błąd w postawie moralnej — po prostu błąd w rozpoznaniu, w zrozumieniu sytuacji, błąd w wyborze najlepszych, najskuteczniejszych środków, które prowadzą do rozwiązania problemu. Bywa to niebezpieczne zwłaszcza w okresach przełomowych, wymagających śmiałych decyzji, wymagających nowego, daleko wybiegającego naprzód spojrzenia. Tymczasem Kościół musi być powolny i ostrożny. Postawa ta udziela się i jego przedstawicielom. Unikają oni nadmiernego ryzyka, nie chcąc — i słusznie — angażować autorytetu Kościoła w ryzykowne sprawy, ale nie podejmując ryzyka śmiałego działania, często przegrywają w płaszczyźnie doczesnej, albo i duchowej.

Najtrudniejsza zaś sytuacja wytwarza się wtedy, kiedy nastąpiło subtelne pomieszanie dwóch różnych rzeczy: apostolskiej misji Kościoła oraz grupowych interesów społeczności chrześcijan. I wtedy obrona tych interesów wydaje się obroną religii, obroną prawdy, sprawiedliwości, dobra wspólnego, a jednocześnie ludzie z zewnątrz zaczynają widzieć te wielkie ideały, głoszone przez Kościół, jako pokrywkę dla zwykłych interesów: dobrobytu, bezpieczeństwa, wpływów władzy. Niebezpieczeństwo to występuje oczywiście jaskrawo w państwach, gdzie władza duchowna i świecka są silnie ze sobą powiązane. Ale nawet i Kościół w państwach o całkowicie przeciwnym nastawieniu nie jest od tego niebezpieczeństwa wolny. Obrona stanu posiadania nie powinna przeszkadzać misji apostolskiej. A bywa tak, że istnieje tu konflikt.

Organizacja kościelna nie jest ani święta ani zła sama w sobie. Jest naturalna, wynika ze społecznej natury człowieka. Kongregacje, kurie, seminaria czy urzędy parafialne są środkami, narzędziami, które mogą być dobrze lub źle używane. Ci, którzy się przeciwko nim buntują, zazwyczaj jednocześnie je przeceniają i niedoceniają. Przypisują im zbyt wielkie znaczenie, w pewnym sensie biorą je „zbyt serio", a równocześnie nie dostrzegają ich wartości, a zwłaszcza tego, że są konieczne, że człowiek z natury rzeczy tworzy instytucje nawet dla spraw ducha, bo sam jest także cielesny. „... chrześcijanie nigdy nie będą mogli obejść się bez tej widzialnej instytucji, jaką w ciągu historii nieświadomie odbudowali nawet ci chrześcijanie, którzy myśleli, że się bez niej obejdą. Żaden człowiek nie może się obejść bez instytucji. Czyż nasze własne ciało nie zawiera

w sobie pewnej, i to wielkiej instytucji! Człowiek wypowiada się za pomocą mowy, porozumiewa się dzięki umownym znakom, odziewa się i jego ubranie jest także objawem instytucjonalnym" — pisze brat Schutz, przeor z Taizé.

Kościół widzialny jest dla mnie jak rodzina, która może być lepsza lub gorsza, kochająca się lub skłócona, ale jest zawsze moją rodziną. Dopóki wierzę w Chrystusa złączonego w duchową wspólnotę z ludźmi ku niemu skierowanymi, Kościół widzialny pozostaje dla mnie rodziną, nawet wtedy, gdyby się mnie wyrzekł. Ci, którzy go odrzucają, którzy chcieliby Kościół widzieć jako społeczność wolnych apostołów, prędzej czy później dochodzą jednak do instytucji, zakładają jakąś zinstytucjonalizowaną wspólnotę religijną, albo porzucają w ogóle religię. A jednak cenię i lubię ludzi, którzy walczą o Kościół prosty i ewangeliczny, którzy z zasady nie ufają instytucjom, którzy nie mogą pomieścić się w kościelnych organizacjach i nie wytrzymują kościelnej obyczajowości. Czasami przesadzają, czasami są naiwni, czasami cierpią trochę bez powodu, czasami są szaleni i nieobliczalni. Są bardzo nieraz kłopotliwi, ale czy to nie oni właśnie zabezpieczają Kościół przed złym używaniem swoich instytucji? Czy to nie oni pierwsi alarmują i protestują, gdy Kościół widzialny zaczyna służyć samemu sobie? Chronią więc go przed zepsuciem, a zatem w pewien sposób są solą ziemi. Przestają nią być dopiero wtedy, gdy pasję szukania istoty rzeczy zmieniają w nawyk odmowy i sprzeciwu.

Stefan Wilkanowicz

Ks. ALFONS SKOWRONEK

NAD WSPÓŁCZESNYM MODELEM ŚWIĘTOŚCI W KOŚCIELE

Wolno może zaryzykować twierdzenie — mocno rzecz upraszczając — że tematem najżywiej dyskutowanym i pogłębianym przez teologię posoborową jest zagadnienie świętości w Kościele. Taki ostatecznie jest konstruktywny sens i program całego *aggiornamento*. Już dziś, zaledwie w dwa lata po ogłoszeniu *Konstytucji o Kościele,* ilość rosnących z dnia na dzień publikacji o dążeniu do świętości wydaje się nieprzebrana. Pierwsze wrażenie narzucające się przy pobieżnej konfrontacji piśmiennictwa ascetycznego przed i po Soborze Watykańskim II wiedzie ku przeświadczeniu, że do czynienia mamy już nie ze zmianą klimatu czy przemieszczeniem akcentów; tu zachodzi różnica epoki. Nawet lektura „świeżego" i sztandarowego po dziś dzień repertorium wiedzy o świętości świeckich pióra Y. Congara [1] może miejscami u czytelnika rodzić mniemanie, że stoi przed wspaniałym i monumentalnym pomnikiem czcigodnej j u ż tradycji.

W czym tkwi wspomniana epokowość?

W bardzo silnym uwypukleniu prawdy, że do świętości w Kościele, która jest jedna, powołani są wszyscy członkowie Ludu Bożego. Stworzono po prostu nową bazę wyjściową: G d y c h o d z i o u c z e s t n i c t w o w e w s p ó l n y m p o w o ł a n i u d o ś w i ę t o ś c i, K o ś c i ó ł r o z u m i e s i e b i e j a k o L u d s o b i e r ó w n y c h. Powołanie do świętości jest więc jedno jedyne, to samo dla kapłanów jak i zakonników i toż samo dla świeckich. Jest to stwierdzenie dla laikatu ogromnej wagi. Świeckim zostaje w Kościele przyznane przysługujące im właściwe miejsce. Z drugiej zaś strony samo życie według rad ewangelicznych już nie może być odtąd traktowane jako swego rodzaju egzotyczny rewir zarezerwowany dla ściśle określonej grupy chrześcijan. Nie można dziś więcej operować określeniem, conajmniej niedoprecy-

[1] *Jalons pour une théologie du laïcat,* Paris 1951.

zowanym, „stan doskonałości zakonnej". Do życia według rad ewangelicznych powołani są bowiem wszyscy członkowie Ludu Bożego z tym, że zakonnicy zobowiązują się do tej formy życia specjalnym ślubem, który jest jednak tylko specyficznym ukierunkowaniem tego powołania do świętości, jakie wynika z podstawowej konsekracji dokonującej się w sakramencie Chrztu św.

Tego rodzaju ustawienie sprawy kładzie kres pewnej kastowości i monopolizacji [2] świętości przez zakony. Rzecz oczywista, że teoretycznie biorąc nigdy w Kościele nie podawano w wątpliwość prawdy o powszechnym wezwaniu do świętości. Szeroko rozpowszechniony utrzymywał się jednak długo pogląd, że w świecie, w zwyczajnych warunkach życiowych (w życiu zawodowym i małżeństwie) nie można wznieść się na pożądany szczebel doskonałości. Jako normę i miernik wszelkich porywów ku świętości traktowano w Kościele przez długie wieki zakonny ideał świętości. Święta Katarzyna Sieneńska, proszona przez pewnego adwokata Florencji o przejęcie kierownictwa jego życiem wewnętrznym, wyrażenie swej zgody obwarowała dwoma warunkami: musi ów mąż wpierw opuścić żonę i porzucić wykonywany zawód. Nie istniała wówczas duchowość świeckich. Kiedy nawrócił się św. Bernard, ściągnął do klasztoru całą swą rodzinę, nawet swych żonatych braci. Wstąpiło ich wtedy w mury klasztorne okrągło trzydzieści osób. Wreszcie przekroczyły próg klasztorny także małżonki tych braci. Nie miano wtedy innych wyobrażeń o życiu religijnym: nie sprawowano swego zbawienia w świecie. Ewangeliczna przypowieść o Siewcy przybierała pod piórem mnichów ery patrystycznej następujący kierunek wykładni: owoc stokrotny przypadał w udziale męczennikom, sześćdziesięciokrotny dziewicom, trzydziestokrotny żniwowali natomiast żonaci i zamężne [3].

Głęboki ten rozbrat między doczesnością a duchowością miał przed oczyma Jan XXIII, kiedy ostrzegał katolików: „Niech... sobie nikt błędnie nie wyobraża, że dwie łatwe do pogodzenia wartości: własne doskonalenie duchowe każdego człowieka i sprawy życia doczesnego, to dwie rzeczy ze sobą sprzeczne; jak gdyby dążenie do doskonałości chrześcijańskiej wymagało koniecznie odsunięcia się od spraw życia ziemskiego, albo jak gdyby zajmowanie się tymi sprawami przynosiło ujmę godności człowieka i chrześcija-

[2] Wyrażenie to padło w auli soborowej m. in. z ust biskupa A. M. Charue. Por. *Vaticanum Secundum*, Band II: *Die zweite Konzilsperiode*, wyd. O. Müller, Leipzig 1965, 417; E. H. Schillebeeckx, *Besinnung auf das Zweite Vaticanum*, Freiburg 1966, 15.

[3] Por. M. Viller—K. Rahner, *Aszese und Mystik in der Väterzeit*, Freiburg 1939, 45, 284.

nina"[4]. Z gruntu niechrześcijańskie byłoby stanowisko człowieka, który z góry kwalifikując politykę jako „brudny interes" oczekiwałby od Boga, by pozwolił uprawiać nieczysty ów interes innym, podczas gdy on sam, chrześcijanin, w zacisznej komorze w sposób drobnomieszczański pielęgnowałby swoją dewocję. Pobożność „polityczna" stała się dziś fragmentem autentycznej pobożności chrześcijańskiej[5].

Prawda o powszechnym powołaniu do świętości znalazła swe gruntowne oparcie we wnikliwej refleksji dogmatycznej. Stanowi mianowicie logiczną konsekwencję wizji Kościoła jako nowego Ludu Bożego, do którego wezwani są wszyscy ludzie[6]. Momentem istotnym w konstytuowaniu się Ludu Bożego jest inicjatywa Boża: Wybierając i powołując, Bóg pierwszy zwraca się do człowieka; Lud Boży to wyraz miłości i miłosierdzia Bożego w stosunku do człowieka. Tego rodzaju spojrzenie na formowanie się Ludu Bożego — od strony Boga inicjującego z człowiekiem dialog — rzuca równocześnie ostre światło na właściwe pojmowanie świętości, którą (szczególnie od w. XIX) rozumiano raczej w sensie inicjatywy ludzkiej. Doskonałość traktowano jako wypadkową zabiegów osobistych, jako rezultat ascetycznego treningu. Tymczasem zaś świętość jest ze swej najgłębszej istoty darem Bożym, łaską pozwalającą nam uczestniczyć w tej jedynej świętości, jaka przysługuje Bogu[7]. W tym kontekście słuszny okazuje się postulat, by do terminologii ascetycznej wprowadzić konieczne rozróżnienie między „świętością" i „doskonałością". Pierwsze pojęcie uwypuklałoby raczej inicjatywę Bożą, współbrzmiałby w tym słowie akcent darmowości i łaski; drugie natomiast przesuwałoby punkt ciężkości na element ludzki, na osobisty wkład w dzieło uświęcenia zapoczątkowane przez Boga[8]. Istnieje zatem w Kościele podwójny aspekt świętości — świętość jako wynik powołania, desygnacji, jako rzeczywistość d a n a i świętość etyczna jako wyraz osobistej odpowiedzi człowieka na Boży zew. Te dwa aspekty świętości ściśle są z sobą powiązane, wzajemnie się warunkują i dopełniają.

---

[4] Encyklika *Mater et Magistra*, wyd. Société d'Editions Internationales, Paris 1963, 118 n.

[5] Por. K. Rahner, *Frömmigkeit heute und morgen*, „Geist und Leben", 39 (1966), 338 n.

[6] Konstytucja *Lumen gentium*, „Znak" 17 (1965); nr 13.

[7] Por. L. Renwart—J. M. Fisch, *La sainteté du peuple de Dieu*, „Nouvelle Revue Théologique", 98 (1966), 28 n.

[8] Por. F. Wulf, Komentarz do V rozdziału Konstytucji *Lumen gentium*, w: *Lexikon für Theologie und Kirche, Das Zweite Vatikanische Konzil*, Freiburg 1966, 293.

Chrzest św., w którym Chrystus powołuje ludzi w szeregi Ludu Bożego, nie udziela chrześcijaninowi tylko tzw. obiektywnej świętości, czyli nie tylko przemieszcza nas w świętą sytuację, lecz otwiera równocześnie przed nami możliwości udzielania odpowiedzi na ten Boży apel, zobowiązuje nawet adresata tego apelu do świętości egzystencjalnej. K. Rahner określa wzrost łaski jako „egzystencjalnie coraz głębsze przyswajanie sobie łaski, która to asymilacja coraz bardziej integruje w siebie regiony ludzkiego istnienia" [9]. Widać stąd, jak prawda o Ludzie Bożym dynamizuje pojęcie Kościoła, albowiem w rozumieniu Pisma św. wybranie i powoływanie do Ludu Bożego jest nie tyle przywilejem, ile służbą i posłannictwem do wykonania określonego planu Bożego.

Z faktu, że w Kościele istnieje jedna tylko świętość nie wynika, rzecz jasna, iż prowadzi do niej jedna tylko droga. Należy strzec się w tym punkcie wszelkich upraszczających schematów i uniformizmu. Pobożność w Kościele, domu ojcowskim, w którym jest mieszkań wiele, stanowi wielkość złożoną; różnicuje się ona w zależności od wieku i płci, narodów i obszarów kultury, według różnorodności dziedzictwa duchowego i tradycji, wedle wykonywanych w życiu zawodów, ogólnego poziomu duchowego, warstw społecznych, kleru, zakonników i świeckich [10]. Konstytucja nie rozpatruje szczegółowo całego tego splotu zagadnień. W dużych skrótach kreśli ogólne linie podając jedynie środki wielkie, zasadnicze i nieodzowne, czy w sposób wybitny heroiczne.

Jakież są owe ramowe formy, w obrębie których człowiek ma odpowiedzieć na Boże wezwanie do świętości? Wierna swym założeniom duszpasterskim, odpowiada Konstytucja na to pytanie językiem w miarę obrazowym, choć teologicznie ścisłym. Środkiem pierwszorzędnym i najbardziej potrzebnym jest miłość Boga i bliźniego rozlana w sercach naszych przez Ducha Świętego. Darmowość tego inicjującego czynu Bożego uwypukla opis przyrównujący ją do ziarna zasianego w duszę, gdzie winno ono zapuścić swe korzenie i wydać owoc. Na ten siew Boży człowiek odpowiedzieć musi postawą chętnego wsłuchania się w słowo Boże i uważnego wnikania w Bożą wolę. Wszystko winno znaleźć swe żywe wcielenie w uczestnictwie w sakramentach świętych, szczególnie w Eucharystii, by przybrać wreszcie swój konkretny kształt w życiu codziennym właściwym uczniowi Chrystusowemu [11]. W ten sposób pełnione dzieło, do którego solidarnie przyłożyli rękę Bóg i człowiek, jest

---

9 „... die existentiell immer tiefere Aneignung der Gnade, die die Regionen des menschlichen Daseins immer mehr in sich hineinintegriert". K. Rahner—H. Vorgrimler, *Kleines Theologisches Wörterbuch*, Freiburg 1964⁴, 376.

10 Por. K. Rahner, *Frömmigkeit heute und morgen*, 327.

11 *Lumen gentium*, nr 42.

ich dziełem wspólnym. Dzieło to sławi swój boski początek z powrotem naprowadzając człowieka do Boga i stając się przez to czynem zasługującym. W ten sposób chrześcijanin znajduje się w nieustannym dialogu miłości z Bogiem. W rękach chrześcijanina o takiej optyce widzenia rzeczy — wszystko przekształca się w środki uświęcenia [12].

Spośród nadzwyczajnych środków uświęcenia wymienione zostaje najpierw męczeństwo, które jest przyjęciem „z własnej woli śmierci dla zbawienia świata". Do tego rodzaju świadectwa miłości powoływani byli „niektórzy chrześcijanie już od samego początku i zawsze będą powoływani" [13]. Wymownym akcentem, towarzyszącym tym wypowiedziom, była uroczysta kanonizacja, w trakcie obrad soborowych, męczenników współczesnej Ugandy.

Innym cennym darem łaski Bożej, udzielanym niektórym jednostkom przez Ojca, jest dziewictwo względnie celibat, w którym „łatwiej niepodzielnym sercem poświęcać się samemu tylko Bogu" [14].

Trzeba stwierdzić, że chyba po raz pierwszy w historii Konstytucja soborowa *O Kościele* wyeksponowała tak wyraziście całą teleologię Kościoła: świętość swych członków, uświęcenie Ludu Bożego, a poprzez niego — bo i ten moment został jasno uwidoczniony [15] — uświęcenie całej ludzkości, przeobrażenie całego świata. W swym głębokim wyrazie humanistycznym świętość została tu zarysowana w perspektywie iście kosmicznej.

Warte osobnego zastanowienia byłoby zagadnienie zarysowane w tytule niniejszego artykułu, a do tej pory wyraźniej nie naświetlone: głęboka problematyka roli samego Kościoła w procesie uświęcania jego członków, kwestia wspólnotowego docierania do świętości, współodpowiedzialności za świętość współbraci. Niestety, sama Konstytucja zagadnienia tego — co wydać może się nieco paradoksalne — nie omawia w sposób szerszy i zadowalający. Rozdział V zaczyna się wprawdzie, zgodnie z charakterem całego dokumentu soborowego, stwierdzeniem o „niezachwianej świętości Kościoła" (*Ecclesia... indefectibiliter sancta*) [16]. Zasadniczy ten fakt decyduje o tym, że świętość poszczególnych jednostek nie jest niczym innym, jak tylko uczestnictwem w świętości Kościoła; każda świętość pojedyncza jest zatem transparentem, czy zamanifesto-

---

12 Por. F. Wulf, dz. cyt., 299.

13 *Lumen gentium*, nr 42.

14 Tamże.

15 „Dzięki zaś tej świętości chrześcijan, także w społeczności ziemskiej rozwija się bardziej godny człowieka sposób życia". *Lumen gentium*, nr 40.

16 Nr 39.

waniem świętości samego Kościoła [17]. Ta wielka eklezjocentryczna wizja świętości nie zostaje jednak, niestety, z konsekwencją przeprowadzona w całym rozdziale, który w swym dalszym ciągu traktuje nieomal wyłącznie o świętości jednostki i o różnych drogach i pomocach wiodących do niej [18].

Eklezjocentryczny ów rys świętości wydobywa jednak na jaw, solidnie go uzasadniając, idea wiodąca całej Konstytucji — prawda o Ludzie Bożym. Jeżeli bowiem najpierw zważyć, że zarówno w Starym jak i w Nowym Testamencie podmiotem zbawienia, do którego skierowywało się Boże miłosierdzie, był zawsze przede wszystkim naród, narody, Kościół jako partner w przymierzu, jednostka zaś tylko jako członek narodu [19] — wówczas eklezjalny sens naszych dróg uświęcenia staje się wyrazisty. Jest to jedna z fundamentalnych myśli Starego i Nowego Testamentu, że świętość, czyli zbawienie jest darem udzielanym w ramach solidarnej, braterskiej służby, jaką wzajemnie winni świadczyć sobie ludzie wybrani i powołani przez Boga do Ludu Bożego [20].

Rzecz nabierze jeszcze ostrzejszych konturów, gdy skoncentrujemy uwagę na sakramencie Chrztu św., który — jak to już zaznaczono — konsekruje na członków Ludu Bożego. Kościelnotwórcza funkcja przysługuje przede wszystkim charakterowi sakramentalnemu wszczepiającemu w Lud Boży; rola tego znamienia polega przede wszystkim na wydrążeniu raz na zawsze niezniszczalnych kanałów łączących jednostkę z Kościołem, względnie z Chrystusem jako Głową Ciała Mistycznego. Kanałami tymi może w każdej chwili — po usunięciu przeszkód — spłynąć do duszy łaska. Charakter otwiera więc nie tylko bramę Kościoła wprowadzając weń jednostkę po raz pierwszy. Niezniszczalność tego znamienia polega na tym, iż pozostaje ono na zawsze zasadą nadprzyrodzonego życia, jego potęgowania się przysługującego członkom Ludu Bożego.

Eklezjocentryczny punkt widzenia rzutuje także na pozostałe skutki sakramentu Chrztu. W odniesieniu do łaski uświęcającej wystarczy zauważyć, że przez nią zamieszkuje w duszy ochrzczonego Duch Święty, który przez łaskę usynowienia wytwarza wspólnotę chrześcijanina z Jezusem Chrystusem; następuje wtedy wszczepienie w Syna. Nie jest to ten stopień zjednoczenia, jaki nawią-

---

17 „Ta zaś świętość Kościoła nieustannie ujawnia się i ujawniać się powinna w owocach łaski, które Duch rodzi w wiernych; rozmaicie wyraża się ona u poszczególnych ludzi, którzy we właściwym sobie stanie życia dążą do doskonałości miłości, będąc zbudowaniem dla innych", Nr 39.

18 Por. F. Wulf, dz. cyt., 289.

19 Por. K. Rahner, *Kirche und Sakramente*, Freiburg 1960 [2], 78.

20 Por. E. H. Schillebeeckx, *Wereld en Kerk*, Bilthoven 1966, 144.

zany został już działaniem konfiguratywnego charakteru sakramentalnego. Jest czymś więcej. Łaska uświęcająca ożywia ten ontologiczny związek, czyni z ochrzczonych żywe członki uświęcającego się Ludu Bożego. W ten sposób łaska uświęcająca stwarza przede wszystkim życiodajny grunt, w którym tkwią potencje uzdolniające chrześcijanina do aktualnego włączenia się w proces uświęcania Ludu Bożego.

Łącznie z łaską wlane zostają do duszy cnoty wiary, nadziei i miłości. Ich eklezjocentryczny sens jest także wyraźny. Wlana cnota wiary obejmuje wszystkie prawdy objawione przez Boga, a podane do wierzenia przez Kościół. Rytuał Chrztu inauguruje pytanie: „Czego żądasz od Kościoła Bożego?" Odpowiedź brzmi: „Wiary". Wiara nie będąca wiarą Kościoła nie jest również doskonałą wiarą chrześcijańską czy boską. Wyraźny rys eklezjalny znamionuje cnotę nadziei. Gwarancją osiągnięcia dóbr wiekuistych koronujących dzieło uświęcenia a zarazem zadatkiem tych dóbr jest pewność wynikająca z naszej przynależności do Chrystusowego Ludu Bożego. Kościół jako Lud Boży jest znakiem, za pośrednictwem którego Bóg daje nam do zrozumienia, iż ze swej strony uczynił wszystko dla naszego uświęcenia, że tego uświęcenia chce. Eklezjalny swój charakter uwidacznia najdobitniej wlana cnota miłości będącej z natury swej cnotą społeczną. Najgłębszym motywem umiłowania bliźnich jest jedność wynikająca z przynależności wszystkich ochrzczonych do tego samego Kościoła — Ludu Bożego. Należy nawet powiedzieć, że miłość bliźniego i miłość Kościoła są wielkościami synonimicznymi. Miłując bliźniego chrześcijanin zawsze daje wyraz swego umiłowania Kościoła. Element eklezjalny zawierają wreszcie wszystkie łaski darmo dane (*gratis datae*) jako odnoszące się w pierwszym rzędzie do duchowego dobra wspólnego całego Ludu Bożego. Wszystkie łaski posiłkowe czy uczynkowe wykazują dokładnie tę samą tendencję eklezjalną jak teologiczne cnoty wlane. Łaska posiłkowa dana jest nam w tym celu, byśmy mogli żyć w Kościele, z Kościołem i dla Kościoła.

Widać już stąd, że nawet na najbardziej subiektywnej drodze uświęcenia łaska Boża działa zawsze w Kościele i poprzez Kościół. Modlący się w całkowitej „izolacji" od świata chrześcijanin otrzymuje łaskę dlatego, iż jest członkiem Ludu Bożego, dlatego, że ten Lud Boży za niego prosi, ofiaruje i miłuje. Cały proces łaski dokonuje się w obrębie Kościoła — Ludu Bożego.

Eklezjalne rozważania na temat roli sakramentów Kościoła w uświęcaniu swoich członków można by znacznie poszerzyć obejmując ich zasięgiem pozostałe sakramenty. O ich wymiarze eklezjalnym traktuje Konstytucja wyraźniej w innym kontekście, w rozdziale II, poświęconym Ludowi Bożemu.

*

Mając na uwadze z jednej strony powszechne wołanie do świętości, wołanie przecierające do niej szlaki wszystkim członkom Ludu Bożego, a z drugiej strony wizję „niezachwianej świętości Kościoła" [21], strzec się trzeba, by nie paść ofiarą wyniosłości. I z tego to właśnie powodu wśród tych wszystkich wypowiedzi jest również miejsce na zdania mocno kontrastujące: „Kościół obejmujący w łonie swoim grzeszników, święty i zarazem ciągle potrzebujący oczyszczenia (*Ecclesia... sancta simul et semper purificanda*) podejmuje ustawicznie pokutę i odnowienie swoje" [22]. Skoro zaś „wszyscy w wielu rzeczach upadamy, ustawicznie potrzebujemy miłosierdzia Bożego i codzień powinniśmy się modlić: »Odpuść nam nasze winy«" [23].

Pełniejsze zrozumienie tej grzeszności, nie tyle Kościoła ile jego członków, umożliwia znów duszpastersko bardzo płodna prawda o Kościele jako Ludzie Bożym pielgrzymującym, potykającym się i upadającym i znów się dźwigającym, Ludzie Bożym pełnym nadziei a zarazem chwiejącym się, permanentnie znajdującym się w drodze do krainy przyobiecanej. Podnosząc ten punkt w obrazie Kościoła arcybiskup Beirutu, I. Ziadé, wygłosił w auli soborowej znamienne wyznanie: Grzeszna sytuacja, w jakiej ciągle znajduje się Kościół, uwidacznia się dobitnie w fakcie, że papież nie ma już swej siedziby w macierzystym Kościele jerozolimskim, ale w Rzymie. Fakt ten jest „apokaliptycznym znakiem wygnania Kościoła, w którym to wygnaniu oczekuje Kościół wśród ucisku przyjścia Zmartwychwstałego", żyje Kościół w oczekiwaniu że grzech zostanie przezwyciężony, a zacznie się nowe, niebiańskie Jeruzalem [24].

Biskup S. Laszló (Eisenstadt, Austria) w dyskusji nad grzechem w Kościele wygłosił czteropunktowy apel: a — nie wolno przemilczać istnienia grzechu w świętym Kościele Bożym, ani w jego hierarchii; równocześnie jednak mówić należy o chwale Kościoła; b — akcentować wszędzie należy nie tylko jedność Kościoła z Chrystusem, ale również podkreślać trzeba z niemniejszym naciskiem dystans między Chrystusem a Kościołem pielgrzymującym i pokutujących; c — wyraźnie powiedzieć należy, że Kościół podlega ustawicznej reformie; d — wreszcie Sobór winien złożyć oficjalnie wyraźne wyznanie współodpowiedzialności i współwiny naszego Kościoła za rozłam w chrystianizmie [25]. Z satysfakcją stwier-

[21] *Lumen gentium*, nr 39.

[22] *Lumen gentium*, nr 8.

[23] Tamże, nr 40.

[24] Vätervoten über das Volk Gottes und die Laien, w: *Vaticanum Secundum*, 332.

[25] Väterreden zur Theologie der Kirche, *Vaticanum Secundum*, 267.

dzić należy, że wszystkim tym czterem punktom Sobór dobitnie uczynił zadość.

Lud Boży pozostanie więc na ziemi społecznością zawsze potrzebującą i błagającą Boga o pomoc i miłosierdzie, o łaskę nawrócenia i wytrwania. Tę ważną cechę charakterystyczną naświetla trafnie Y. Congar dodając, że Kościół jako instytucja nigdy nie potrzebuje się nawracać, najwyżej reformuje się na pewnych odcinkach swego aparatu instytucjonalnego. Znamienną jest rzeczą, że aż do wieku XI nie było znane zagadnienie reformy Kościoła, mówiono natomiast i nawoływano do reformy człowieka, w którym obraz i podobieństwo Boże uległy zatarciu [26].

*

Po zamknięciu Soboru rzucono gdzieś uwagę, z odcieniem przekąsu, że Sobór wszystko zaczął, a niczego nie skończył. W zdaniu tym można jednak wykryć sens nawskroś pozytywny: Soborowi właśnie o to chodziło, by — zacząć. Do sytuacji posoborowej odnieść można słowa św. Bernarda: *Sit finis libri, sed non finis quaerendi* [27], książka się skończyła, poszukiwanie trwa. Gdy chodzi o naszkicowany tu model świętości, badawcze poszukiwania teologii winny się skierować ku biblijno-teologicznemu pogłębieniu zagadnienia świętości realizowanej w życiu codziennym, w pracy zawodowej [28].

Rzucając raz jeszcze okiem na rozdział V Konstytucji mocno uwydatnić należy jedno osiągnięcie natury zasadniczej, „że w nowszych czasach bodaj nie znajdziemy dokumentu kościelnego, w którym wskazywano by z takim naciskiem i tak często na darmowy i charyzmatyczny charakter chrześcijańskiej drogi uświęcenia. Dzięki temu należy chyba uważać za definitywnie przezwyciężoną przede wszystkim tę formę ascetyzmu, jaka od w. XIX często współdeterminowała katolicką pobożność” [29].

Nie poruszone na tym miejscu zagadnienie dążenia do świętości w zakonie wymaga odrębnego naświetlenia.

Ks. Alfons Skowronek

---

26 *Die Kirche als Volk Gottes*, w: „Theologisches Jahrbuch”, wyd. A. Dänhardt, Leipzig 1966, 20.

27 *De consideratione*, PL 182, 803.

28 Z niecierpliwością oczekuje się obszernej pracy na ten temat, którą przygotowuje H. Urs von Balthasar.

29 „... dass es wohl kaum ein kirchliches Dokument der neueren Zeit gibt, in dem so stark und so häufig auf den gnadenhaften und charismatischen Charakter des christlichen Heilsweges, der Heiligung des Lebens und des Mühens um die Vollkommenheit hingewiesen worden ist. Damit dürfte wohl der Aszetismus, der vor allem seit dem 19. Jahrhundert die katholische Frömmigkeit mitbestimmt hat, endgültig überwunden sein”. Fr. Wulf, dz. cyt., 302.

TADEUSZ ŻYCHIEWICZ

SZLI NIEPOTRZEBNI ŚWIĘCI

Leży przede mną spory plik niedużych książeczek jednakowego formatu, z barwnymi obrazkami na okładkach: przedwojenna seria „Postacie świętych", wydawana przez Księgarnię św. Wojciecha.

Nie jest to komplet. Seria — sądząc z numeracji — musiała chyba liczyć ze sto pozycji. To, co życzliwi ludzie pożyczyli, obejmuje zaledwie połowę, pięćdziesiąt książeczek.

Pospieszna statystyka wstępna: wśród tych pięćdziesięciu świętych jest pięciu panujących (królów lub książąt), jeden dostojnik królewski, pięciu męczenników, dziesięciu duchownych diecezjalnych i aż dwudziestu czterech zakonników lub zakonnic. Reszta, to postacie z Pisma św. (ewangeliści, św. Anna, św. Józef etc.). Oczywiście: statystyka ta nie musi być (i na pewno nie jest) ścisłym odpowiednikiem tej, która byłaby wynikiem ewentualnej „ankiety socjologicznej" wszystkich Świętych Pańskich. Ale zapewne rozkład byłby podobny.

Coś tu nie gra. Panujących zostało dziś akurat tyle, ile żubrów w Białowieży dla dekoracji — chyba, że dołączymy tu prezydentów i członków Rady Państwa, jako kandydatów. Gotowanie we wrzącym oleju jest dziś perspektywą, na którą trudno realnie liczyć. Pozostają praktycznie zakony i sutanna, jako jedyna furtka do świętości. Albo też administracyjne załatwienie sprawy: przeorientowanie aparatu watykańskiego na inny element socjalny. To nawet dość proste, kwestia recepturki: tylu a tylu świętych inżynierów i techników, odpowiedni odsetek świętych lekarzy i przyrodników, w charakterze rodzynka jakiś święty kudłaty facet z gitarą, albo dziewuszka w kolorowej kiecce. Załatwione?...

Zaraz: a po co? Po co ta sprawa ma być w ogóle załatwiana? Po co i do czego potrzebni są ludziom święci? W charakterze adwokatów przed Sędzią? Jako pośrednicy? W czym? Jeden spec od bólów zębów, drugi od szukania zgubionych kluczy od chałupy? Więc może jako kumotrzy — ci, którzy mają „chody"? A może całkiem inaczej?

Biorę do ręki jedną z kolorowych książeczek. Mówiąc szczerze: raczej z niechęcią. Bo: czasy bardzo zamierzchłe. Bo: oczywiście królewna. Jeżeli nie mniszka, to czego innego można się było spodziewać? Na szczęście żona i matka dzieciom. Ale za to mąż landgraf, oj. I napisane to jest tak jakoś... Że „na skrzydłach rozwianego płaszcza" i te pe. Co też się z tego wyłuska? Wypada jednak spróbować. Odstawić te dekoracje i zobaczyć, co w środku.

Elżbieta. Pal diabli, że królewna, nie ważne. Po prostu: Elżbieta. Wedle ówczesnych pojęć dziewczę nie było specjalnie frapujące. Pieśni *Minnesängerów* sławiły „płeć białą jak śnieg, błękitne oczy, złociste sploty" — i co to jeszcze? Acha: „toczone ramiona". W porządku, kanony kształtów są poza dyskusją. Zaś to węgierskie dziewczynisko było śniade, czarnookie, czarnowłose i chudawe, chłopakowate. Co gorzej: nieco narwane. Etykietę miała w nosie. Każda epoka ma swoje kanony sposobu bycia, trudno. Albo się jest damą, albo nie; jeśli zaś los zdarzył, że tata król — wypada być damą. Robiła wszystko możliwe, aby nie być. Wyrodek, nie królewna. Ale to jeszcze — nie to. Jakby to wytłumaczyć? Może tak okólną drogą: jest w katedrze naumburskiej posąg Uty, żony takiego piwnego, ciężkawego Szwaba. Uta jest piękna. Jest krucha, subtelna, niewiarygodnie wytworna w skłonie głowy, w wypielęgnowanym geście wąskiej dłoni, podtrzymującej fałdę płaszcza. Jest śliczna. I ma ogromną furę wdzięku. Uty się nie zapomina. I tylko jedno: bardzo trudno jest wyobrazić sobie, że mogłaby śmiało rozmawiać, głośno się śmiać, patrzeć obcym w oczy. Albo popełnić jakieś szaleństwo. Ten posąg ma w sobie ciepło i życie. Żywa Uta na pewno nie była posągowa. Ale...

Elżbieta była z innego gatunku. Postawiona przy Ucie, wyglądałaby zapewne, jak bujny habaź leśny przy ogrodowej orchidei. To już nie jest problem etykiety i sposobu bycia.

Gdzie rzeczy się działy? Zabawne: w Wartburgu, blisko Eisenach — tam, gdzie teraz fabrykuje się samochody. Tego landgrafa, Ludwika, kochała naprawdę. Też bez umiaru i bez etykiety. Przywieźli ją tu w kołysce i zanim co — razem buszowali w pokrzywach. Z teściową miała krzyż Pański, czemu zresztą trudno się dziwić. To znaczy: teściowej trudno się dziwić. Elżbieta wyszła za mąż, mając lat czternaście i bardzo dziwne hece wyprawiała na nobliwym dworze. Ludwik (przepisowo: jasne włosy i niebieskie oczy) siedział szczelnie pod pantoflem, mawiając, że woli Elżbietę, niż święte Cesarstwo Rzymskie. Nawiasem rzekłszy, nikt mu zresztą tego Cesarstwa nie dawał, jednakowoż fakt: ten spokojny, ciężkawy Niemiec rzeczywiście kochał węgierskiego odmieńca. To się zdarza nawet w bardzo porządnych rodzinach. Był zresztą jej jedyną ochroną na tym dworze. Dwór darzył Elżbietę cichą pogardą. Nawet

w kościele zachowywała się gminnie. Zdejmowała z włosów złotą opaskę i kłoniła się nisko, bardzo nisko przed krucyfiksem, jak chłopka. Po co? Bóg był P a n e m Bogiem gdzieś tam, a ona była P a n i ą na Wartburgu. Nie wypadało.

Potem Ludwik wybrał się do Ziemi Świętej. Nie dojechał, umarł na febrę w Otranto. Ludwikowa matka, Zofia, oddała Elżbiecie jego pierścień. Obyczaj nakazywał: przyjąć cios z godnością. Elżbieta biegnie na oślep przez wszystkie korytarze, obijając się o framugi, wreszcie przywiera do muru z jednym nieprzytomnym wyciem: „umarł, umarł!!". Niesmaczne. Nigdy nie umiała zachować się odpowiednio.

Zaczyna się kołomyjka. Ludwik umarł, Wartburg przejmują jego bracia. Elżbieta musi się wynosić z dziećmi. Nie musiałaby, gdyby była inna. Ale Wartburg chce się jej pozbyć: musi być koniec z Elżbietą. Zaraz: a cóż ona tam zmalowała, poza etykietalnym zgorszeniem? Włóczyła się konno po kraju, debatowała z chłopstwem i robiła potem niesmaczne demonstracje: oklinała dwór, że żyje z cudzej krzywdy. Mało: rozkradała skarbiec zamkowy. Serio? Serio. W czasie głodu opróżniła go doszczętnie, spichrze też, z awanturą. Szwagier Henryk jest człowiekiem rozsądnym: „gdyby dać Elżbiecie wszystkie ziemie Germanii, rozdałaby je nędzarzom". Mają dość dziwadła.

Więc: rrraus z Wartburga. Ale daleko jej nie puszczają; po co ma rozrabiać? Gdzieś pod zamkiem niech sobie założy szpital i pielęgnuje chorych. Sama tego chce. Zresztą: to nawet ładnie będzie wyglądało: pobożna wdowa po niedoszłym rycerzu krzyżowym, oddana uczynkom miłosierdzia... Dają jej pięćset talarów. Pieniądze oczywiście zaraz rozdała. A spowiednik...

Brat Konrad z Marburga był postacią z czarnego romansu, chociaż otaczała go opinia świętości. Przez tę opinię Elżbieta, przyjmując go, strzeliła kiedyś — jeszcze za życia Ludwika — kapitalne, idiotyczne głupstwo: złożyła na jego ręce ślub posłuszeństwa. „Kierownik duchowy". Była wtedy zupełnie jeszcze zielona. Ale niemal-że z punktu zaczęła z nim walczyć. Był surowy, kazał się biczować. Rankiem śmiała mu się w nos: „zdaje się, że niektórzy pobożni ludzie chcą straszyć Pana Boga ponurą gębą?". Nie cierpiał jej.

Teraz się odgrywa. Robi rzecz zgoła nieludzką: odbiera jej dzieci. A dzieci kochała tak samo bez umiaru, jak Ludwika. Odbiera jej także dwie ostatnie przyjaciółki. Widzi w niej pychę, światowość, roztrzepanie, przywiązanie do świata. Musi ją złamać — dla jej dobra. Nie złamał. Wtedy zaczął szaleć: zakaz pielęgnowania chorych, zakaz uczynków miłosierdzia, zakaz rozdawania chleba, zakaz, zakaz, zakaz. Zrozumiała: albo złamie przyrzeczenie posłuszeństwa,

albo — Ewangelię. Przyrzeczenie było wtedy kwestią honoru, a honor był rzeczą bardzo serio. W totalnie chrześcijańskiej społeczności kastowej wybaczano bardzo wiele jawnie niechrześcijańskich rzeczy i bardzo wiele jaskrawych świństw, ale złamanie przyrzeczenia dawało prawo naplucia w gębę. *Au Dieu mon âme, ma vie au Roi, mon coeur aux dames, l'honneur pour moi*; „dusza Bogu, życie Królowi, serce damom, honor — dla mnie". Taki był kodeks. To był czas, kiedy uwięziony rycerz był zwalniany na słowo i wracał, ponieważ przyrzekł. Elżbieta była z tego kręgu. Brat Konrad przyłapał ją z trędowatą dziewczynką i spoliczkował. Złamała przyrzeczenie.

Wykończyli ją szybko, prawie jak w lagrze: umarła, mając lat 24. Zadziobali odmieńca pobożni chrześcijanie. Jednakże stała się rzecz bardzo dziwna: to właśnie brat Konrad wszczął starania o jej kanonizację. Obłuda? Nie. O wiele bardziej skomplikowane sprawy.

Ta dziewczyna burzyła jego świat już od dawna, już od początku: świat surowej, prawniczej, cesarsko-rzymskiej litery, narzuconej na Ewangelię. Elżbieta była żywiołową. On był uporządkowany, pokratkowany, poszufladkowany. Był twardy. Ale zrozumiał, że ona — pod powierzchownością leśnego ptaka — jest twardsza, niż germańskie żelazo. Bał się jej: że zburzy mu jego świat. Bał się, że to ona ma za sobą jakąś wielką słuszność, nie on. Bił się o prawdę tego swojego wewnętrznego świata — jedyne, co posiadał, mnich żebraczego zakonu. Miał opinię człowieka zrównoważonego. Potem cała ta obłąkana szarpanina spowiednika z dwudziestoletnią dziewczyną wyglądała na konwulsje człowieka ogarniętego panicznym lękiem. Daleko zaszedł brat Konrad. Elżbieta umarła. Ale to on przegrał. Jego list do papieża był listem klęski, przekreśleniem własnego świata. Rzecz węzłowa: n i e m u s i a ł t e g o r o b i ć. Przy Elżbiecie była tylko stara chłopka, przygłupek — i on. Pies z kulawą nogą nie dowiedziałby się nigdy, co właściwie się działo pod murami Wartburga. Na dwór węgierski, na zaprzyjaźniony dwór polski (jako że Kinga była jej bratanicą), do Rzymu wreszcie można było wysłać gładki komunikat: „Elżbieta, wdowa po landgrafie Ludwiku, oddawszy dzieci światu, zaś dni swoje uczynkom miłosierdzia...". Brat Konrad mimo wszystko był człowiekiem odważnym, potrafił udźwignąć ruinę swojego świata. Powiedział: święta. Praktycznie musiał też powiedzieć: zabiłem ją. Dokładna relacja — choćby nie wiem, w jakie słowa owinięta — nic innego nie mogła znaczyć. Bardzo wiele rzeczy musiał teraz mówić brat Konrad — i było to, jak dźwiganie kamieni ze zburzonego huraganem gmachu jego życia. Ale mówił. Mówił twardo do końca, jak rzeczy się miały. To było chyba i jego zwycięstwo także — na ruinie.

Taka stara, średniowieczna historia. Do diabła z całym historycznym kamuflażem, z dekoracjami czasu i miejsca, z Wartburgiem i mnichami, to przecież zupełnie nieważne. Więc — co? „Wzór"? Nie. Wzory są do taśmowej produkcji. A tu — zwyczajnie: dobrze jest dotknąć pewnych rzeczy. Dobrze, że są. Dobrze, że żyła kiedyś Elżbieta — i że była taka, jaka była. Nic więcej.

Myślę o ojcu Kolbe. Gdyby nie Oświęcim... Właśnie. Gdyby nie Oświęcim — ojciec Kolbe redagowałby zapewne dalej „Rycerza Niepokalanej" i zakładał kółka „Milicji Niepokalanej". Może to bardzo ważne, może nie, nie wiem, nie znam się na organizacjach „paramilitarnych" i osobiście nie są mi one potrzebne do szczęścia. Jeśli potrzebne innym — szczęść Boże. Ale był Oświęcim. Była pewna sytuacja graniczna, z serii *aut* — *aut*. Fakty są wiadome: zgłosił się dobrowolnie na śmierć głodową w bunkrze — za drugiego człowieka. Bardzo niepozorny człeczyna, szary, zwyczajny, w drucianych okularach. I nagle ten dźwięk — wysoki, śpiewny; jakby uderzono w napiętą klingę z damasceńskiej stali. Skądże to w nim? A właśnie to jest potrzebne: ten błysk w szarej nędzy, to dotknięcie. Że jest.

Wiem: trwa proces kanonizacyjny. Będą potem biografie najdokładniejsze i rozważania każdego roku w Niepokalanowie, cytaty i odsyłacze. Może wydania jego pism i listów. Obrazy w ołtarzach. Okolicznościowe kazania. Bardzo dużo słów i dyskontowanie: kto pierwszy powiedział, kto więcej. Przykryją, zagadają na śmierć tamtą jedyną minutę, kiedy pod pustym niebem z ołowiu wystąpił z dwuszeregu pasiaków któryś tam numer i powiedział: ja pójdę. A ludziom tylko to jedno jest potrzebne: nadzieja, że to możliwe, że realne, że jest. Bez nadziei można się powiesić.

Wracam do kolorowych książeczek. Pierwsza z brzegu, nie przebierając. Kto? Karol Boromeusz. Renesans. Kolorowe, burzliwe czasy. Kościół Katolicki — zgorszenie buntowników i herezjarchów. Krzyczeli: *magna meretrix*! Cóż, nie bez racji krzyczeli. Grzechów głównych jest siedem i wszystkie pięknie się mieściły w Kościele Rzymskim. Więc: Luter. Więc: Kalwin. Wielki oswobodziciel niepogodzony z nietolerancją Rzymu, walczący z gwałtem sumienia, z przekupstwem, z rozwiązłością. Tak. Ale w kalwińskiej Genewie urzędniczymi, ponurackimi przepisami objęto na równi słuchanie kazań, jak i ilość dań obiadowych, fason obuwia i uczesanie kobiet. W mieście, które miało być sztandarem wolności i żywym świadectwem odnalezienia Ewangelii — płonęły od nowa stosy. W obecności Kalwina spalono Michała Serveta. Świat w mroku wszędzie, w Rzymie i w Genewie. Przeklęta gęba rzeczywistości, natrząsająca się z wielkich i pięknych zamierzeń.

I Karol Boromeusz. Nie, nie będę pisał „żywociku". Trzeba tylko

rzucić parę obrazów i uchwycić ich spięcie. Wtedy znów dotknie się tajemnicy świętości.

Hrabski synek. Wielki ród — Boromeusze. A matka — de Medici. Cała Italia znała te nazwiska. Ale chłopak był nieudany. Brzydki, nieśmiały, z wadą wymowy, słabowity, okropnie wolniutko myślący, mało bystry. Więc oczywiście: do kariery duchownej. Boromeusz musiał zrobić karierę. Nawet nieudany Boromeusz. Miał osiem lat, gdy — dzięki nazwisku — uzyskał tonsurę. W trzynastym roku życia został opatem benedyktyńskim.

Wuj Medyceusz został obrany papieżem, siostrzeniec Boromeusz powędrował na dwór papieski. W ciągu siedmiu dni został tajnym sekretarzem papieża, protonotariuszem apostolskim, kardynałem i administratorem diecezji mediolańskiej. Tylko arcybiskupem nie mógł zostać nepot papieski. Bo nie miał święceń.

Takie utytułowane zero z wielkim nazwiskiem, takie nic. Synekurki i tytuły: legat Bolonii, Romanii i Ankony, protektor Portugalii, Niderlandów i Szwajcarii, protektor franciszkanów, karmelitów, humiliatów, kanoników regularnych etc. No tak: 48 tysięcy skudów rocznie, olbrzymia suma. Stu pięćdziesięciu dworzan w czarnym aksamicie Boromeuszów. Wielkie gry, wielkie protekcje. Starszy brat bierze córkę księcia Urbino i tysiąc dukatów w złocie za tytuł „generalnego kapitana Kościoła". Siostry wychodzą za mąż: Gonzaga, Colonna, książę Venosa...

Przerzućmy karty: czas tuż po soborze Trydenckim, Mediolan. Co się tam dzieje? Nie lepiej i nie gorzej, niż wszędzie: duchowieństwo w rozkładzie, ludek w czarach, w kościołach odbywają się jarmarki i tańce. Czasem też młóci się w nich zboże, albo spędza trzodę na noc. W klasztorach... no, dajmy już spokój. Umarł medycejski papież Pius IV. Zaś w Mediolanie — Boromeusz. Arcybiskup Boromeusz, który po śmierci jedynego brata zawiódł nadzieje rodziny, przyjmując tajnie święcenia. Brzydki, nieśmiały jąkała, który wymykał się potajemnie do przedmiejskich kościołów i gadał, gadał, gadał z ambony, zwyciężając własne kalectwo. I gryzł palce z upokorzenia.

W żadnej z sąsiednich diecezji nie przeprowadzono dotąd żadnych reform. Cały ten upiorny świat w imię obrony „tradycji kościelnej" staje przeciwko Boromeuszowi. Jednakże nieśmiały fajtłapa w krótkim czasie rozpędza na cztery wiatry dwadzieścia klasztorów. Wtedy humiliaci postanawiają go zabić. Zamach, dokonany przez humiliackiego mnicha — chybia. Dopiero wtedy po stronie arcybiskupa staje mediolański ludek. Ale Mediolan jest wtedy hiszpański, zaś Hiszpanie nie bardzo wiedzą, co takiego montuje tu ten Włoch — i przeciw komu. Więc donosy. Donosy do Madrytu, donosy do Rzymu.

Przerzućmy znów karty: to już prawie koniec. Czarna śmierć, mór w Mediolanie. My dzisiaj, zanurzeni w naszej plastikowej, antyseptycznej cywilizacji — nie pojmiemy już, że mór był Apokalipsą. Wtedy wiedziano tylko jedno: że ludzie umierają wszędzie, dniem i nocą, za stołem, na ulicy, w domach i gospodach — padają i czernieją, dusi ich śmierć. Wstawał obłędny strach i ludzie szaleli. Rżnęli się, mordowali, biczowali, gwałcili, rozbijali, rabowali; może jutro, może zaraz — śmierć. Uciekli wszyscy, którzy mogli uciec. A na drogach stały chłopskie pikiety z pałkami, pędziły precz.

Boromeusz nie uciekł. Mediolan oszalał i arcybiskup oszalał także. Wyniósł z pałacu wszystko, wytaszczył nawet własne łóżko, zostawił gołe mury i oddał je miastu. Ratował, co mógł — w worze, boso, narzuciwszy na szyję powróz zamiast łańcucha, w oszalałym tłumie grzebał trupy, był przy chorych, zbierał dzieci. Był z Mediolanem — do końca, z całą spopielałą przeszłością. Rzecz nie do wiary: ten sam kler, który kiedyś pokazywał mu zęby i gotów był gryźć — był teraz z nim. W obłąkanym mieście nikt nie znalazłby uciekinierów. Zostali. I szli do dołów. Zupełnie niewiarygodne.

Kiedy po morze spadła nędza i głód — były nepot papieski także został nędzarzem. Pożyczał — nie dla siebie. I umarł z wierzycielami na karku. Brzydki, nieudany Boromeusz. Gdzie się właściwie podziały tekturowe dekoracje epoki, skudy, dukaty i tytuły i nawet *Tridentinum*? I nawet jego synody i wizytacje? Ważne tylko jedno: spięcie pomiędzy początkiem i końcem. Takie zero, takie nic — i ukryta w tym człowieku iskra rzeczy niewyrażalnych. Musieli ją jakoś wyczuć ci, którzy w czas moru odnajdywali w sobie wierność: musieli jej dotknąć, skoro szli w śmierć z dobrawoli, nie z musu.

A nam dzisiaj jest trudno. Byliśmy zbyt wynalazczy. Już na długo, bardzo długo przed wynalazkiem filmu — kręciliśmy z żywotów świętych chrześcijańskie filmy w technicolorze. Zabijaliśmy naszych świętych już we wczesnym średniowieczu, zanim powstała skodyfikowana *Złota Legenda* Jakuba de Voragine. Właśnie przez to, że przenosiliśmy ich do legendy — na płaszczyznę barwnego średniowiecznego westernu, czy może wręcz comicsu o „pozytywnym bohaterze". Wieki pracowały uparcie nad tym, aby zetrzeć z nich każdy pył ludzkich dróg, uprasować każdą fałdkę indywidualności i łatwą muzyczką zagłuszyć ich nieme tajemnice. Jeśli się to niezupełnie udało, to tylko dlatego, że w swej pulsującej zwyczajności byli zbyt żywotni i zbyt indywidualni. Kiedy przyszedł czas oleodruków i bibelotów — o mały włos nie zarżnęliśmy ich do końca. Otoczyliśmy świętych różowo-niebieską mgiełką, posadziliśmy na

obłoczkach, jak martwego owada w pudełku z watą. Zdawało się, że koniec. Szli martwi, dalecy, niepotrzebni święci. Uszminkowane, żałosne trupy ludzkiej nadziei. A także ludzkich dobrych intencji; bo przecież to z nadmiaru uczuć nabożnych i pedagogicznej troski stało się tak.

Niepotrzebni, bo zbyt dalecy. Niepotrzebni, bo nieprawdziwi. Bodaj, że dopiero kpiarz Chesterton na dobre dogrzebał się w nich życia; nie uczeni teologowie i nie autorzy teoretycznych rozpraw o świętości.

Ale to wszystko nie jest sprawą prostą. Jesteśmy niewolnikami własnej przeszłości kulturowej w stopniu o wiele większym, niż się nam wydaje. Dźwigamy ją, sami o tym nie wiedząc; jest w nas samych, choćbyśmy tego nie chcieli, skrycie. Czy dziś, w naszej epoce umownych obrazów i telewizyjnej papki możliwe jest dogrzebanie się prawdy, ukrytej w ich tajemnicy? Nie wiem. Może przyjdzie starać się o to tylko, aby nasza umowna „prawda o świętych" była dobrym westernem, a nie kiczem. Może przyjdzie przyjąć pokornie cień cienia — podobnie, jak przyjmuje się cień prawdy filmowego szeryfa *W samo południe;* ze świadomością, że i w tej historii jest przecie skryty błysk pewnej intuicyjnie dotykalnej dobrej nowiny bardzo ludziom potrzebnej, ale też przecie zamkniętej w pudle legendy. A potem ekran gaśnie, za drzwiami pada prozaiczny deszcz i wypada pójść na kawę. To nie jest pesymizm, to jest trzeźwość. W tych trzech urywkowych relacjach na wstępie z premedytacją i uporem maniaka starałem się odstawiać dekoracje, historię, kamuflaże. I dobrze wiem: nie udało się. Zostały. Jeśli te migawki są odrobinę mniej kiczowate — to już dużo. Jeśli poprzez nie — pod słowami i mimo nich — czyjakolwiek intuicja zdoła bodaj przelotnie wyczuć to, o co naprawdę w tej historii chodzi — będzie to bardzo wiele. Na pewno ktoś o większym talencie potrafiłby osiągnąć o wiele większy „stopień zbliżenia". Ale sądzę, że niezależnie od tego pozostanie element klęski. Myślę, że nie wywikłamy się z konwencji — tak, jak tamci ludzie są obiektywnie nie do wywikłania ze świata czasu i miejsca. Czas umiera i cień tej śmierci musi się kłaść pośrednio także i na nich, musi przesłaniać także i ich tajemnicę.

Gdy chce się powiedzieć: „nie bądź nabożnym manekinem" — mówi się: „nie bądź taki święty". To nie jest złośliwość, przypadek i zła wola. To tylko bagaż konwencji, przyjętej bardzo już dawno. Bagaż, który stał się garbem. A także konsekwencja spraw o wiele głębszych: bagaż niezawinionej ludzkiej ograniczoności. Być może wszystko, co w tym zakresie jest realnie do zrobienia — ogniskuje się na rzeczowo umotywowanych (bo zgodnych z prawdą historyczną) usiłowaniach, aby powiedzonko to stało się jawnie nieadekwat-

ne i płaskie. Na tym, aby „niepotrzebni święci" przełamali krąg legendy, oderwania i martwoty. Aby ożyli w całej swej ludzkiej prawdzie, o ile jest to możliwe. Aby stali się kimś z ciała i krwi i aby w tym życiu pulsowało wyczuwalnie ukryte jądro ich tajemnicy.

Bo świętość istotnie jest rzeczą tajemną. Tajemny jest ów „wspólny mianownik", który potrafił ich łączyć i scalać — nie burząc nigdy, nie dotykając nawet wyraźnych inwidualności, często jaskrawo przeciwstawnych. Bo byli wśród nich ludzie wszelkich możliwych temperamentów i usposobień, wszelkiej proweniencji, wszystkich możliwych zalet (a także i wad), bardzo osobni i bez kliszek. Gdybyśmy potrafili odgrzebać ich żywość i prawdziwość — przyszłoby złapać się za głowę, jakim przedziwnym cudem spotyka się na pewnej płaszczyźnie orientacyjnej impetyczna i pyskata mieszczka florencka i flegmatyczny intelektualista uniwersytecki, wycirus w żołnierskim kubraku i mniszka. Przedziwne w swym indywidualizmie postacie spotyka się w almanachu świętych; to tylko my sami dla świętego spokoju powbijaliśmy ich w standardowe wdzianka świętości. Tajemne są też ich metamorfozy, niczym specjalnie uchwytnym nie umotywowane w sposób wystarczający. Katarzyna ze Sieny nie musiała kręcić papiestwem, nierzadko przy użyciu impertynencji w typie „nie bądź dzieckiem" do następcy św. Piotra, bagatela; równie dobrze mogła nie wygrzebać się z za kramu, jak wiele bliźniaczo podobnych Katarzyn. Franciszek Bernardone mógł zostać wędrownym rybałtem na drogach Italii, uciekłszy z domu ojca. Został istotnie — ale jakim! Chmielowski nie był jedynym, który zajrzał na dno ludzkiej nędzy; dlaczego akurat on w nią wszedł? Bo był „świętym z urodzenia", bo miał predyspozycje? Akurat.

Ale jądro tajemnicy tych ludzi jest jeszcze głębiej ukryte. Tego się już powiedzieć nie da wprost, to można tylko wyczuć pod palcami. Dotyka się go może nawet jeszcze nie wówczas, gdy Elżbieta łamie najświętsze prawidła rycerskiej epoki i swoich społecznych uwarunkowań; może raczej dopiero wówczas, kiedy twardy brat Konrad zostaje ciśnięty o ziemię na rumowisku swojego świata właśnie wtedy, gdy wszystko jest już pozornie skończone — po *requiem* dla Elżbiety. Wtedy, gdy łysawy więzień Oświęcimia przekreśla nagle obłędną prawdę lagru i wydaje ją na pośmiewisko. I kiedy papieski nepotyzm, magia epoki dyplomatów, trucicieli, interesów, rodów, złota i dworów rozwiewa się nagle w obrazie Boromeusza w oszalałym dżumą Mediolanie; gdy za przyczyną fajtłapowatego jąkały idą w czarną śmierć ci sami księżą, którzy jeszcze tak niedawno nie pamiętali nawet formułek mszalnych. Niechże mi już nikt nie plecie o doniosłej roli Karola Boromeusza w obradach

Soboru Trydenckiego — wiem, wiem, zgoda, to prawda. Nikomu do niczego nie potrzebna. Potrzebne jest tylko tamto.

Powiedziałem: nadzieja. A to jest grubo więcej. Ale o tym już nie da się mówić. Trzeba na tym położyć rękę i milczeć.

*

To wszystko nie wyczerpuje jeszcze problemu, jest tylko próbą naświetlenia jednego z rewirów. Tego — w pewnym sensie — „urzędowego". A warto tę sprawę naświetlić także i z nieco innej strony.

W pierwszych wiekach chrześcijaństwa nie było procesów kanonizacyjnych w aktualnym dziś znaczeniu. Procedura była znacznie uproszczona: Kościół potwierdzał swoim autorytetem pewne społeczne przekonanie o świętości danego człowieka. W wypadku np. ludzi ponoszących śmierć za wyznawanie swej wiary, nie wymagało to długich korowodów. Sytuacja musiała ulec komplikacji już w momencie, gdy chrześcijaństwo stało się religią panującą, zaś filozoficzno-doktrynalny dorobek teologii bardzo znacznie się rozrósł. Działały — bo działać musiały, to rzecz ludzka — zarówno naciski pewnych określonych koncepcji teologicznych, skąd np. obfitość członków wspólnot zakonnych w „almanachu świętych", jak i naciski socjalne, które to elementy nierzadko ulegały przemieszaniu. Zupełnie np. nie wiadomo, na jakiej innej rzeczowej podstawie można by szukać wytłumaczenia faktu, że punktem honoru każdego nowego zakonu czy zgromadzenia była i jest ambicja wyniesienia na ołtarze swego założyciela. Jednym słowem — zrobił się tłok. Reakcja nie mogła być inna, niż była: zaostrzono, skomplikowano i utrudniono proceder kanonizacyjny. Rdzeń, co należy podkreślić, pozostał bez zmian: kanonizacja do dziś dnia nie jest niczym innym, jak potwierdzeniem przez autorytet Kościoła przekonania społecznego. Tak, ale ów rdzeń obrósł wielowarstwową i wielopiętrową machiną procesów i postępowań dokumentacyjno-dowodowych, które trwają niekiedy bardzo długo i — powiedzmy sobie całkiem szczerze — kosztują.

Z której to realnej sytuacji — być może trudnej dziś do zreformowania — wynikają zupełnie oczywiste konsekwencje.

Żyjemy w świecie zetatyzowanym i nie bez racji powstało powiedzonko, że „człowiek składa się z ciała, duszy i papierów". Można by dodać: także i z pieczęci. Papiery i pieczęcie towarzyszą nam od urodzin aż do zgonu i bywają tym elementem, dzięki któremu bardzo wiele życiowo ważnych spraw nieba tzw. *Amtskraftu*. To jest skądinąd wredne. Ale to jest realna rzeczywistość. W tej rzeczywistości powstała sytuacja, w której również i świętość wydaje się w pewnym sensie kwestią papierka i pieczęci — jak akt na-

rodzin, jak świadectwo czy dyplom; przyjdzie mi jeszcze powrócić do tej sprawy. Procesy kanonizacyjne wydają się być w pewnym stopniu równoznaczne ze swoistą „etatyzacją świętości", co siłą rzeczy stwarzać musi dystans podobny temu, jaki powstaje np. pomiędzy samoukiem bez dyplomu i jegomościem, który ów dyplom posiada. Ten dystans istniał w czasach, gdy dyplomy budziły nabożny szacunek „same z siebie". Nie uległ on pomniejszeniu dziś, gdy ów nabożny szacunek w odczuciu społecznym nieco się zdewaluował, a to na skutek trzeźwej skądinąd obserwacji, że ostatecznie papierek i pieczęć nie koniecznie muszą kryć spodziewaną zawartość faktyczną. Mówiąc najzupełniej szczerze: niezmiernie trudno byłoby mi np. uwierzyć, iż zanotowany w almanachu św. Henryk (chodzi o jednego z cesarzy niemieckich tego imienia) istotnie był święty. Jest to co prawda taki „mniejszy, lokalny święty", którego cześć nie przyjęła się powszechnie w Kościele (zapewne z braku społecznego uznania), jednakowoż — jest. O ile wiadomo z historii, głównym zajęciem tego dżentelmena — poza rządzeniem — było dość precyzyjne wyrzynanie plemion słowiańskich. Nie jestem w tej chwili dokładnie zorientowany, jak akurat w tamtych latach miała się sprawa z papiestwem, jednakże muszę szczerze powiedzieć: pojęcia nie mam, co właściwie mam zrobić z faktem, że jednak Kościół „zatwierdził go na etacie świętego". Nie mam zaufania do tej decyzji. Mam natomiast nadzieję, że nie zostanę potępiony za wyrażenie opinii, iż wymieniony dżentelmen nigdy nie zostałby uznany za świętego, gdyby nie był cesarzem. Wypada zanotować na marginesie: bywają także i tego typu dystanse.

Nie jestem też całkowicie pewny i przekonany co do tego, że tworzenie pewnego dystansu pomiędzy „Ludem Bożym" i świętością naprawdę nie leżało w intencji historycznych ośrodków kierowniczych Kościoła. Powoli; problem dystansu trzeba koniecznie opukać bliżej.

Osobiście nie jestem anarchizującym Dyziem, straszącym pobożne ciocie wywracaniem świata na nice. I powiedziałbym tak: wiem, że ów dystans — jeśli się nań popatrzy od strony jedynie właściwej — istnieć musi. Ten jedynie dla mnie właściwy sposób patrzenia nie wynika bynajmniej z uznania autorytetu papierka i pieczęci; wynika z niepodważalnych faktów. Zwyczajnie: nie jestem wcale pewny, czy stać by mnie było na czyn Ojca Kolbe, a wiem na pewno, że nie stać mnie na postawę Brata Alberta. Skoro tak sprawy się mają, to wobec tego nie pozostaje nic innego, jak uznać bezsporny fakt, że ci dwaj i bardzo wielu innych — było ludźmi „większego kalibru" niż ja (i zapewne bardzo wielu ludzi podobnie szarych i zwyczajnych). To zaś siłą rzeczy musi stwarzać pewien dystans. Przy tego rodzaju rzeczowym patrzeniu na sprawy — jest on do przyjęcia

bez oporów. Po prostu jako fakt. „Przeciwko faktom nie ma argumentów". Ani też wykrzywiania się.

Dystans taki nie jest równoznaczny z oderwaniem. Myślę, że każdemu z nas żywotnie potrzebne jest istnienie kogoś lepszego i bardziej prawdziwego, niż my sami. Dobrze jest wiedzieć, że jest ktoś taki — dobrze jest z nim pogadać. Ale nawet bardziej może to pierwsze: świadomość, że jest ktoś taki. Dobrze jest także wiedzieć, że pewne rzeczy są możliwe, realne i wykonalne; nawet wówczas, gdy dla nas subiektywnie wydają się wręcz nieosiągalne. Powtarzam: to nie daje oderwania. Wręcz przeciwnie: daje pewne zbliżenie.

Jeśli w problemie tym są elementy zasługujące na rewizję (być może nawet bardzo radykalną) — to są nimi na pewno realizacje wszelkiego typu sztucznych, nieprawdziwych dystansów. To właśnie one dają efekt oderwania i stwarzają „niepotrzebnych świętych".

A więc: fałszowanie przez hagiografów rzeczywistości o świętych, zamienianie ich żywotów w baśń. Wiem, że nie wynikało to ze złej woli, że dyktowane było częstokroć najlepszymi intencjami. Jednakże należy sobie zdawać sprawę z tego, że jest to robota w najwyższym stopniu szkodliwa i w gruncie rzeczy świadcząca już nawet nie o małoduszności, lecz wprost o niedomogach wiary. Czyjaś „przygoda z Bogiem" jest faktem dość wielkim i wstrząsającym, aby w jej cieniu nie miał się pomieścić z powodzeniem cały, prawdziwy człowiek — taki, jaki realnie był. Ci, którzy w najlepszych intencjach zabierają się do zabiegów retuszerskich — dają tym dowód, że najwidoczniej fakty nie są dla nich wystarczające — skoro wymagają cenzuralnych cięć i sztukatorskich uzupełnień. Dystans pomiędzy „zwykłym człowiekiem" i świętym „człowiekiem bardziej prawdziwym" nigdy nie może być nieprzekraczalny, pozbawiony bodaj szans zbliżenia czy najeżony obcością. Natomiast dystans dzielący nas od wysztafirowanej i uszminkowanej kukły — m u s i być nieprzekraczalny, wynika bowiem nie z różnicy stopnia, lecz z antynomii pomiędzy realnym życiem i woskową martwotą. W wypadku świętych jest to dystans całkowicie sztuczny.

Dalej: istnieje niezmiernie trudny i subtelny problem sztucznych, fałszywych dystansów, wynikających z tego, co nazwałbym tendencją do totalnej sakralizacji. W czym rzecz?

Święci byli i są ludźmi, żyjącymi w konkretnych, historycznych warunkach czasu i miejsca. W kręgu tajemnicy ich świętości leży niewątpliwie także i fakt, że owe historyczne uwarunkowania niejednokrotnie łamali; że wyrastali ponad nie; że się im sprzeciwiali — tak, jak to np. czynił św. Franciszek. W tym samym kręgu leży także uniwersalna, ponadczasowa wartość ich świadectwa. Jednakże jest rzeczą nie do pomyślenia, aby — pozostając przecież

ludźmi — mogli się od owych uwarunkowań całkowicie uniezależnić. Rzeczą równie niemożliwą jest, aby owe uwarunkowania mogły pozostać bez wpływu na ich mentalność, sposób myślenia, formację etc., do czego dodać należy także ich indywidualne cechy osobowe, pozostające nie bez wpływu na formę ich świętości.

Ich osobista „przygoda z Bogiem" — to niewątpliwie pewne *sacrum*. Ale to wszystko, co związane jest z przemijającymi uwarunkowaniami historycznymi — samo w sobie nie jest już, jak sądzę, rzeczą sakralną i wiecznotrwałą. Tymczasem obserwuje się tu ciekawy proces: oto w bardzo wielu wypadkach czyjaś świętość, fakt jej istnienia — wywołuje tendencję sakralizacji wszystkiego, co w jakikolwiek bądź sposób wiąże się z postacią, życiem i działalnością świętego. Chodzi tu już nie nawet o jego osobisty „sposób uprawiania świętości", lecz narówni o akcydensa zupełnie nawet uboczne. To już nie jest problem pobożnego fałszerstwa; to naprawdę bardzo subtelny problem montowania sztucznych i niepotrzebnych dystansów wynikających z faktu, że wraz z czyjąś świętością próbuje się przemycić w jej krąg cały „osobisty bagaż historyczny" świętego. Następuje w tym trybie bardzo dyskretny, swoisty, trudno uchwytny, ale w wiązaniach swych doprawdy stalowy „proces kanonizacyjny" owego bagażu. Kanonizuje się nie tylko czyjeś heroiczne czyny; także ich historyczną, minioną otoczkę. Nie tylko czyjść gigantyczny wysiłek wierności; także jego historyczne akcesoria i nawet formuły słowne. Robi się ze świętego kogoś w typie mitycznego króla Midasa, pod którego dotknięciem wszystko musiało zamieniać się w złoto. I oto minione, bo historyczne, formy stają się nagle czymś uświęconym, czymś świętym. Ta świętość nie jest prawdziwa, ale wynikający z takiej totalnej sakralizacji dystans stać się może czymś nie do pokonania. Dla mnie osobiście arcysympatyczna jest np. postać św. Ludwika; wątpię jednak, aby jego świętość obejmowała także akcesoria jego królewskości, całą historyczną otoczkę jego osoby. Było dotknięcie świętości np. w bezkompromisowo uczciwych, sprawiedliwych i rzetelnych sądach, ferowanych przez Ludwika. Ale nie wolno powiedzieć: „przez Ludwika królewskość stała się święta". Bo zaraz potem musiałoby się konsekwentnie powiedzieć: świętość minęła, ponieważ nie ma już sprawiedliwych królów. Bliska mi jest uparta mieszczaneczka Teresa, zinfantylizowana przez wiek XIX, jako „mała święta Tereska". Ale z tego wcale nie wynika i wynikać nie może, iż jej niewątpliwie dziewiętnastowieczna formacja też jest święta. Nie, nie jest święta. Należy, jak sądzę, powiedzieć: także i poprzez tę właśnie formację (nie dzięki niej, lecz niezależnie od niej) — zrealizowana została czyjaś świętość. Św. Franciszek nie lubił książek, trudno; czy należałoby sakralizować tę

antypatię i orzec, że niechęć do książek jest cechą świętości? To nie jest wydumany problem. Chciałbym mieć tyle włosów na łysiejącej już zwolna głowie, ile jest prób sakralizacji gustów i antypatii ludzi świętych, ich bagażu osobistego, ich bagażu historycznego. Proceder ten można by porównać z uwiązywaniem u szyi świętego kamieni młyńskich, nieodwołalnie ściągających go w głębokość minionej przeszłości; w strefę rzeczy umarłych. A tego rodzaju dystans jest nie do pokonania. To właśnie ten mechanizm utrupił Słupników i anachoretów, pustelników i królów: zsakralizowane akcesoria, otoczki, formuły, zsuwając się w śmierć, zabiły w naszej świadomości także i ludzką świętość. To nawet nie musi być problemem czasów aż tak odległych. Ostatnio miałem okazję zetknąć się z bardzo wyraźnymi próbami sakralizacji prywatnych listów Brata Alberta, zgoła już nieznośnych dla nas w swej szczebiotliwej konwencji.

Powiedziałem: trudny i subtelny problem. Dlaczego? Bo: o wiele łatwiej jest obronić się przed sztukatorami świętych. Ostatecznie istnieją jeszcze dokumenty, można sięgnąć do nich i powiedzieć: to jest prawdą, tamto zaś — baśnią. Tu zaś zniwelowanie sztucznych dystansów jest rzeczą nieporównanie trudniejszą. Wymaga bowiem przedzieranie się poprzez rzeczy, które przecież dla tamtego człowieka były bliskie i własne. Rozumiem psychikę ludzi, którzy ową totalną sakralizację przeprowadzili i bronili jej: wydawało się im, że bronią *integrum* osoby świętego. Była w tym na pewno jakaś bardzo słuszna myśl wiodąca: że nie wolno człowieka rozbijać. Zapomniano tylko o jednym: że w owym osobowym *integrum* ludzkim świetnie i bez konfliktów współistnieć mogą świętość i nieświętość; to, co nieprzemijalne w swym jądrze i to, co przeminąć musiało. Przyznaję: w zwalaniu tych opłotków jest coś ze złodziejskiego gestu ręki, sięgającej do czyjegoś serca poprzez ubranie i może nawet przez czyjeś ciało. Ale sądzę, że jest to konieczne. Żyjemy w czasie i przestrzeni, to nie nasza wina. Gdy czas upłynął zbyt długi i przestrzeń stała się zbyt wielka — nie pozostaje już nic innego, jak dotknąć ręką owego „serca świętości": aby przekonać się, że jest żywe. Trzeba to robić bardzo ostrożnie i trzeba mieć dotyk chirurga; bo brutalne wtargnięcie pomiędzy martwą tkankę minionych akcesoriów i czyjeś żywe serce może zakończyć się katastrofą. Ale innego wyjścia nie ma. Ci, którzy chcieliby bronić totalnej sakralizacji, *integrum* świętości i formuł historycznych — muszą pamiętać, że ofiarowują ludziom jeden tylko logiczny wniosek: „nie ma świętości, ponieważ przeszłość minęła". To też stwarzałoby „niepotrzebnych świętych".

I wreszcie: sprawa owej machiny kanonizacyjnej, sprawa „etatyzacji", pieczęci etc. Rzeczą niemądrą byłoby kwestionowanie

praw Stolicy Apostolskiej do autorytatywnego orzekania w tej kwestii. Przekonanie społeczne może być mylne i jestem święcie przekonany, że gdyby nie Rzym i jego sita, mielibyśmy na karku cały już legion nieświętych świętych, ustanowionych czyjąś prywatną lub grupową dewocją, albo interesami, nic wspólnego nie mającymi z jakąkolwiek świętością. Jest jednak szereg spraw domagających się reformy i przemyślenia. Nie chodzi tu wcale o rzeczy administracyjne w typie ewentualnego zrewidowania machiny. Chodzi o rzeczy ważniejsze.

Zwrot o „wyniesieniu na ołtarze" wydaje się szczególnie niefortunny. Brzmi on jak komunikat o wyniesieniu pana X na fotel ministerialny. I zawiera taką właśnie implikację: że oto pana X wyniesiono na ołtarz, powierzono mu pewną funkcję, uczyniono go kimś, kim nigdy by nie był bez nominacyjnego papierka z pieczęcią. Zwrot ten, który przecież nie pojawił się znikąd, lecz jest wyrazem pewnego urzędniczego sposobu myślenia — wydaje się rzeczowo nieumotywowany. Nikt nie otrzymuje świętości w prezencie od autorytetu Kościoła — tak, jak w uznaniu zasług otrzymuje się order i staje się jego kawalerem czy wielkim mistrzem. Albo ten ktoś jest świętym, albo też nim nie jest — zupełnie niezależnie od „nominacji z pieczęcią". Kościół, ściśle i merytorycznie rzecz biorąc — w opisanym tu sensie nie „wynosi na ołtarze" (gdybyśmy to chcieli rozumieć: czyni świętym). Trzeba wrócić do rdzenia tej sprawy, tak szczelnie obudowanego machiną procesów: Kościół, po troskliwym zbadaniu *pro* i *contra* orzeka jedynie mocą swego autorytetu, iż w stopniu dostępnym ludzkiemu poznaniu i zrozumieniu fakt czyjejś świętości uznać można za realny i rzeczywisty. Ten fakt nie wynika z „nominacji". Odwrotnie: „nominacja" jest wyrazem faktu. Rzeczą podstawową i pierwotną jest fakt czyjejś świętości. Rzeczą wtórną jest orzeczenie o jego prawdziwości, będące jedynie autorytatywnym ujawnieniem faktu już istniejącego. Dopuszczenie kultu w kościołach jest znów dalszym zjawiskiem wtórnym w stosunku do orzeczenia.

To postawienie sprawy na nogach wydaje się mieć konsekwencje dalekie od urzędniczenia. Mianowicie: skoro orzeczenie kanonizacyjne jest rzeczą wtórną w stosunku do faktu świętości, to wobec tego odnajduje się autonomię świętości. Konsekwencje praktyczne:

Kościół nigdy nie zaprzeczał i nie zaprzecza, że „niekanonizowana świętość" chodzi po świecie, pomiędzy ludźmi, pomiędzy nami, dziś — najbliższa, bo codzienna. Istnieje na pewno olbrzymia suma świętości, która nigdy nie doczeka się oficjalnej kanonizacji: dokumentu z pieczęcią. I ten dokument wcale nie jest najważniejszy. Ważne jest, że ta rzecz istnieje. Ludzie od dawna to podejrzewali — i mieli dobrego nosa. Ale, przytłoczeni splendorem „wyno-

szenia na ołtarze", nie byli całkowicie pewni, że Kościół uznaje realność istnienia „niekanonizowanej świętości".

Należy szczerze powiedzieć: ta sprawa była dość niewyraźna. Istnieją długie szeregi opasłych tomów, istnieją całe szafy biblioteczne zawalone rozprawami teologicznymi o problemie „świętości". Nie wiem, jaki odsetek tych dzieł uwzględnia sprawy „świętości niekanonizowanej". Chyba bardzo nieduży. To zresztą jest po ludzku zrozumiałe: teologia też jest pewnym fachem, zaś fachowcy uwielbiają „materiały sprawdzone i pewne", o co trudno jest mieć do nich pretensje. Tak, ale równocześnie ludzie w szarzyźnie swoich dni dotykali rzeczy dziwnie im bliskich i potrzebnych — nie wiedząc, że dotykają świętości. Poniektórzy jednak czytują Ewangelię. I znalazłszy tam wezwanie do świętości — zupełnie słusznie nie są w stanie przyjąć, aby były to wezwania do kanonizowania się. Takiej absurdalnej jednoznaczności nie mógłby akceptować nikt przy zdrowych zmysłach. Skoro jednak **nie** są to równoznaczniki — kto właściwie ma ludziom wyjaśnić konkretnie o co tu właściwie chodzi? O tym się albo wstydliwie milczy (na temat: „Rany Boskie, co z tym fantem zrobić?"), albo plecie koszałki-opałki, albo najczęściej tylko bąka w sposób nader niepewny, splątany i mglisty. Ale co komu z bąkania?

Taak. Pewien znajomy pobożny kapłan powiedziałby w tym miejscu do audytorium: „moi drodzy, świetny temat do pracy doktorskiej"...

Nie jestem pobożnym kapłanem. I też nie wiem, co z tym fantem zrobić. Wydaje mi się jednak, że coś trzeba zrobić koniecznie. Zaczym ukłon należny w stronę teologów: zróbcie to coś.

Tadeusz Żychiewicz

L. CERFAUX

D A R

Nie trudno „korzystać" z listów Pawłowych pisząc o świętości — odpowiednie i niezwykle wymowne teksty spotykamy na każdym kroku. Problem powstaje wtedy, gdy zechcemy naprawdę poznać myśl samego św. Pawła, a nie tylko do niej po swojemu nawiązać.

Rzetelne przedstawienie nauki św. Pawła w związku z jakimkolwiek teologicznie doniosłym problemem jest zadaniem niezwykle skomplikowanym. Specjaliści uciekają od prac syntetycznych a zarazem popularnych, zrozumiałych dla laika. Zdają sobie bowiem sprawę, że niesposób naprawdę wniknąć w jakieś bardziej szczegółowe zagadnienie nie znając dobrze całości problematyki. Najpierw potrzebne jest prawdziwie głębokie wtajemniczenie w cały sposób myślenia św. Pawła, a potem dopiero można zająć się dociekaniami np. nad jego ideą świętości. Każdy konkretny problem ukazuje swe rzeczywiste oblicze dopiero na tle innych, zwłaszcza kilku najbardziej podstawowych — takich jak np. stosunek apostoła do Prawa Starego Przymierza, kwestia usprawiedliwienia przez wiarę, spodziewanej paruzji itd. Przykładem trudności może być zagadnienie ciała i stosunku do ciała. Pewne teksty mówią o ciele tak jakby utożsamiało się ono z grzechem, lub stanowiło jego najściślejszy korelat. Lecz z drugiej strony ciało jest też zamieszkiwane przez Ducha i ono również jednoczy się z Chrystusem. Czy mamy tu do czynienia ze sprzecznością? Niesposób odpowiedzieć na to pytanie w oderwaniu od całości teologii Pawłowej. A teologia ta rozwijała się i zmieniała akcenty w toku jego apostolskiej działalności, pod wpływem polemik, osobistych doświadczeń i wydarzeń. Rozwojowi i przemianom myśli towarzyszyła ewolucja języka: znane terminy nabierały nowych znaczeń i odcieni znaczeniowych, przybywały nowe słowa i formuły. Wszystko to trzeba brać pod uwagę i wiele innych jeszcze czynników, takich jak kwestia autorstwa poszczególnych tekstów mniej lub więcej tradycyjnie przypisywanych św. Pawłowi. Z tej racji monografie poszczególnych aspektów teologii Pawłowej zwykle nabierają ogromnych rozmiarów, lub mogą być zrozumiałe tylko dla specjalistów.

W poszukiwaniu materiału na temat świętości według św. Pawła sięgnęliśmy do jednego z ostatnich dzieł znakomitego belgijskiego znawcy pism św. Pawła i zarazem dziś nestora tej dziedziny, L. Cerfaux. Wychował on całe pokolenia katolickich paulinistów, cieszy się też poważaniem wśród badaczy niekatolickich. Praca Le chrétien dans la théologie paulinienne (*Paris 1962, Ed. du Cerf, Coll.* „Lectio Divina" *33, s. 539) stanowi poniekąd corollarium jego naukowego dorobku. Poprzednie tomy dotyczyły eklezjologii* (La théologie de L'Eglise suivant saint Paul, *Coll.* „Unam Sanctam" *10) i chrystologii* (Le Christ dans la théologie de Saint Paul, *Coll.* „Lectio Divina" *6). Książka o chrześcijaninie niewątpliwie cała mówi nie o czym innym, jak właśnie o jego świętości, w najszerszym i zarazem najwłaściwszym sensie. Wybierając fragmenty przeznaczone do druku w tym numerze mieliśmy na uwadze kilka celów.*

1. Chcemy pokazać świętość w tak często niedocenianym, a przecież absolutnie podstawowym aspekcie d a r u D u c h a — żniwa Ducha Świętego, które nie jest zapłatą naszych uczynków, ale owocem twórczej i tryumfującej miłości Boga do nas. Świętość ma u św. Pawła oczywiście także inne aspekty, które Cerfaux równie szeroko omawia: aspekt zjednoczenia z Chrystusem, a także usprawiedliwienia, daru sprawiedliwości pochodzącej od Boga. Motyw daru na każdym kroku wybija się na pierwszy plan. Niemniej pewne teksty mówią też o świętości pojmowanej na sposób rytualny, podobnie jak w Starym Przymierzu. Cerfaux rozpatruje również ich sens i miejsce w teologii Pawłowej. Wszystko to musieliśmy w naszym wyborze pominąć, ograniczając się do jednego ściśle pneumatologicznego aspektu.

2. Zamieszczone fragmenty stanowią do pewnego stopnia przykład wniosków, jakie teologia osiąga w oparciu o analizę tekstów posługując się coraz bardziej nowoczesnymi metodami. Metody te pozwalają nie tylko na ściślejsze ustalenie autentyczności względnie autorstwa tekstów, lecz także pozwalają wykryć głębszy sens zamierzony przez samego autora, wniknąć w świat jego myśli (por. uwagi Cerfaux na ten temat w nocie 35). Celowo wybraliśmy fragmenty względnie mało „techniczne" a więc bardziej dostępne dla czytelnika-niefachowca. Staraliśmy się też ułatwić lekturę cytując ważniejsze teksty Pawłowe w całości, podczas gdy autor najczęściej posługuje się tylko odnośnikami. Artykuł, który zamieszczamy pochodzi z rozdziału VIII („Le don de l'Esprit-Saint") lecz według wskazówek autora, zawartych w przypisach, uzupełniony został urywkami z innych rozdziałów, gdzie powracają te same zagadnienia.

Lektura prac Cerfaux bez wątpienia rozbudza wrażliwość na tematy i teologię Pawłową. A ta teologia stanowi przecież najwcześniejszą i chyba po dziś dzień najbardziej aktualną summę chrześcijaństwa w jego wielkich nieśmiertelnych rysach. Mamy nadzieję, że nawet ten skromny fragment książki o chrześcijaninie może zachęcić do odnowionej lektury Listów w poszukiwaniu motywów, na które autor zwraca uwagę.

H. B.

OBECNOŚĆ DUCHA

W Listach św. Pawła znajdujemy wiele zwrotów mówiących o obecności Ducha Świętego w człowieku — obecności jako osoby. Najbardziej wymowny spośród tych zwrotów nazywa tę obecność zamieszkiwaniem: „Czyż nie wiecie żeście świątynią Boga i że Duch Boży mieszka w was?... Świątynia Boga jest świętą, a wy nią jesteście" (1 Kor 3, 16—17). „Czyż nie wiecie, że ciało wasze jest przybytkiem Ducha Świętego, który w was jest, a którego macie od Boga, i że już nie należycie do samych siebie?" (1 Kor 6, 19), „my jesteśmy świątynią Boga żywego" (2 Kor 6, 16), „nie żyjecie według ciała, lecz według ducha, jeżeli tylko Duch Boży w was mieszka" (Rz 8, 9).

W świątyni Starego Przymierza mieszkała chwała Boża, czyli Duch. Wspólnota jest Świątynią Boga [1]. Osobiste uświęcenie każdego z chrześcijan jest nieodłączne od tej Bożej obecności we wspólnocie. Bóg zesłał Ducha Syna swego w serca nasze (Gal 4, 6), to On umieścił w nich zadatki Ducha (2 Kor 1, 22).

Myśl Pawłowa normalnie rozwija się po następującej linii: wyższa cząstka człowieka, już będąc sama przez się czymś duchowym (w zwykłym znaczeniu tego słowa) staje się miejscem gdzie mieszka Duch — i ona właśnie otrzymuje Jego dary. Oprócz wspomnianych wyżej, jeszcze cztery inne teksty mówią o sercu w związku z Duchem. [2] Na pierwszy rzut oka stałe używanie terminu „serce" w tym kontekście może nieco dziwić — ale wszystko wyjaśnia się, gdy zwrócimy uwagę na fakt, iż w Septuagincie słowo to stanowi

---

1 Por. L. Cerfaux *La théologie de l'Eglise suivant saint Paul*, „Unam Sanctam" 10, Paris 1948, s. 105—107. Obszerne wzmianki o tej pracy Cerfaux zawiera artykuł Ks. J. Stępienia *W poszukiwaniu najistotniejszej cechy pierwotnego Kościoła w listach Pawłowych*, „Znak" nr 121/122.

2 „A nadzieja zawieść nie może, ponieważ miłość Boża rozlana jest w sercach naszych przez Ducha Świętego, który został nam dany". (Rz 5, 5), „ten jest obrzezany, kto nim jest w sercu wedle ducha, a nie wedle litery" (Rz 2, 29, tłum. ks. S. Kowalskiego), „napełniajcie się Duchem, przemawiając do siebie wzajemnie w psalmach i hymnach i pieśniach pełnych ducha, śpiewając i wsławiając w sercach waszych Pana" (Ef 5, 18—19). Por. też Kol 3, 16 i Ef 3, 17.

odpowiednik hebrajskiego wyrażenia *lêb* i często oznacza życie poznawcze czy też wolę — całość wyższych czynności ludzkich.[3] Św. Paweł rzadko posługuje się terminami *nous* (umysł) i *noema*, nic więc dziwnego, że i w tym wypadku sięga po słowo „serce", którego w ogóle często używa.[4] Być może tekst 31 rozdziału Jeremiasza[5] wywarł tu pewien wpływ? Mógł on zasugerować antytezę między Starym Prawem wyrytym w kamieniu a Nowym Prawem wypisanym w sercach (Septuaginta: w umysłach i w sercach) i w ten sposób nasunąć ideę „zamieszkiwania w sercach". W każdym razie św. Paweł niewątpliwie pragnie zaznaczyć, że Duch mieszka w wyższej, rozumnej i moralnej cząstce człowieka. Ten wniosek potwierdzają inne teksty, gdzie mówi on o Duchu Świętym w związku z umysłem ludzkim, czy też z „wewnętrznym człowiekiem".[6]

W sposób dość paradoksalny św. Paweł kładzie też nacisk na zamieszkiwanie Ducha w c i e l e ludzkim: „ciało wasze jest przybytkiem Ducha Świętego" (1 Kor 6, 19). Podobną relację sugeruje *List do Rzymian:* „A jeśli mieszka w was Duch Tego, który Jezusa wskrzesił z martwych, Ten, co wskrzesił Chrystusa z martwych, przywróci do życia wasze śmiertelne ciała mocą mieszkającego w was swego Ducha" (8, 11). Z tekstów tych nie można wyciągać wniosków o charakterze antropologicznym — jakoby dla św. Pawła ciało stanowiło całą osobę ludzką. Podkreśla on wprawdzie związek Ducha z ciałem, z ciałem z krwi i kości, ale czyni to w obrębie określonej teorii: ciało otrzymuje Ducha, p o n i e w a ż jest powołane do tego, by poprzez zmartwychwstanie stać się ciałem duchowym.[7] Jego przeznaczenie nadaje ciału specjalny status w porządku duchowym.

Wysoka godność ciała narzuca chrześcijanom obowiązek sza-

---

[3] *Septuaginta* — stare greckie tłumaczenie Biblii cieszące się wielkim autorytetem wśród Żydów jak i wśród chrześcijan. Zachowane najstarsze rękopisy i fragmenty pochodzą z II wieku przed Chrystusem (przyp. tłum.). W *Septuagincie* spotykamy termin *kardia* (serce) ponad 900 razy, lecz w wielu różnych znaczeniach.

[4] W sumie 52 razy we wszystkich listach. Por. W. D. Stacey *The Pauline View of Man*, London 1956, s. 194.

[5] „Oto nadchodzą dni — wyrocznia Jahwe — gdy z domem Izraela się zwiążę przymierzem nowym. Nie jak przymierze, co z ich ojcami zawarłem, w dniu w którym ich wziąłem za rękę, by ich wyprowadzić z Egiptu. Przymierze to oni zerwali, jakkolwiek ja byłem ich Panem — wyrocznia Jahwe. Lecz takie będzie przymierze, które nawiążę z domem Izraela z upływem dni owych — wyrocznia Jahwe: złożę me prawo w ich piersi, zapiszę je na ich sercu. I Bogiem im będę a oni będą mym ludem". (Jer 31, 31—33).

[6] Por. Rz 12, 2; 1 Kor 14, 14—19; Ef 4, 17; Ef 3, 16; 2 Kor 4, 16.

[7] „Zasiewa się to co zniszczalne — powstaje zaś niezniszczalne; sieje się co niechwalebne — powstaje chwalebne; sieje się co słabe — powstaje mocne; zasiewa się ciało zmysłowe — powstaje ciało duchowe" (1 Kor 15, 42—44).

cunku wobec niego. Ciało jest świątynią Boga i mieszkaniem Ducha — tak jest zjednoczone z Chrystusem, że w pewnym sensie już uczestniczy w Jego duchowej naturze. Św. Paweł może więc przeciwstawiać zjednoczenie z ciałem Pana zjednoczeniu z ciałem nierządnicy w stosunku seksualnym. Zjednoczenie ciała z Chrystusem jest tak ścisłe i tak istotne, że odtąd ma ono wspólnie z Nim jednego Ducha i Duch Święty dla obojga jest źródłem nowego życia. [8]

Nauka o obecności Ducha harmonizuje więc z dwoma podstawowymi tendencjami Pawłowej teologii. Obecność Ducha poświęca wyższą cząstkę człowieka — duszę — jako n o w ą ś w i ą t y n i ę, miejsce doskonałego kultu. Obecność ta rozciąga się aż na ciało, któremu przyobiecane jest zmartwychwstanie. Duch Święty przygotowuje ludzkie ciało do chwały Paruzji.

DAR DUCHA

PRZEDMIOT DARU

Motyw dziedzictwa i obietnicy — i wszystko to co się z nim harmonijnie łączy — jest źródłem licznych zwrotów Pawłowych, (często metaforycznych), w których czasowniki „rozlać" (Rz 5, 5) „napełniać" (Ef 5, 18), „dać" (Rz 5, 5; 1 Tes 4, 8; 1 Kor 12, 8; Ef 1, 17), „udzielać" (Gal 3, 5), oraz ich korelaty — „otrzymać", „napoić się" (1 Kor 12, 13) [9] mają za dopełnienie „Ducha" lub rzeczowniki takie jak „dar", „charyzmat", „zadatek", „pieczęć" „pierwociny" itp.

Gdy konkretnie zastanowimy się nad tym co Duch sprawia w człowieku, przekonamy się, że z reguły chodzi tu o działania charakteryzujące egzystencję chrześcijańską, egzystencję nieustannie poddaną twórczej władzy Ducha. Owocem Ducha są charyzmaty oraz postawa etyczna autentycznie chrześcijańska — zwłaszcza w aspekcie miłości — a przede wszystkim eschatologiczne wypełnienie naszego życia, wraz z tym, co je już dziś przygotowuje. Chodzi tu o poznanie obiecanych nam dóbr przyszłych.

A. CHARYZMATY

W 12 i 14 rozdziale *I Listu do Koryntian* znajdują się dłuższe rozważania na temat charyzmatów. Słowo „Duch" powtarza się

---

[8] „Czyż nie wiecie, że ciała wasze są członkami Chrystusa? Czyż wziąwszy członki Chrystusa będę je czynił członkami nierządnicy? Przenigdy. Albo czyż nie wiecie, że ten, kto łączy się z nierządnicą, stanowi z nią jedno ciało? Będą bowiem — jak jest powiedziane — dwoje w jednym ciele. Ten zaś, kto się łączy z Panem jest z Nim jednym duchem" (1 Kor 6, 15—17).

[9] Słowa „dać" i „otrzymać" powtarzają się oczywiście w bardzo wielu tekstach bez szczególnego znaczenia.

tam bardzo często, co wskazuje, że „charyzmat" ściśle kojarzy się z działaniem Ducha. Charyzmatyk przemawia w Duchu, w Duchu Świętym (12, 2), ten sam Duch wszystkim rozdziela charyzmaty (12, 4), które są przejawami Ducha (12, 7), to On jest ich sprawcą poprzez swój wpływ (12, 11). Charyzmaty dane są ludziom przez Ducha, według Ducha, w Duchu (12, 8—9). To Duch modli się i wielbi Boga w tych co mówią językami (14, 14—16).

Znane są nam powody, dla których Paweł nie najwyżej ceni dar języków i zdaje się czasem pomniejszać jego znaczenie.[10] Racje, dla których Apostoł tak pisze, nie wiążą się z samą naturą daru, lecz z niedoskonałością postawy wewnętrznej chrześcijan. Nie osiągnęli oni jeszcze pełnej dojrzałości chrześcijańskiej.[11] Charyzmatycy korynccy i innych Kościołów pawłowych zdradzają pewne podobieństwo do proroków pogańskich. Szczególnie w Koryncie Paweł wciąż musi czuwać i przeciwstawiać się przeżytkom pogaństwa. Dlatego ustanawia regułę, która ma kierować postępowaniem chrześcijan: „duchy, które działają w prorokach, są w mocy proroków. A Bóg nie jest Bogiem zamieszania lecz pokoju".[12] „Duchy" — *pneumata* — to natchnienia prorocze; św. Paweł daje do zrozumienia, że ekstaza niekoniecznie i nie zawsze pochodzi z Ducha Świętego. Prorocy nie powinni tracić kontroli nad swym zachowaniem. Ta zasada ma charakter głębszy i stanowi niezmienną naukę Pawłową. Ekstaza pogańska jest bezosobowa, dionizyjska, bliska upojeniu. Chrześcijańska natomiast bierze za przykład wielkich proroków powołanych przez Boga, którzy w swej działalności zachowali własną osobowość i świadomą wolność. Bóg niekiedy przymuszał ich do posłuszeństwa, jednak nie usuwał i nie niweczył ich osobistych reakcji, a w pewnych wypadkach pozwalał stawiać sobie opór — jak to było z Mojżeszem i Jeremiaszem. Św. Paweł odwołuje się do intelektu — i jest w tym zgodny z najlepszymi tradycjami prorockimi Izraela, a także z postawą, jaką zajęli w tej kwestii najlepsi z Greków. Poprzez swą

---

10 „Chciałbym, żebyście wszyscy mówili językami, jeszcze bardziej jednak pragnąłbym, żebyście prorokowali. Większy jest bowiem ten kto prorokuje, niż ten kto mówi językami" (1 Kor. 14, 5).

11 „A ja nie mogłem, bracia, przemawiać do was jako do ludzi duchowych, lecz jako do cielesnych, jak do niemowląt w Chrystusie. Mleko wam dawałem a nie pokarm stały, boście byli słabi, zresztą, i nadal niemocni jesteście. Ciągle przecież jeszcze jesteście cieleśni. Jeżeli bowiem jest między wami zawiść i niezgoda, to czyż nie jesteście cieleśni i nie postępujecie tylko po ludzku?" (1 Kor 3, 1—3). Por. całość tego rozdziału.

12 1 Kor 14, 32—33. Tłum. ks. S. Kowalskiego. *Biblia Tysiąclecia*: „A dary duchowe proroków niech będą uległe prorokom; Bóg bowiem..."

pośrednią krytykę religijności Koryntian Paweł jest prekursorem Ojców Apologetów i wielkich Aleksandryjczyków. [13]

Nie zapominajmy jednak, że intelektualizm grecki mógł także stanowić znaczne niebezpieczeństwo dla objawienia chrześcijańskiego. Grek wprowadza w dziedzinę religijną swe nieograniczone zaufanie do osobistego rozumu, miarę i normę objawienia widzi w sobie samym [14]. Religia jest dlań sprawą w najistotniejszy sposób osobistą, niepodzielnie panuje w niej indywidualizm. Natomiast dary chrześcijańskie wykazują najwyższą jedność pochodzącą z wysoka i charakter wspólnotowy — to odróżnia je od intuicji platońskich, wpływu demonów czy emanacji instynktów. Już Filon podnosił tę cechę proroctw Starego Testamentu, odróżniającą je od proroctw pogańskich. Monoteizm pociąga za sobą jedność proroczych charyzmatów. Św. Paweł podejmuje tę ideę: „Istnieje różnorodność darów łaski, lecz jeden i ten sam Duch; różnorodność urzędów, lecz jeden Pan, istnieją różne sposoby działania, lecz Bóg, który wszystko we wszystkim sprawia jest ten sam". [15] I w tej dziedzinie ma zastosowanie porównanie wspólnoty do zjednoczenia członków w jednym ciele. [16] Wszystkie charyzmaty należą do całej wspólnoty i są jakby czynnościami jej wyspecjalizowanych organów. Wszystkie służą całości i mają podporządkować się jej dobru. Wszystkie bowiem mają za cel budowanie wspólnoty, a zarazem są znakiem obecności Ducha we wspólnocie: „Gdy zaś wszyscy prorokują, a wejdzie na to jakiś poganin lub człowiek prosty, będzie pouczony przez wszystkich, osądzony i jawne się staną tajniki jego serca; a tak upadłszy na twarz pokłoni się Bogu, oznajmiając, że prawdziwie Bóg jest między wami." (1 Kor 14, 24—25).

Niedoskonałości, jaka się może jeszcze przejawiać w prorokowaniu i mówieniu językami, przeciwstawia się doskonałość w mądrości, cechująca chrześcijan „duchowych", którzy osią-

---

13 Od końca II wieku po Chrystusie istniała w Aleksandrii szkoła katechetyczna i liczne inne ośrodki teologiczne. Szczególną zasługą środowisk aleksandryjskich był rozwój teologii Słowa Bożego. Najwybitniejsi nauczyciele: Klemens Aleksandryjski i Orygenes (przyp. tłum.).

14 Św. Paweł do Koryntian: „Czy słowo Boże od was wyszło? Albo czy do was tylko doszło? (1 Kor 14, 36, tłum. ks. S. Kowalskiego). *Biblia Tysiąclecia*: „albo czy tylko do was (mężczyzn) przyszło?" Ciekawa, ale chyba ryzykowna próba połączenia tego wiersza z poprzednim, gdzie mowa o religijnym dokształcaniu kobiet przez ich mężów. Cerfaux natomiast zdaje się sądzić, że wiersz 36 jest podsumowaniem całego rozdziału 14, podobnie jak następne. Na tym przykładzie zarysowują się trudności — nie tylko w przekładaniu Pisma św. ale i w korzystaniu z przekładów polskich w opracowaniach tego typu co niniejsze. (Przyp. tłum.).

15 1 Kor. 12, 4—6, tłum. ks. S. Kowalskiego. *Biblia Tysiąclecia*: „...różne też są rodzaje posługiwania..."

16 Por. L. Cerfaux *Le Christ dans la théologie de saint Paul*, Paris 1954, s. 254.

gnęli wiek dojrzały: „...głosimy mądrość między doskonałymi, ale nie mądrość tego świata, ani władców tego świata, zresztą przemijających. Lecz głosimy tajemnicę mądrości, mądrość ukrytą, tę którą Bóg przed wiekami przeznaczył ku chwale naszej, tę której nie pojął żaden z władców tego świata, gdyby ją bowiem byli pojęli, nie ukrzyżowaliby Pana chwały; lecz właśnie głosimy, jak zostało napisane, to, czego ani oko nie widziało, ani ucho nie słyszało, ani serce człowieka nie zdołało pojąć, jak wiele rzeczy przygotował Bóg tym, którzy Go miłują" (1 Kor 2, 6—9).

„Mądrość" i „tajemnica" to terminy greckie. Jako ideał, „poznanie" bardzo odpowiada usposobieniu Greków. Lecz głębia tej mądrości, o której mówi Paweł, jest objawieniem. Gdy mowa o niej, często dźwięczą u Pawła tony, które dziwnie musiały brzmieć w uszach Greków. Wiele wyrażeń pochodzi z apokaliptyki żydowskiej. Kontakt z myślą żydowską i spekulacjami na temat „Mądrości" jest widoczny na pierwszy rzut oka. Bóg zamierzał zbawić świat poprzez mądrość ludzką, ale ludzie zawiedli. Dlatego teraz Bóg zawstydza mądrość ludzką objawiając swoją własną mądrość, przeciwstawiającą się mądrości ludzkiej: „Gdzież jest mędrzec? Gdzie uczony? Gdzie badacz tego świata? Czyż nie uczynił Pan Bóg głupstwem mądrości tego świata? Skoro bowiem świat przez mądrość nie poznał Boga w mądrości Bożej, spodobało się Bogu przez głupstwo głoszenia słowa zbawić wierzących" (1 Kor 1, 20—21). Ten nowy plan poznajemy przez objawienie Ducha, który przenika głębie Boga.

Trzeba jednak zaznaczyć, że św. Paweł nie wszędzie odnosi się z taką rezerwą do charyzmatów. Np. w *Liście do Galatów* (3, 3—5) podkreśla, że charyzmaty i cuda świadczą, że oni sami otrzymali Ducha, który wyzwolił ich spod jarzma Prawa Starego Przymierza.

B. OBYCZAJE CHRZEŚCIJAŃSKIE

W *Liście do Tesaloniczan* św. Paweł pisze: „(Bóg) daje wam swego Ducha Świętego" (4, 8). To proste sformułowanie rzuca wiele światła na nasz problem, i nadaje kierunek dalszym rozważaniom. Tekst ten zawiera cytat z proroka Ezechiela. Związek z tym co mówi prorok [17] i kontekst tego listu każe nam przyjąć, że Duch wkłada w nas nowe życie, życie Chrystusa zmartwychwstałego. To życie przemienia nasze dawne obyczaje w obyczaje

[17] Tekst ten pochodzi z rozdziału 37, gdzie mowa o „dolinie pełnej wyschłych kości", którym Bóg przywraca ducha, aby ożyły: „Tak mówi Jahwe Pan: Oto otwieram wasze groby i wydobywam was z grobów, ludu mój... Udzielę wam mego Ducha po to, byście ożyli i powiodę was do kraju waszego..." (Ez 37, 14).

„nowe" i sprawia, że rośnie w nas „owoc Ducha", w pierwszym rzędzie miłość (Gal 5, 22).

Metafora „owocu" — czy też raczej „żniwa", „plonu" Ducha [18] poniekąd odzyskuje życie pod piórem św. Pawła. W zasadzie tak w Starym jak i w Nowym Testamencie wyrażenie *karpos* ma niemal z reguły sens metaforyczny: oznacza „rezultat", „wynik", „produkt". Tak bywa i u św. Pawła: np. w *Liście do Rzymian* (6, 21—22) rezultatem grzesznego życia w pogaństwie był wstyd i śmierć — a wynikiem poddania się Bogu jest uświęcenie i życie wieczne. W wierszu 23 znajdujemy — jako odpowiednik „żniwa"-*karpos* — „zapłatę" (gdy chodzi o grzech) i „dar"-*charisma* (gdy chodzi o podporządkowanie się Bogu). Cała ta terminologia świadczy, że św. Paweł chce przeciwstawić moralnym skutkom ulegania ciału — skutki czynnej obecności Ducha. *Karpos* z reguły występuje tam, gdzie chodzi o działanie Ducha — gdy mowa o ciele autor wybiera określenie „uczynki" (*erga*), określenie występujące w zwrocie „uczynki Zakonu". Być może chce przez to zasugerować, że pomiędzy „uczynkami ciała" a uczynkami przepisanymi przez Prawo Starego Testamentu zachodzi pewna specjalna relacja? Nie przypadkowo św. Paweł przeciwstawia katalogowi cnót chrześcijańskich (Gal 5, 22—23) wyliczenie wad pogańskich (Gal 5, 19—21). Kontekstem tej wypowiedzi jest pouczenie skierowane do Galatów: obrzezanie na nic się im nie przyda, bo wolność chrześcijańska, której są uczestnikami, każe we wszystkim podporządkować się zasadzie miłości. W miłości zawarte jest całe Prawo, prawdziwe Prawo, którego Żydzi nie mogli realizować, będąc, podobnie jak poganie, niewolnikami swych cielesnych skłonności: „Bracia, powołani zostaliście do wolności. Tylko nie bierzcie tej wolności za zachętę do hołdowania ciału, wręcz przeciwnie, miłością ożywieni służcie sobie wzajemnie. Bo całe Prawo wypełnia się w tym jednym nakazie: będziesz miłował bliźniego swego jak siebie samego" (Gal 5, 13—14). Duch stanowi nowe prawo — prawo jednej miłości zawierającej w sobie wszystkie przy-

[18] „Owocem zaś Ducha jest: miłość, radość, pokój, cierpliwość, uprzejmość, dobroć, wierność, łagodność, opanowanie". (Gal 5, 22—23) „A co człowiek sieje, to i żąć będzie: kto sieje w ciele swoim, jako plon ciała zbierze zgniliznę; kto sieje w duchu, jako plon ducha zbierze życie wieczne" (Gal 6, 8). *Biblia Tysiąclecia* komentuje: Wyraz „duch" użyty w tym urywku może oznaczać bądź Ducha Świętego, bądź zespół jego darów, bądź utworzoną pod Jego wpływem postawę człowieka kierującego jego postępowaniem. Tegoż zdania zdaje się być M. J. Lagrange, *Saint Paul, Epître aux Galates*, Paris 1942, s. 151 i nast. Użycie liczby pojedynczej „owoc" ma wskazywać na jedność dobrych dyspozycji promieniujących z odrodzonej duszy; Cerfaux sądzi, że bliskie sąsiedztwo dwóch cytowanych wyżej tekstów każe raczej myśleć o żniwie, plonie obsianej roli, a nie o owocach drzew (przyp. tłum.).

kazania. Ale przede wszystkim Duch jest siłą umożliwiającą zachowanie przykazań. Paweł stwierdza więc, że Prawo streszcza się w przykazaniu miłości — ale zarazem i na pierwszym miejscu oznajmia, że wśród chrześcijan Prawo jest wypełnione przez miłość (której tylko Duch może udzielić). Prawo mogło oglósić przykazanie (cytat z Księgi Kpł 19, 18) ale nie mogło sprawić, by ludzie go przestrzegali. W dalszym ciągu (5, 16) św. Paweł przeciwstawia „kierowanie się Duchem" pójściu za „pożądliwościami ciała". W wierszu 18 mamy konkluzję: „Jeżeli dacie kierować się Duchowi, nie jesteście już pod panowaniem Zakonu" [19]. Mówiąc więc o ciele myślał stale o Zakonie. Później jeszcze raz powraca ten motyw (w. 23—24): Prawo nie mówi nic o cnotach chrześcijańskich — a ci, co przyłączyli się do Chrystusa, ukrzyżowali swoje ciało wraz z jego namiętnościami i pożądliwościami. Oto wielki temat Pawłowy: śmierć Chrystusa kładzie kres Prawu, pysze cielesnej i unicestwia jej panowanie. W tym punkcie zbiegają się wszystkie wątki.

Ale wróćmy do „żniwa Ducha". Spis cnót w Gal 5, 22 stanowi rzadki przypadek w całym zbiorze listów. Autor rozpoczyna od miłości — rządzącej całym życiem chrześcijańskim — a następnie wylicza cnoty blisko z miłością spokrewnione: długomyślność, dobroć itd. Prawdopodobnie także „wiara" [20] (*pistis*) oznacza tu zaufanie, ufność. Bezpośrednio po miłości św. Paweł wymienia radość i pokój — które w całej tradycji chrześcijańskiej zawsze są owocem Ducha. Spis zamyka wstrzemięźliwość (*enkrateia*). Słowo to występuje w listach tylko raz. Czyżby było zapożyczeniem stoickim? W zasadzie katalog cnót wykazuje wiele związków z Hymnem do miłości (1 Kor 13, 1—7). Dosłownie najbliższy temu tekstowi jest jednak ustęp Ef 5, 9: jako żniwo światłości wymienia tam Paweł dobroć (jak w *Liście do Galatów*), sprawiedliwość i prawdę. W tej triadzie sprawiedliwość najbardziej zbliża się do greckiej cnoty kardynalnej — prawda zaś wskazuje na regułę postępowania, jaką ma być lojalność wobec Boga i ludzi. W sumie możemy stwierdzić, że postępowanie chrześcijańskie polega przede wszystkim na miłości. Nie nazbyt liczne katalogi cnót tylko rozwijają fundamentalną myśl chrześcijaństwa: miłować bliźniego nie jest osiągnięciem ludzkim, lecz darem Ducha wyższym nad wszystkie charyzmaty.

---

[19] Tłum. ks. S. Kowalskiego. *Biblia Tysiąclecia*: „Jeśli jednak pozwolicie się prowadzić duchowi, nie znajdziecie się w niewoli Prawa"; ks. E. Dąbrowski (tłum. z Wulgaty) „Jeśli duch wami kieruje nie jesteście pod Zakonem" por. nota 14 (przyp. tłum.).

[20] W tekście polskim mamy z reguły „wierność".

Działanie chrześcijańskie normalnie odbywa się za poruszeniem Ducha. Duch Święty sprawia w nas to, co możemy zdziałać dobrego. Inaczej możemy też powiedzieć, że to miłość, którą Bóg rozlał w naszych sercach rządzi wszelkim naszym działaniem, ta miłość, o której mówi Hymn, że jest cierpliwa i nigdy nie ustaje (1 Kor 13, 4 i nast.); jest narzędziem, którym posługuje się wiara, życiem zawisłym od sprawiedliwości, której źródłem jest sam Bóg [21]. Św. Paweł nie wspomina tu o naszych „uczynkach", aby uniknąć błędu faryzeuszy, którzy zasługę sprawiedliwości przypisywali sobie samym. Miłość jest *par excellence* d a r e m pochodzącym od Boga i w pewien sposób utożsamia się z Duchem „wlanym" w nasze serca: „nadzieja zawieść nie może, ponieważ miłość Boża rozlana jest w naszych sercach przez Ducha Świętego, który został nam dany" (Rz 5, 5).

Z tą ideą Ducha—sprawcy dobra w nas wyraźnie harmonizuje inne wciąż powtarzane zapewnienie Pawłowe: mianowicie, że jesteśmy świętymi, synami Boga i świątyniami Ducha. Św. Paweł ustawicznie głosi, że życie ludzkie rozgrywa się w sytuacji uprzywilejowanej. Ten optymizm opiera się na nadziei zagwarantowanej przez samego Boga. Poruszenia Ducha, których możemy doświadczyć, przywileje chrześcijan, o których mówi wiara — to wszystko rzeczy bardzo realne. Żniwo Ducha jest pewne. Miłość rozwija się w nas swą własną mocą i jest niewyczerpanym źródłem innych cnót chrześcijańskich. Można i trzeba uznać, że chrześcijanin posiadł miłość, na zawsze wyrzekając się wad pogańskich i uczynków ciała. Dlatego o świętości chrześcijan można mówić w trybie oznajmiającym — i stąd na każdym kroku jawi się potrzeba dziękczynienia.

Niemniej jest psychologicznym faktem, że jako ludzie zachowujemy nasze własne chcenia i skłonności. Możemy więc uniemożliwić Duchowi pełnienie czynności, które normalnie On w nas sprawuje. W takim wypadku popadamy w jarzmo, które może okazać się gorsze od jarzma Zakonu — stajemy się niewolnikami „uczynków ciała" [22]. Świadczy o tym nasze osobiste doświadczenie — nie-

---

[21] „Bo my spodziewamy się od Ducha i przez wiarę upragnionego usprawiedliwienia. Bo w Chrystusie Jezusie nie ma znaczenia ani obrzezanie ani nieobrzezanie, a jedynie wiara, która przez miłość w czyn się obraca"; (Gal 5, 5—6) Tłum. ks. S. Kowalskiego. *Biblia Tysiąclecia*: „My zaś z pomocą Ducha na zasadzie wiary oczekujemy upragnionych owoców usprawiedliwienia. Albowiem w Chrystusie Jezusie ani obrzezanie ani jego brak nie mają żadnego znaczenia, tylko wiara, która działa z miłości".

[22] Może warto tu przypomnieć raz jeszcze — co Cerfaux wielokrotnie stwierdza — że św. Paweł rozumie grzeszne „uczynki ciała" bardzo szeroko i jednocześnie konkretnie: wchodzi tu w grę w s z y s t k o, co sprzeciwia się miłości,

obce Apostołom. Mieli oni także dość okazji, by przekonać się o wielkiej słabości nawet szczerze nawróconych wiernych. Pod jednym względem zapewnione, nasze zbawienie nie jest więc pewne od innej strony: nasza wierność Duchowi w zasadzie, jako teza, jest niezłomna, ale bynajmniej nie jest taką w hipotezie konkretnego ludzkiego życia. Stąd w listach Pawłowych tyle napomnień i ostrzeżeń, tyle słów zachęty do dobrego — stąd też twarde nakazy. Dlatego o świętości, która jest darem i faktem, trzeba też mówić w trybie rozkazującym i warunkowym. Chrześcijaństwo daje nam siłę duchową i rodzi napięcie, które nas unosi — ale nie odrywa od ziemi. „Jeśliście więc razem z Chrystusem powstali z martwych, szukajcie tego, co jest w górze, gdzie jest Chrystus jako zasiadający po prawicy Boga. Dążcie do tego, co w górze, a nie do tego, co na ziemi. Umarliście bowiem i życie wasze ukryte jest z Chrystusem w Bogu. Gdy się ukaże Chrystus, życie nasze, wtedy i wy z Nim ukażecie się w chwale" (Kol 3, 1—4).

W związku ze skutecznym oddziaływaniem Ducha w naszym życiu etycznym św. Paweł używa formuły „przez Ducha zabić uczynki ciała" [23]. Dalej zaś stwierdza, że odtąd Duch ma nas prowadzić. Duch wywiera więc wpływ na nasze decyzje moralne, jego działanie przeciwstawia się tendencjom ciała od wewnątrz — wskazuje to na fakt, że jest On siłą umiejscowioną w nas samych. Siła ta jednak nie jest oderwana od Ducha jako Osoby.

Reasumując możemy stwierdzić, że etyka Pawłowa kształtuje się biorąc za punkt wyjścia dwie wielkie zasady:

1° Skutecznie działająca wola Boża tworzy w chrześcijaninie żniwo Ducha — rozkwit miłości,

2° człowiek może zawsze zamknąć się i odciąć od działania Ducha i wtedy pełni „uczynki ciała".

Plon Ducha realizuje się w postępowaniu człowieka, który w pełni jest zaangażowany w to, co stanowi rzeczywistość jego ludzkiej egzystencji — który żyje w Kościele wraz z innymi chrześcijanami i jednocześnie akceptuje obowiązek zdawania sprawy ze swojej wiary i praktykowania miłości wewnątrz różnych grup, do których należy z racji natury i okoliczności historycznych.

Por. np. Gal 5, 15: „Jeśli zaś jeden drugiego kąsa i gryzie, patrzcie żebyście się wzajemnie nie pożarli". *Biblia Tysiąclecia* mówi łagodniej: „wzajemnie nie zjedli". (przyp. tłum.)

[23] Rz 8, 13. Wszystkie tłumaczenia polskie osłabiają ten tekst w porównaniu do wersji franc. podanej przez Cerfaux: *faire mourir les actions du corps par l'Esprit*. Ks. Kowalski i ks. Dąbrowski mówią o umartwieniu — co w rozumieniu współczesnym kojarzy się raczej z ograniczeniem, opanowaniem czy wyrzeczeniem a nie z unicestwieniem przez śmierć. *Biblia Tysiąclecia* mówi wprawdzie o uśmierceniu, lecz nie uczynków, czy działań, lecz popędów cielesnych.

C. POZNANIE DÓBR OBIECANYCH

W 2 rozdziale *1 Listu do Koryntian* św. Paweł obszernie opisuje poznanie dóbr, które Bóg dla nas przygotował, naszego dziedzictwa. Poznanie tego rodzaju jest już wejściem w sferę tajemnic Bożych. Tylko Duch św. przenikający głębie boskie może nam go udzielić. Ta wiedza przystoi człowiekowi, który osiągnął dojrzałość: „głosimy mądrość między doskonałymi... duchowe sprawy tym co są z Ducha..." (1 Kor 2, 6. 13). Przez Ducha poznajemy samego Ojca Chwały (Ef 1, 17). Poznanie, o którym tu mowa, utożsamia się ze „zmysłem bożym", który Duch daje człowiekowi — a więc ze świadomością, że jesteśmy synami Boga. Ilekroć mowa o dziedzictwie i o uprawnieniach synowskich, św. Paweł podkreśla, że chodzi w istocie o poznanie (jak we wspomnianym już tekście 1 Kor i w *Liście do Efezjan*). Być dziedzicem Boga to dzięki darowi Ducha posiąść cechę synostwa i łączące się z nią wewnętrzne nastawienie. Trzeba tu przytoczyć bardzo charakterystyczne ustępy z *Listu do Galatów* i *do Rzymian*: „A dowodem na to, że jesteście synami, jest to, że Bóg zesłał Ducha Syna swego do serc naszych, który woła «Abba, Ojcze». Więc nie jesteś już sługą (niewolnikiem), lecz synem; a jeśli jesteś synem, to także dziedzicem — przez Boga" (Gal 4, 6—7). „... Nie otrzymaliście ducha niewoli, aby żyć znowu w bojaźni, lecz otrzymaliście ducha przybrania za synów, w którym wołamy «Abba, Ojcze». Tenże sam Duch daje świadectwo naszemu duchowi, że jesteśmy synami Bożymi. Jeżeli jesteśmy synami, to jesteśmy także dziedzicami: dziedzicami Boga i współdziedzicami Chrystusa — o ile wspólnie z nim cierpimy, wspólnie także z nim mamy być uwielbieni" (Rz 8, 15—17)[24]. Formuły, jakich św. Paweł używa, świadczą o współdziałaniu Ducha Świętego ze świadomością, którą On sam w nas budzi: „Duch wspiera nas w słabości naszej, gdyż nie umiemy modlić się jak należy. Wtenczas wstawia się Duch za nami..." (Rz 8, 26)[25].

Pojęcia dziedzictwa, pierwocin, zadatku kojarzą się z jakąś ontologicznie pojętą rzeczywistością — i z pewnością ontologicznego aspektu nie można tu wykluczyć — ale „zadatek", o którym tu mowa, to sam Duch Święty, który jest w nas i w nas działa. Najlepiej można by to chyba tak sformułować: zadatek, który otrzymujemy jest ze swej istoty *żywym* zadatkiem, urzeczywistnieniem naszego poznania Boga — a przecież nasze dziedzictwo polega właśnie na tym, że Go poznamy. Duch jest rękojmią tego dziedzictwa.

---

[24] Tłum. ks. S. Kowalskiego.

[25] Tłum jw. Por. też tekst Rz 8, 16 cytowany wyżej.

CECHY DARU

1. Dar Ducha jest skuteczny, ze swej istoty c z y n n y. Duch Święty jest ożywicielem i uświęcicielem. Okazał to w związku ze zmartwychwstaniem Chrystusa, kiedy to jakby przelał we wskrzeszone ciało Chrystusa swą moc uświęcającą i ożywicielską [26]. Wskrzeszone Ciało Chrystusa stało się więc ośrodkiem, z którego płynie świętość i życie dla ludzi. Lecz z tej racji Duch nie przestaje być bezpośrednim sprawcą boskich właściwości, które są nam odtąd dostępne. Z tymi sformułowaniami chcielibyśmy zestawić ustęp z 1 Kor: „Ten kto się łączy z Panem, jest z Nim jednym duchem" (6, 17). Jeśli Chrystus jest *pneuma* i może nas zjednoczyć ze sobą w taki sposób, że wraz z Nim będziemy stanowić jedno *pneuma* — to jego wskrzeszone ciało jest siedzibą duchowej mocy, która oddziaływuje na ludzi, wskrzesza ich, daje im życie. Przylgnąwszy [27] wewnętrznie do Pana chrześcijanie w Nim poddani są działaniu Ducha; są jednego ducha z Nim. Myśl wybiega ponad tę próbę interpretacji tekstu ku jeszcze śmielszej projekcji: oto wierni wraz z Panem stanowią jednego Ducha. Przypomina to niemniej śmiałe wyrażenie: Bóg będzie wszystkim we wszystkich.

Działanie Ducha jest t w ó r c z e. Całość doktryny Pawłowej pozwala nam to ustalić i tym samym przypisać Duchowi radykalną przemianę naszego człowieczeństwa [28]. Chodzi o formowanie w nas

---

[26] Paweł wyraża swą ideę w wielkim skrócie w 1 Kor 15, 45: ostatni Adam (czyli Chrystus) stał się duchem ożywiającym. Ta sama myśl bardziej *explicite* zawiera się w Rz 1, 4: „według Ducha Świętości okazał się przez powstanie z martwych pełnym mocy Synem Bożym".

[27] Słowo „przylgnąć" (franc. *adhérer*) wyraża ostatecznie rodzaj *connaturalitas* (wspólnoty w naturze) pomiędzy Duchem a człowiekiem „pneumatycznym". Ta wspólnota jest czymś więcej niż samą tylko obecnością — sięga ona samej natury ludzkiego bytu. Obecność ducha w świątyni uświęca świątynię, zapewnia jej nienaruszalność dzięki opiece Boga (1 Kor 3, 6—17). Przylgnięcie do Chrystusa, o którym mówi Paweł, nadaje człowiekowi cechę ś w i ę t o ś c i. Oznacza ono pewną bardzo specjalną relację do Boga. Ta relacja stwarza uprawnienia i obowiązki. W myśli Pawłowej — jak i w myśli wszystkich starożytnych — relacja ta jest czymś par excellence wewnętrznym wobec bytu. Świętość jest jakością, która dotyczy rzeczy, istnieje w nich, przemienia je.

[28] Chrześcijanin jest nowym stworzeniem — *kainè ktisis* — 2 Kor 5, 17; Gal 6, 15, — jest odnowiony na obraz Boga jako nowe stworzenie Kol 3, 10; 15, por. też Ef 2, 1—15; 4, 24. Także 2 Kor 3, 18 („My wszyscy z odsłoniętą twarzą wpatrujemy się w jasność Pańską jakby w zwierciadle, przemieniając się w Jego wyobrażenie z jasności w pasność jakby przez Pana — jako Ducha") zawiera aluzję do nowego stworzenia, przywracającego nas do stanu, w którym istniejemy jako obraz Boga. Paweł zna teorię o pierwszym człowieku stworzonym na obraz Boży, ale zastąpił ją koncepcją „ostatniego Adama", zachowując mimo to motyw chwały danej pierwszemu człowiekowi (Rz 3, 23). W liście do Tytusa (3, 5) przedstawia chrzest jako nowe narodzenie, odnowę dokonaną przez Ducha Świętego, którego Bóg obficie wylał na nas w Jezusie Chrystusie — naszym Zbawcy.

nowego człowieka, w pewnym sensie o powtórne stworzenie nas, tak abyśmy już teraz stali się „niebiańscy", duchowi [29]. Dzięki Duchowi mieszkającemu w naszych ciałach możemy już teraz zawczasu uczestniczyć w przyszłym stanie chwały. Jednocześnie Duch jest także światłem umysłu: Niech Bóg Pana naszego Jezusa Chrystusa, Ojciec Chwały, użyczy wam ducha mądrości, ducha który wam go objawi i da go wam poznać; niech oświeci oczy serc waszych, abyście zrozumieli, do jakiej powołani jesteście nadziei..." [30].

2. Dar Ducha to dar trwały, złożony w duszy raz na zawsze i ściśle z nią zjednoczony. Pozostaje jednak zawsze darem Osoby: Duch Święty jako osoba przebywa w duszy, aby w niej mieszkać. Osoba boska przyjęta jest przez osobę ludzką. „Raz na zawsze" nie przekreśla faktu, że Duch oczekuje od człowieka stałego nastawienia na przyjmowanie. To nastawienie wola stworzenia może naruszyć, może się mu przeciwstawić.

Związek między Duchem a człowiekiem powstaje przy chrzcie. To właśnie stanowi najlepszy dowód, że związek ten jest czymś trwałym. Począwszy od chrztu, podobnie jak sam sakrament naznacza on swym piętnem całe życie człowieka: „Wszyscyśmy bowiem w jednym Duchu ochrzczeni zostali (aoryst oznacza tu akt dokonany w swoim czasie i nieodwracalny), aby stanowić jedno ciało: czy to Żydzi, czy Grecy, czy to niewolnicy, czy wolni. Wszyscy też zostali napojeni jednym Duchem" (1 Kor 12, 13); „zostaliście omyci, uświęceni, i usprawiedliwieni w imię Pana Jezusa Chrystusa i przez Ducha Boga naszego" (1 Kor 6, 11).

IMMANENCJA DUCHA

„Obecność" stawia dwa byty wobec siebie. „Dar" zakłada przekazywanie czegoś — zwykle jakiejś rzeczy, wzbogacającej obdarowanego. Lecz możliwy jest też dar, który jest darem *par excellence*: oddanie się osoby innej osobie.

Immanencja dorzuca do idei obecności czy też daru cechę wewnętrzności. Musimy oczywiście wykluczyć model immanencji, który widziałby w niej jakąś kombinację czy prawdziwą identyfikację dwóch osób. Zarówno prawidłowe pojęcie osoby jak i transcendencja Ducha Bożego całkowicie sprzeciwia się teorii emanacji, jaką można by wywieść ze stoicyzmu, zakładając, że jakaś cząstka Ducha Bożego miałaby się odeń oddzielić, aby nas ukonstytuować lub zmieszać się z naszą naturą.

---

[29] Kol 3, 10; Ef 2, 10, 15; 4, 24; 1 Kor 15, 44—49.

[30] Ef 1, 17—18. Tłum. ks. S. Kowalskiego.

W wypadku, o którym mówimy, immanencja jest zjawiskiem tajemniczym. Jesteśmy gotowi pójść bardzo daleko w kierunku całkowitego zjednoczenia Ducha Świętego z duszą ludzką, unikając jednak pomieszania osób, a przede wszystkim tego, co byłoby nie do pogodzenia z transcendencją elementu boskiego. Sądzimy, że idąc za św. Pawłem możemy wyrazić rzeczywistość immanencji na dwa sposoby.

1. Obecny w nas Duch Święty przemienia nas, zmierzając do głębokiego upodobnienia nas do Siebie samego. Słowo przemiana (przekształcenie) występuje rzadko, ale jednak się pojawia [31]. Przemiana polega na ciągłym formowaniu w nas wewnętrznego człowieka [32]. Dwa obrazy wyrażają tę samą ideę: budowa i szata, którą przywdziewamy [33]. Na innym miejscu św. Paweł mówi o nowym stworzeniu [34]. „Przemiana", „wzrost", „odnowa" — wszystkie te terminy oznaczają głęboką interwencję Ducha u samych korzeni naszego bytu, interwencję przygotowującą w nas eschatologiczny stan „nowego stworzenia": „...niszczeje nasz człowiek zewnętrzny, jednak ten, który jest wewnątrz, odnawia się z dnia na dzień" (1 Kor, 4, 16). Jesteśmy odtąd „uduchowieni", staliśmy się „duchowi" — oczywiście nie utożsamiając się z Duchem Świętym, lecz jednak posiadając pewną rzeczywistą jakość [35], charakter jedyny w swoim rodzaju. Ten charakter, ta jakość sprawia, że w samej

---

31 Rz 12, 2; 2 Kor 3, 18.

32 Człowiek wewnętrzny odnawia się z dnia na dzień (2 Kor 4, 16) Duch Boży umacnia nas w naszym wewnętrznym bycie (Ef 3, 16).

33 W 1 Kor 15, 53—54 obraz ten stosuje się do zmartwychwstania ciał, które przyobleczone są w niezniszczalność i nieśmiertelność. Gal 3, 27—28 mówi o skutku chrztu, którym jest „przyodziać się w Chrystusa" — tak, że wszyscy chrześcijanie są jakby identyczni między sobą. Chodzi tu o wewnętrzną przemianę, której sprawcą był Duch Święty (Por. Ef 4, 24; Kol 3, 10). Zwrot „przyodziać się w nowego człowieka" oznacza także przemianę wewnętrzną (Gal 3, 10 i nast., podejmuje temat Gal 3, 27—28).

34 Por. wyżej, noty 27 i 28.

35 Omawiając problem usprawiedliwienia Cerfaux podkreśla, że Semici wyobrażali sobie rzeczywistości świata religijnego w sposób bardzo konkretny — istniały one najpierw w niebie, a potem zstępowały na ziemię, aby z daru Bożego stać się udziałem ludzi. Filozofia rozpowszechniona w świecie, w którym św. Paweł sprawował swoje posłannictwo (stoicyzm, hermetyzm), pojmowała to, co duchowe, na sposób bardzo materialny. Pierwotna tradycja chrześcijańska, także wyraźnie „realistyczna", najprawdopodobniej była w tym wierna autentycznej myśli Pawłowj: „Na równi z innymi zdajemy sobie sprawę, że mamy tu do czynienia z kategoriami, które filozofia dzisiejsza już porzuciła. Lecz pierwszym i istotnym zadaniem egzegezy jest najpierw zrozumieć posłannictwo apostolskie, tak jak się ono przedstawia w swej doczesnej osłonie. Potem przyjdą inne zadania" (s. 390—391). Wydaje się, że ta uwaga autora stosuje się także do naszych obecnych rozważań. (przyp. tłum.)

głębi jesteśmy podobni do Ducha, tak doń upodobnieni, że można mówić o partycypacji.

2. Semantyka terminu *pneuma* który może zarazem oznaczać Ducha Świętego i intelektualną cząstkę człowieka, pomoże nam zarysować drugą linię wyjaśnienia.

Oddziaływanie Ducha Świętego (Ducha z dużej litery) dotyczy ducha ludzkiego (duch z małej litery). Mała litera ma tendencję do przekształcania się w dużą, gdy stwierdzamy, że zastosowanie tego samego słowa kryje w sobie tajemnicę zjednoczenia Ducha Świętego z naszym duchem.

Dzięki łasce duch nasz poddaje się przyciąganiu Ducha Bożego — i ta sama łaska jest przemieniającym oddziaływaniem Ducha Świętego na naszego ducha. Powstający skutek jest jakby nową rzeczywistością, różną od rzeczywistości naturalnego „umysłu" [36], odrębną od niej i przeciwstawną: „duch mój wprawdzie się modli, ale umysł nie odnosi żadnych korzyści" (1 Kor 14, 14); „jesteśmy odnowieni duchem w naszym umyśle (Ef 4, 23)."

Trzeba oprzeć się pokusie i nie wyobrażać sobie, że Duch stwarza obok naszego umysłu rodzaj nowej władzy wszczepionej w umysł, władzy, która z natury byłaby duchowa, podczas gdy umysł pozostałby naturalnym. Przemiana naszego umysłu przez Ducha, powstanie sfery duchowej otaczającej umysł — to tylko próby wyrażenia wciąż tej samej niewypowiedzianej rzeczywistości. Najlepszą formułą syntetyczną jest chyba określenie Kol 3, 10: „Przyoblekliśmy nowego człowieka, który odnawia się w poznaniu (tajemnicy) na obraz Tego, kto go stworzył. Chodzi o to, że gdzieś u samego szczytu naszego umysłu [37] — ale tak, że nas ona całkowicie przenika — Duch stwarza nową, żywą rzeczywistość, to co sprawia, że istnieje chrześcijanin, człowiek odnowiony, zdolny do poznania Boga i jego tajemnic, a więc człowiek taki, jakiego Bóg chciał mieć stwarzając go: człowiek — obraz Boży.

WNIOSKI

Uczestnictwo w Duchu Bożym jest pierwszą cechą chrześcijanina. Ma ono decydującą rolę w teologii Pawłowej. Duch Święty, jak to sprecyzowaliśmy, jest osobą Boską, która udzielając się nam, wcho-

---

[36] *nous* (*intelligence* w tekście Cerfaux). Nad sensem terminu *nous* u św. Pawła wciąż toczy się dyskusja; autor sądzi, że w antropologii Pawłowej obok semickich wyraźnie są także wpływy greckie. *Nous* w większości wypadków oznaczał umysł (*intelligence*) pojęty jako substancja, jak w pierwotnej filozofii greckiej i w hermetyzmie. (przyp. tłum.)

[37] *dans la fine pointe de notre intelligence.*

dzi w osobowy związek z nami, działając jako osoba i podnosząc nasze czynności do swego poziomu. Najbardziej widocznym, lecz zarazem najbardziej zewnętrznym skutkiem Ducha Świętego jest niezwykłe zjawisko pierwotnego chrześcijaństwa, pojawienie się charyzmatów, odżycie proroctw Starego Testamentu. Niedoskonałość tego pierwszego przejawu Ducha przez kontrast odsłania nam Jego głębsze oddziaływanie — wzniosłe poznanie, które sprawia, że umysł wnika w tajemnice Boga. To poznanie, mądrość Boża, otwiera perspektywę naszych prawdziwych przywilejów.

W chrześcijaninie odbywa się głęboka przemiana. Mając za przedmiot nasze wyższe „ja" sięga ona ciała, przygotowując je do zmartwychwstania. Ale w pierwszym rzędzie przemiana ta dotyczy umysłu. Chciałoby się tu mówić o radykalnej zmianie jego natury — kiedy umysł naturalny stałby się Duchem Bożym, ale powstrzymuje nas od tego niepokonalna granica osobowości. Bóg szanuje osobę ludzką, Osoba Boska nie przestaje być transcendentna. Niemniej św. Paweł nie waha się mówić o stworzeniu w nas nowego umysłu, zdolnego przyswoić sobie tajemnicę Boga i uświadomić sobie swą synowską godność.

L. Cerfaux

Tłum. H. Bortnowska

MAX SCHELER

ŚWIĘTY

1. TYPOLOGIA WZORÓW RELIGIJNYCH I PRZEWODNIKÓW

Zarówno historyczna wiedza o religii jak też pozytywna socjologia religii domagają się od nas poznania typologii religijnych „wzorów i przewodników" *(Vorbilder und Führer)*[1]. Typologia ta jest w znacznej mierze niezależna od pozytywnych religii i ich pozytywnych socjologicznych form przejawiania się, a więc od tzw. „kościołów", „sekt", „szkół", „wspólnot mistycznych"[2]. W dalszym ciągu rozważań ważne jest właściwe ustalenie porządku starszeństwa (*Rangordnung*) między tymi wzorami i przewodnikami.

Zamieszczony przekład rozważań Maxa Schelera jest fragmentem większej rozprawy „Wzory i przewodnicy" (*Vorbilder und Führer*). Zgodnie z zamierzeniem autora miała ona stanowić uzupełnienie i rozwinięcie niektórych aspektów teorii osoby i teorii wartości, przedstawionych w podstawowym jego dziele *Formalizm w etyce a materialna etyka wartości (Der Formalismus in der Ethik und die materiale Wertethik)*.

Scheler wyróżnia pięć typów wartości: hedoniczne, utylitarne, witalne, kulturowe i religijne. Tworzą one pewną hierarchię: u jej spodu znajdują się wartości hedoniczne, a na jej szczycie — wartości religijne. Każdemu z tych typów odpowiada określony wzór osobowy, możliwie najpełniej czerpiący z wartości we właściwym sobie zakresie. Można więc wyróżnić następujące rodzaje wzorów osobowych: artysta w zażywaniu przyjemności, przewodni duch cywilizacji, bohater, geniusz i święty. „Ucieleśnione" wzory osobowe oddziałują z ogromną siłą zarówno na poszczególnych ludzi, jak i na całe zbiorowości ludzkie, budzą w nich blaskiem swej wartościowości poruszenia miłości (i nienawiści), wyznaczając przez to kierunki pola działania. Mają też wielki wpływ na przewodników, którzy nie muszą być wzorami osobowymi, lecz tylko wykonawcami.

W hierarchii wzorów osobowych najwyższe miejsce zajmuje święty. Warto może przypomnieć, że Abp Karol Wojtyła, w swej książce pt. *Ocena możliwości zbudowania etyki chrześcijańskiej przy założeniach systemu Maksa Schelera* podkreślał m. in. schelerowską teorię osobowego wzoru jako jeden z ważnych czynników, mogących znaleźć zastosowanie w pracy naukowej nad etyką chrześcijańską.

Niniejszy przekład został dokonany w oparciu o drugie wydanie pism pośmiertnych Schelera (*Schriften aus dem Nachlass*, Bd I: *Zur Ethik und Erkenntnislehre*, Bern 1957, Francke Verlag). Informację biograficzną o samym Schelerze można znaleźć w nrze 113 „Znaku".

[1] Systematyczna porównawcza fenomenologia religii; por. *Probleme der Religion* (Wstęp) w: *Vom Ewigen im Menschen*.

[2] Por. prace z socjologii religii Maksa Webera i Ernesta Troeltscha.

Wreszcie należy się zastanowić, czy niektórych — początkowo ujawniających się na drodze indukcyjno-porównawczej — cech religijnych przewodników i wzorów nie można głębiej zrozumieć, a nawet wydedukować z istoty tego typu człowieka [świętego] mając na uwadze reprezentowaną przez niego dziedzinę bytu i wartości: to, co boskie (*das Göttliche*). (Samodzielność i autogenetyczny rozwój religii).

Jeśli abstrahujemy od ludów prymitywnych, u których pojawiają się takie postacie, jak „czarownik", „mag", „szaman", „znachor", to pierwszy podział uzyskujemy przyjmując za jego podstawę przeciwieństwo: pierwotny — wtórny, a drugi podział otrzymujemy biorąc pod uwagę zasadnicze właściwości psychologiczne psychologicznie predestynowanych do życia religijnego.

PODZIAŁ WEDŁUG PIERWOTNOŚCI:

1. Pierwotnie święci i założyciele *(Stifter)*.
2. Wszyscy, którzy pozostawali w bezpośrednim kontakcie z założycielem, byli mu posłuszni i dalej nieśli wiarę (jak dalece, to zależy od treści religii, — np. judaizmu). W kręgu chrześcijańskim nazywamy ich „apostołami", „uczniami", ale różniącymi się od tych, którzy pobierają naukę. Decyduje tutaj wzór osobowy i stosunek charyzmatyczny.
3. Świadkowie i męczennicy, którzy swojej wierze dają świadectwo w praktyce, poprzez życie, cierpienie, dobrowolnie przyjętą śmierć.
4. Wszyscy, którzy aktywnie biorą udział w formułowaniu dogmatów i tworzeniu socjologicznych tworów religii (np. „ojcowie Kościoła"), w przeciwieństwie do tych, którzy do ukształtowanego i gotowego podchodzą przede wszystkim przedmiotowo, zwąc się „nauczycielami".
5. Ludzie „wtórnie" *(nachfolgend)* uznani za „świętych" we wspólnocie religijnej, zorientowani duchowo w sposób bezpośredni i pierwotny na samego założyciela, gdy wydobywają z pełni jego istoty pewien szczególny rys zasadniczy: czystość, miłość, uświęcenie siebie, bohaterstwo albo którąś z jego godności, jak nauczyciel, praktyczny wzór, zbawiciel, kapłan. „Wtórnie" święci często są jednocześnie założycielami zakonów, np. Bernard z Clairvaux, Franciszek.
6. Tak zwani „reformatorzy" (Savonarola, Luter). Istotne jest dla nich to, że nigdy nie nauczają nowego, lecz głoszą „powrót do początków" oraz twierdzą, iż religia oraz Kościół stają się świeckie i „domagają się reformy na górze i na dole".

Od tych czysto religijnych należy odróżnić inne typy:

1. Przewodnicy, którzy mają znaczenie charyzmatyczne tylko

z u r z ę d u. Są przewodnikami, ale niekoniecznie wzorami; to „kapłani”. Nie „odkrywają” i nie kształtują religii (XVIII w.), lecz sprawują pieczę nad skarbem wiary. Ich powstanie (jako typu) zakłada, po pierwsze, że Kościół posiada jakąś zorganizowaną formę, oraz po drugie, osobiście oddziałującego charyzmatycznie założyciela *(personcharismatischen Stifter)*, który przekazał im swoją godność.

2. Typy m i e s z a n e. Oto niektóre z nich:

a — duszpasterze. Oddani religijnemu i kościelnemu życiu narodu, są głęboko z nim solidarni w dążeniu do zbawienia oraz starają się nim przewodzić i kierować pod względem religijnym i kościelnym;

b — „ludzie Kościoła” *(kirchlichen Naturen)* (w szczególności wielcy politycy kościoła), prowadzący religijną społeczność przez niepewności tego świata; stanowią połączenie *homo-religiosus* z politykiem. W szerszym znaczeniu omawianego typu należą tutaj również kościelni prawodawcy i juryści;

c — kaznodzieje, obdarzeni mocą ducha głosiciele słowa bożego oraz misjonarze;

d — wielka rodzina religijnie zabarwionych wzorów w poszczególnych zawodach (*Berufsvorbilder*): święty król, książę, mędrzec, lekarz, itd.;

e — teologowie, którzy naukowo systematyzują skarb wiary;

f — geniusze inspirowani wyłącznie przez religię: poeci (Dante, Dostojewski), artyści, filozofowie. Postacie z pogranicza: Sokrates, Pascal, Kierkegaard, Kant, Schleiermacher.

PODZIAŁ Z PSYCHOLOGICZNO-RELIGIJNEGO PUNKTU WIDZENIA:

1. Natury obdarzone łaską i moraliści. Mowa jest tutaj nie o teoriach (łaski i wolności), lecz o r e l i g i j n y c h t y p a c h l u d z k i c h. Azjatyccy przewodnicy religijni i wzory Azji to, ogólnie biorąc, typy moralistyczne (jak Konfucjusz i Budda). To, co boskie, pojmuje się tutaj jako nieruchomy, spokojny byt, w którym człowiek usiłuje uzyskać udział poprzez samozbawienie, a nie jako aktywną siłę, która zawładnie człowiekiem. Dlatego, to, co boskie jest w zasadzie bezosobowe (niebo Chińczyków, Brahman, nirwana). W przeciwieństwie do tego religijni przewodnicy Zachodu są przeważnie „naturami obdarzonymi łaską”, które czują się przez Boga wybrane, oświecone, obdarzone. Dawniejsze kościelne chrześcijaństwo reprezentuje pewien kompromis we współdziałaniu łaski i wolności. Natomiast Luter, Kalwin, Cromwell są „naturami obdarzonymi łaską”. W Azji: aktywność wobec tego, co boskie oraz pasywność, przeważnie kwietyzm wobec świata. Na Zachodzie: najwyższa ak-

tywność tego co boskie i pasywność człowieka w stosunku do niego, a za to największa aktywność wobec świata (historyczna siła natur obdarzonych łaską). Przeważnie „moralistyczny" jest judaizm, a w zupełności — antyczny ideał mędrca: Platon, Arystoteles. W kręgu chrześcijańskiego Zachodu przeważnie moralistyczny jest typ „założyciela sekty" („arystokracja moralna"). Sekta zaprzecza pojęciu instytucji kościelnej oraz poszukuje religijnej arystokracji, która po wewnętrznym zorganizowaniu się odcina się od religii ogółu.

2. Zatopieni w sobie *(Selbstversenker)* i uświęcający siebie samych *(Sichselbstheiligenden)* oraz „otwarci" (poważni oraz pogodni), *homme clos* oraz *homme ouvert* (Benedykt i Franciszek); religia grecka oraz religia rzymska uprzedmiotowiona w postawie [3]. Święci chrześcijańscy są przeważnie zatopieni w sobie.

3. Prorocy i mistycy (postawa: *velle, amare in deo).*

4. Dualiści i harmonicy (Augustyn — Tomasz).

5. „Raz narodzeni" oraz „dwukrotnie narodzeni"; ludzie, u których od początku w sposób ciągły zachodzi rozwój religijny, oraz nawróceni.

6. „Czyści" oraz „miłujący"[4].

7. Poza tym istnieje szereg postaci mylących, szereg typów nieautentycznego człowieka religijnego: gnostyk, ambitny i nielubiany kapłan; heretyk, który jest popychany do dalszego działania tylko przez opozycję; demagog, który przeważnie jedynie wykorzystuje fanatyzm religijny; tradycjonalista (religia jako „fundament państwa"); sceptyk i *un déraciné;* delektujący się i esteta.

2. OGÓLNE UWAGI O WZORZE I PRZEWODNIKU W DZIEDZINIE RELIGIJNEJ

Zanim zajmiemy się „pierwotnie świętym" i założycielem, kilka uwag ogólnych:

1. W tej dziedzinie (na wyższych szczeblach starszeństwa) w z ó r i p r z e w o d n i k pokrywają się, tzn. wzory religijne tworzą podstawowy rodzaj wszelkiej „charyzmatycznej" dominacji *(Herrschaft).* Na tym polega znaczenie, jakie posiada tutaj moment osobowy.

2. Prawzorem *(Urbild)* wszelkich religijnych wzorów ludzkich jest zawsze i d e a B o g a i jej zawartość. Pozostaje ona w związku istotnym ze szczególnym ukształtowaniem duchowej osoby „założy-

---

[3] Por. Heiler, *Das Gebet*, Monachium 1918.

[4] Por. Kardynał Newman, *Kazania*. Newman zalicza do „czystych" obydwu Janów, Matkę Boską; do „miłujących": Piotra, który zdradził Jezusa (Jan spogląda, Piotr działa), Pawła, Marię Magdalenę, Franciszka, Ignacego.

ciela". „Upodobnienie się do Boga" jest najwyższą miarą, którą przykłada do siebie również sam założyciel.

3. Wszystkie inne typy wzorów, od geniusza i bohatera aż do działacza gospodarczego, są bezpośrednio lub pośrednio zależne od panujących wzorów religijnych. Religijni przewodnicy i wzory obejmują i „inspirują" wszelkie inne wzory. i przewodnictwa (np. bohater antyczny — bohater chrześcijański; grecka tragedia — chrześcijańska tragedia). Płynie to stąd, że pośród duchowych czynników historii, religia jest bardziej pierwotna od sztuki, filozofii, nauki, że — po drugie — religia zawsze już istnieje wtedy, gdy pojawia się wyższa duchowa kultura i cywilizacja, że — po trzecie — panowanie religii nad duchowymi siłami jest najbardziej trwałe i intensywne. Panowanie konfucjonizmu, buddyzmu, chrześcijaństwa przetrwało państwa i kręgi kulturowe. Całe epoki historii religii i Kościołów oraz istniejące równocześnie wielkie kręgi religijne i kulturowe są przeniknięte duchową istotą i obliczem określonych wzorów religijnych i przewodników, np. światy buddyjski czy mahometański, pomimo różnego składu etnicznego (np. Arabowie, Hindusi, Turcy, itd.), stanowią tak samo duchową jedność, jaką mniej więcej tworzy chrześcijański Zachód i Wschód (Harnack). Wielkim błędem Spenglera jest traktowanie religii jako części kultury.

4. Wszystkie prawdziwie religijne wzory i przewodnicy powołują się — poza „naturalnym objawieniem" w przyrodzie, umyśle i historii — na szczególne pozytywne źródło przeżywania i poznawania, z którego płyną ich wypowiedzi, wskazówki, rady, postanowienia organizacyjne; na szczególną, tylko im przypadającą w udziale wspólnotę egzystencjalną i życiową z bytem absolutnym i świętym, mianowicie powołują się na objawienie, łaskę, oświecenie. A więc w odróżnieniu od mędrca, geniusza, wskazują oni na źródła poznania, które przekraczają naturalny, powszechny rozum. Kto tego nie czyni (np. historyczny Budda), ten nie jest pierwotnie *homo religiosus,* lecz metafizykiem, nauczycielem drogi zbawienia czy moralistą (Konfucjusz). Wzory religijne i przewodnicy powołują się na boskie uczestnictwo substancji Boga (Chrystus) albo na boskie uczestnictwo treści boskiej woli i wiedzy (prorocy). Tam, gdzie w ogóle Boga pojmuje się osobowo, sposób przekazywania wiedzy o nim ludziom za pośrednictwem osób jest z istoty konstytutywny. Bowiem dana osoba nie jest poznawalna poprzez spontaniczne wniknięcie, lecz jedynie przez swobodne otwarcie się w jakiejś innej osobie. Inaczej sprawa wygląda tam, gdzie to, co boskie pojmuje się jako porządek (Chiny), czy rzecz (w panteizmach).

Historyczne religie rozmaicie wyrażały naturalną ideę Boga, tzn. Ideę bytu świętego, absolutnego, nieskończonego. Najważniejsze, zasadniczo odmienne źródła istotne tych pozytywnych sformułowań to: 1. „Bóg ludu" (Jehowa, Bóg proroków); 2. Bóg pierwotnie czy też wtórnie świętego, „człowieka religijnego" *(homo religiosus)*; 3. idea Boga wypływająca ze spekulacji filozoficznych (Platon, Arystoteles). Dopiero ze swoistego, w każdej pozytywnej religii innego stopienia tych rozmaitych treści idei Boga płynie — przy współdziałaniu „religijnej spekulacji" — to, co głoszą o nim tzw. „dogmaty", a wtórnie — teologia (nauka o nich), uwzględniając wpływ kultu kapłańskiego [5].

Siłą prawiodącą i prakierującą tym procesem w wielkich religiach świata jest zawsze siła „pierwotnie świętego", osobowego prawzoru danej religii, a więc „założyciela".

3. „PIERWOTNIE ŚWIĘTY"

Przyjrzyjmy się istotnym rysom, które ujawnia idea „pierwotnie świętego". Umyślnie przy tym abstrahuję od zróżnicowania tych największych postaci historii, a także od wszelkiej pozytywnej wiary.

Pierwotnie święty pozostaje w tajemniczym pomroku historii [6], zupełnie inaczej niż geniusze, bohaterowie, „przewodnie duchy cywilizacji". Jest on jakby zasłonięty ogromnym światłem, promieniującym z jego istoty. Trudno dotrzeć do niego jako istoty historycznej, np. w wypadku Jezusa, Buddy, Mahometa, Konfucjusza, Lao-Tsego. Fakt ten jest oznaką niezmierzoności płynącego z tych osób życia. Oddzielenie wizerunku mitycznego, a później dogmatycznego, od realnej postaci historycznej jest równie trudne w teologii chrześcijańskiej jak buddyjskiej [7]. Wszędzie to samo podstawowe pytanie: Jak dalece pierwotnie święty jest podmiotem, a jak dalece przedmiotem religii (kierunek ortodoksyjny i liberalizujący).

Wśród swoich zwolenników pierwotnie święty nigdy nie jest „jednym z wielu", tak jak to bywa w wypadku nawet największych geniuszów i bohaterów; on jest zawsze „jedynym" *(der Einziege)*[8].

---

[5] Religijna tradycja narodu jest zasadniczo konserwatywna. Filozoficzna idea Boga wchodzi w rachubę dopiero w rozważaniach teologicznych. Lecz teologia jest w stosunku do religii wtórna.

[6] Por. Jakub Burckhardt, *Weltgeschichtliche Betrachtungen*.

[7] Por. H. Beckh, *Buddismus*; dalej H. Oldenberg, *Buddha, sein Leben, seine Lehre, seine Gemeinde*.

[8] Takie miejsce zajmują w różnych pozytywnych epokach historycznych np. Zoroaster, Budda, Mahomet, Chrystus. Naśladowczo (*nachbildlich*) świętych

Jest to niezwykle doniosła zasada istotna *(Wesensgesetz)* tego typu. Najwięksi geniusze rywalizują ze sobą, niekoniecznie dezawuując się wzajemnie; któżby nie chciał jednocześnie podziwiać, kochać, czcić Dantego, Goethego, Homera, Sofoklesa, Szekspira, Cervantesa, Platona, Arystotelesa, Kartezjusza, Leibniza, Kanta? Ale w wypadku pierwotnie świętego — przynajmniej w monoteizmie (tolerancja politeizmu) — zawsze obowiązuje: „Kto nie jest za mną, ten jest przeciwko mnie". Jeden pierwotnie święty może innego tylko pozbawić miejsca w jakiejś grupie, ale nie może naprawdę utrzymać się obok niego jako „równy znaczeniem". Nic w tym dziwnego, przecież niesie on ważne posłannictwo od żywego Boga — bądź o istocie Boga, bądź o woli boskiej — do którego ma szczególny dostęp dzięki objawieniu, oświeceniu, własnemu uczestnictwu *(Selbstmitteilung)*. Tak jak istnieje j e d e n Bóg, tak też istnieje j e d n a osoba, której on najpełniej zezwala na udział w swej istocie. Jeśli to uczestnictwo jest, tak jak w chrześcijaństwie, nie tylko objawieniem i oświeceniem poprzez szczególnie ukierunkowany akt Boga (rozumu, woli), lecz uczestnictwem osoby i substancji w człowieku dzięki „zapłodnieniu" *(Zeugung)* — tzn. dzięki najwyższej, jaka da się pomyśleć, formie uczestnictwa, zasadniczo różnej od objawienia aktowego — to jedyność staje się absolutna, zachowująca swą ważność nie tylko w przeszłości i teraźniejszości, ale także w całej przyszłości. Chrześcijaństwo nie jest religią najdoskonalszą, lecz religią absolutną. Tak zwana „absolutność chrześcijaństwa" *(Troeltsch)*, tzn. niezmienność jego wartości *(Unüberbietbarkeit)* w dalszym rozwoju historycznym, należy do istoty religii chrześcijańskiej, ponieważ jedynie ona odpowiada swoiście ontycznemu powiązaniu, swoistej świadomości związku Chrystusa z Bogiem. „Jeżeli Chrystus był tylko wielkim człowiekiem (a nawet największym ze wszystkich dotychczasowych proroków), to był on kimś mniej: szaleńcem lub kłamcą" (Roscher). Ponieważ wiara jest wolnym aktem osoby, każdy może powiedzieć: nie wierzę w niego. Ale kto w niego wierzy, musi także wierzyć, że to jest punkt centralny historii świata. On jest albo niczym, albo centrum świata. Stąd bierze się „zamknięcie objawienia", a „rozwój" polega tutaj wyłącznie na wnikaniu w jego zawartość. W mniejszej mierze zachowuje to swoją ważność wobec wszystkich osób zało-

---

może być wielu. Oczywiście nie leży w kompetencji filozofii rozstrzygnięcie, kto z pozytywnie żyjących osób jest „wzorcowo" *(vorbildlich)* świętym. Fenomenologia nie może gwarantować, że za trzy minuty ukaże się on w drzwiach mego pokoju. Ale może zagwarantować to, że kiedy on jako święty jest pierwotnie dany i intendowany, wówczas wszystkie inne postacie historii roszczące sobie pretensję do „wzorcowej" świętości są przez niego pozbawione praw do tego miejsca. Bowiem wzorcowo święty jest jedyny — i to jest związek istotny.

życieli; należy to do istoty typu oraz tego, co on reprezentuje w dziedzinie wartości.

Intencja świętego zawsze pierwotnie wybiega miłością i spojrzeniem ku temu, co boskie, a nie kieruje się wpierw na świat, jak w wypadku innych typów. (Wszystkie wielkie typy osobowe wykazują zdecydowanie dominujące ukierunkowanie miłości). Zwolennicy „wierzą" w to, co on „widzi", lecz sami nie mogą „widzieć". W tym momencie doszliśmy do czegoś najbardziej istotnego, co radykalnie różni pierwotnie świętego od wszelkich innych typów wzorów: w stosunku do osoby pierwotnie świętego nie istnieje żadne powszechnie obowiązujące kryterium, żadna norma, którymi można by mierzyć jego chcenie, czyn, działanie oraz wartość jego samego. Oznacza to, iż jest on typem człowieka, który znajduje wiarę u swych zwolenników nie dlatego, że uznaje się — przymierzywszy do jakiejś już istniejącej normy — jego działanie za „dobre", jego słowa za „prawdziwe", lecz dlatego, że wierzy się w niego, w jego osobę, dzięki charyzmatycznej właściwości samej tej osoby, jej bytu i istoty. Dlatego też uważa się jego słowa za prawdziwe a jego działanie za dobre. Jest to najbardziej znamienny rys pierwotnie świętego. Także cud, jaki on czyni, wzniosłe myśli, które głosi, szlachetne działania i czyny, które spełnia — nie są dowodami, lecz jedynie świadectwami, potwierdzeniami i oznakami jego jedyności oraz jedynego w swym rodzaju powiązania z Bogiem i świętością. Nigdzie nie znajduje to tak pełnego wyrazu, jak w słowach Chrystusa: „Jam jest droga, prawda i życie". On nie wypowiada prawdy[9], sam jest nią, sam jest osobowo ukształtowaną prawdą osobowo ukształtowanej zasady świata. To jest istota chrześcijaństwa. Oznacza ono przede wszystkim wiarę w osobę Chrystusa, który jest „drogą, prawdą i życiem" — a nie wiarę w jakąś ideę, choćby w taką, że Chrystus jest synem Boga — oraz w wieczną, centralną, żywą obecność tej osoby w świecie i historii. Również twierdzenie: „Chrystus jest Bogiem" zachowuje swą ważność tylko ze względu na świadectwo samego Chrystusa (błąd gnostyków).

Treść dana świętemu w widzeniu, czuciu i miłowaniu, nazywa się „objawieniem". Jeśli objawienie jest samoobjawieniem, to do jego istoty — tzn. do istoty jego treści — należy absolutne dokonanie. Treść ta nie podlega żadnej dającej się pomyśleć zmianie, czy powiększeniu lub zmniejszeniu, czy wzrostowi, rozwojowi i postępowi. Natomiast pojęciowe ujęcie zawartości objawienia w dogmaty przez Kościół i jego aktualne zwierzchnictwo

[9] Idea prawdy jest tutaj założona; jedynie absolutność prawdy staje się oczywista dzięki temu, że on ją stwierdza.

o tyle podlega zmianie, o ile dogmaty można rozszerzać. Oczywiście postępuje naprzód i rozwija się — jak każda czysta „nauka" — naukowa systematyka, interpretacja i definiowanie pojęć zawartych w dogmatach, dokonywane przez teologię; tak samo zmieniają się wszystkie techniczne wartości, a więc w wypadku tego, co święte — formy oddawania czci Bogu. Do zawartości tego, co naocznie święte dociera się tylko w postawie rozumienia i coraz głębszego wżycia się w tą zawartość.

Do istoty świętego należy bezpośrednio naoczna *(anschaulich)* obecność. Święty nie działa na idących za nim tak jak bohater poprzez swoje czyny, które muszą być opowiedziane bądź wyczuwalne jeszcze poprzez ich oddziaływanie, ani jak geniusz, którego duchowa indywidualność jest jeszcze bezpośrednio obecna w dziele; on sam jest obecny wśród potomnych. Pierwotnym pomostem, za pośrednictwem którego jest on obecny, jest bezpośrednie naśladowanie *(Nachfolge)* i stale nowa reprodukcja jego postaci przez „naśladowczo" świętych, a wtórnie — autorytet i tradycja, współuwarunkowane tym bezpośrednim osobistym związkiem. Podczas gdy geniusz dany jest przykładowo w dziele, bohater w czynach (w obrębie swego kręgu narodowego jeszcze za pośrednictwem tradycji, ale w różnych kręgach narodowych jedynie za pośrednictwem nauki historii) — pierwotnie święty „zamieszkuje", dzięki bezpośredniemu naśladowaniu, pozbawioną granic narodowych i kulturowych, dziedzinę historii świata. Gdybyśmy wiązali faktyczną jawność i obecność świętego z warunkiem zrozumienia jakiegoś dzieła, dajmy na to świętych ksiąg — np. w kręgu chrześcijańskim Biblii, jak gdyby dopiero poprzez nią (chociaż przy pomocy Ducha Świętego, *assistentia divini ingenii*) był on nam dany — wówczas oznaczałoby to sprowadzenie go do poziomu geniusza. W rzeczywistości święty jest dany pierwotnie dzięki żywej obecności w swoich następcach, a pismo stanowi już pierwszy symboliczny osad [10].

W wypadku „wzorcowo" (*vorbildlich*) świętego, istotne jest to, że na inne osoby oddziałuje tylko byt samej osoby, zatem nie cnoty, a tym mniej akty, dzieła, czyny czy działania. U „wzorcowo" świętego one tylko wskazują na jego byt i świętość. Dopiero do niego odnosi się w absolutnym sensie to, w czym Schiller widzi przewagę duszy szlachetnej nad pospolitą, mianowicie, że „w wypadku duszy szlachetnej liczy się to, czym jest, a nie to, co czyni". Płynie to z istoty osoby: osoba istnieje jedynie w spełnia-

10 Lektura świętych ksiąg jest rozpatrywaniem, rozbudowywaniem, ćwiczeniem ducha. Jest czymś zupełnie innym niż lektura dzieł naukowych, jest ćwiczeniem postaw, techniką duchową (*Seelen-technik*).

n i u i ruchu swoich aktów. Jej byt jest ciągle nową autokreacją. Zatem b y t, ż y c i e i d z i e ł o stanowią w niej j e d n o i t o s a m o. Również tylko naśladowczo święty nie działa poprzez akty, dzieła, czyny, lecz dzięki wewnętrznemu blaskowi swych cnót (światło świętego), które bezpośrednio dają „czysty, dobry przykład". Jednakże rodzaj jego cnót jest już określony przez osobę „wzorcowo" świętego.

Związek naśladowczo świętego z wzorcowo świętym polega przede wszystkim na b e z p o ś r e d n i m w s p ó ł ż y c i u (*Mitleben*), a poza tym na bezpośrednim n a ś l a d o w a n i u — zgodnie z tym, jak je przedtem scharakteryzowano, w przeciwieństwie do wszelkich stosunków, w których inni jeszcze nas jakoś uprzedmiotawiają. Dlatego to nie jest żaden przypadek, lecz coś istotnego, zrozumiałego i koniecznego, że typ świętego nie pozostawia żadnego własnoręcznie napisanego dzieła, które dopiero udostępniałoby przyszłym dziejom jego duchową osobę, które bezpośrednio uobecniałoby ją nadchodzącemu światu. Fakt, że on tego właśnie n i e robi, stanowi dodatkową okoliczność tłumaczącą nieograniczoność jego oddziaływania. Kto czyni to, jak np. Lao-tse, Konfucjusz, ten jest raczej mędrcem, we wszystkich wypadkach pozostawiającym takie świadectwo swojej istoty. W świecie starogreckim, który „mędrca" stawiał ponad świętym, najbardziej zbliża się do świętości Sokrates. On także nic nie napisał i jest nam znany tylko z przekazów Ksenofonta i Platona. Oddziaływanie każdej duchowej osoby, dostępnej nam jedynie poprzez dzieło, jest uzależnione od materialnego istnienia, zachowania i możliwego zrozumienia tego dzieła, względnie stopnia zrozumienia, języka, itd. To oddziaływanie duchowej osoby zakłada już istnienie materii, podległej przypadkowi powiązania przyczynowego, w której dzieło musi być utrwalone. Wprawdzie istnieją wiadomości o świętym, ale on nie pozostawia u swych następców nic istotniejszego od „s i e b i e s a m e g o", a to „on sam", ta jego duchowa postać jest w s z y s t k i m.

Dlatego też oddziaływanie świętego ma taki zasięg, jaki dopuszcza idea państwa będącego o p a r t ą n a m i ł o ś c i w s p ó l n o t ą (*Liebesgemeinschaft*) d u c h o w y c h o s ó b. Jest to dziedzina, która należy do niego. Każdy typ przywódcy posiada pewną sferę oddziaływania; sfera oddziaływania ś w i ę t e g o jest „ponadświatowa" i „wewnątrzświatowa", a więc nie obejmuje, jak w wypadku geniusza, po prostu świata, czy też w wypadku bohatera jedynie narodu, jakiejś narodowości, lecz Boga jako początek wszelkich możliwych światów. „Wzorcowo" święty pierwotnie nie kieruje się na nic więcej poza ideą nieskończonej osoby czy „Boga".

Wszystko inne widzi, stwierdza wyłącznie w pierwotnym świetle Boga, którego sam ogląda. Naśladowczo święty jest zwrócony ku „wzorcowo" świętemu jako swemu pośrednikowi, jednak nie „idzie za" nim, jak ktoś prawu posłuszny, lecz „naśladuje" go (*folgt nach*). Posłuszeństwo jest tylko drogą prowadzącą go do poziomu wolnego naśladowania z miłości (*freie Liebesnachfolge*).

Święty ma przewagę nad „sławą"; sława jest poniżej niego. Tylko dla niego sława stanowi coś jeszcze podporządkowanego tylko dla niego może być taka! Święty jest niosącym zbawienie (*Heil*). Nie podziwia go się jak geniusza, nie czci się go jak bohatera; w sercu świętego każdy znajduje ocalenie, każdy szuka zbawienia siebie samego i świata.

Wysoce tajemniczy jest dalszy żywot pierwotnie świętego w jego uczniach; tajemnicza jest wieczna obecność jego istnienia i działania. Ta bezpośrednia obecność i „zadomowienie" nie jest efektem tradycji, która swym treściom — w odróżnieniu od nauki historii, z powrotem umieszczającej w przeszłości przekazy tradycji — pozwala ujawniać się jako teraźniejsze. Lecz to jest złudzenie, ponieważ treść tradycji faktycznie należy do przeszłości, a tylko brak świadomości przypominania pozwala jej ujawnić się jako teraźniejsza i żywa. Jednak święty jest prawdziwie obecny w swoich uczniach i prawdziwie żyje w nich. Spróbuję to ująć jeszcze ściślej.

Istnieje pewien sposób bycia danym, który jest biegunowo przeciwny temu sposobowi, o jaki tutaj chodzi. To jest zwyczajne, świadome przypomnienie. Jakaś sytuacja, podobna do innej, kiedy to widziałem pewnego człowieka, bądź elementy tej sytuacji, które pozostawały w styczności czasoprzestrzennej z tamtą, wyzwala akt przypomnienia, którego treścią jest to, „że go wówczas widziałem", „że on to lub owo mówił". W tym wypadku przypominam sobie pewien stan rzeczy. W ten sposób może być również dana sytuacja w jej aspekcie wartości (*Wertverhalt*), a więc to, „że on był piękny i uprzejmy". Często nie przypadek wywołuje takie przypomnienie lecz jakaś oznaka, np. supełek na chustce do nosa czy tablica pamiątkowa, dźwięki dzwonów kościelnych w ich różnym znaczeniu czy inscenizacja jakiegoś powtarzającego się działania, jak w wypadku wszelkich obchodów rocznicowych, świąt zmarłych (choćby w liturgii roku kościelnego, który w symbolach odtwarza życie Chrystusa), czy też ujęcie danego zjawiska przyrodniczego jako takiego rodzaju oznaki (np. wschodu i zachodu słońca, co u mahometan ma przypominać o prorokach). Tylko wybitni ludzie i zdarzenia (np. jakieś zwycięstwo) uzyskują takie cechy.

Zupełnie innym fenomenem jest dane w przypomnieniu wewnętrzne ponowne słyszenie jakiejś melodii, ponowne widze-

nie jakiegoś krajobrazu, ponowne czucie jakiejś wartości bądź prze-czucie *(Vor-Fühlen)* jakiegoś wartościowo pozytywnego lub negatywnego zdarzenia [11]. Melodia, krajobraz, wartość nie są tutaj „przypomniane" w uprzednim znaczeniu, lecz są „u o b e c n i o n e" *(vergegenwärtigt)*, faktycznie widziane, słyszane i odczuwane — jednakże nie tak, by to, co obecne, posiadało, jako obecne, charakter rzeczywistości, który nadal dotyczy wydarzenia przeszłego. W taki właśnie sposób pojawia się przeczucie śmierci czy ponowne odczucie minionej miłości. Stan ten jest czymś całkiem innym niż przypomnienie, że miałem takie uczucie, względnie oczekiwanie, że go doznam. Bowiem tutaj widzę, czuję, słyszę treść: ona mi się s a m a u o b e c n i a, a jedynie jej rzeczywistość pozostaje w przeszłości bądź tkwi w przyszłości. Często również uobecnia mi się w ten sposób — co pokazałem gdzie indziej — tylko wartość jakiejś rzeczy, przy czym nie występuje jej pojęciowe znaczenie albo treść obrazowa. Powyższy stan jest w jeszcze mniejszym stopniu porównywalny z bezprzypomnieniową „reprodukcją przeżycia", która tylko swoiście zabarwia teraźniejsze treści, jak to ma miejsca w wypadku zabarwienia pamięci. S a m o „ponowne posiadanie" *(Wiederhaben)* jest w s p ó ł d a n e w czuciu, widzeniu, słyszeniu i wyraźnie różni się od czystego „dokonanego już posiadania" *(Schon-gehabt-Haben)*. Bowiem w „dokonanym już posiadaniu", kiedy uświadamiam sobie, że przedstawioną rzecz już raz widziałem albo odczułem, to widzenie jest „przeszłe" i d a n e „jako przeszłe". Natomiast tutaj mamy stan p o n o w n e g o życia, ponownego widzenia, ponownego słyszenia i to czucie, widzenie, jest czymś t e r a ź n i e j s z y m, chociaż występuje również świadomość bezpośredniej identyczności z tym, co przeszłe (jakkolwiek ta identyczność nie musi być dana w związku z „czymś" określonym).

Zestawmy z tym stanem inny, a mianowicie stan b e z p o ś r e d n i e g o w s p ó ł - c z u c i a, współ-kochania, współ-nienawidzenia, współ-dążenia. Jest to coś zupełnie innego, jak „umieć kochać i nienawidzieć to samo, co inny kocha i nienawidzi", umieć chcieć i cenić to samo, czego inny pragnie i co ceni (ma to miejsce np. w przyjaźni). Aby uprzytomnić sobie odmienność faktów, weźmy trzy następujące wypadki: 1. Rodzice, którzy kochali swoje dziecko, stoją przy jego zwłokach; czują wówczas dwa bóle i dwa kompleksy negatywnych odczuć cielesnych (np. zmęczenie) lecz jest j e d n o cierpienie, które czują „razem"; 2. Podchodzi ktoś obcy temu dziecku i współczuje rodzicom; ich cierpienie ujmuje w spostrzeżeniu przedmiotowo (ten stan rzeczy, „że oni cierpią") bez

[11] Naocznościowy typ przypomnienia jest konstytutywny dla wieku młodzieńczego (Jacusch).

najmniejszego „współ-cierpienia" z tym cierpieniem; on cierpi i przeżywa cierpienie „z powodu" tego stanu rzeczy; 3. Ktoś widzi łzy i płacz rodziców (jakaś stara woźna); nagły impuls naśladowczy wiedzie go do analogicznych impulsów ruchowych, dzięki czemu reprodukują się analogiczne stany uczuciowe, związane z impulsami wyrazowymi, które to stany uczuciowe oczywiście pozostają zupełnie bez związku z faktem, że dziecko jest martwe, albo dopiero wtórnie za pośrednictwem sądu zostają z tym faktem związane.

Jeśli powiążemy oba stany w jedność aktu, przeżycie odtwarzające (*Nachleben*) i współ-życie (*Mit-leben*), to możliwe jest na tej drodze bezpośrednie uobecnienie sobie aktów innej osobowości, aktów, w których ta osobowość bez reszty istnieje i „dokonuje się". Nie ma nic jaśniejszego od tego, że tutaj zupełnie nie występuje jakieś spojrzenie na przeżycia psychiczne tego człowieka, które miały swoje miejsce w obiektywnym czasie i rozgrywały się w sposób konieczny, uwarunkowane przyczynowo. Mogą być zupełnie inne treści, zupełnie inne sytuacje i okoliczności, zupełnie inne zdarzenia zewnętrzne i dokonujące się we mnie procesy psychiczne, które jednak — jeśli wolno posłużyć się obrazem — jakby uchwytuję „jego" rękami, widzę i słyszę „jego" wewnętrznym okiem i uchem, kocham i nienawidzę „jego" miłością i nienawiścią.

Zapytuję zatem, czym jest to, co święci, którzy chcieli „naśladować" np. Chrystusa, właściwie „chcieli", przeżywali, czynili? Na pewno nie „dać się zarazić" od niego, tak jak wzajemnie zarażają się członkowie tłumu, gdy zahypnotyzowani przez przywódcę załamują ręce i narzekają, gniewają się, palą i mordują; na pewno również nie „naśladować" w sensie kopiować go, (czemu bliskie jest złe wyrażenie *„imitatio Christi")* tzn. żyć w Galilei, zwątpić w Getsemani i umrzeć na krzyżu; z pewnością także nie współczuć mu i współradować się jego gloryfikacją. Oni żyli, czynili i chcieli czegoś innego, chcieli w jednym akcie „współ-przeżyć" (*mitleben*) i „przeżyć" odtwarzająco (*nachleben*) życie ducha historycznie tak przypadkowego żywota, tak nieznacznego i mizernego — naturalnie w zupełnie inaczej wypełnionym życiu, w innych zdarzeniach, czynach, działaniach, dziełach. Jednak wszystkie przypadkowości swych uzdolnień, talentów, środowisk, historycznych sytuacji, zawodów, obowiązków chcieli przeniknąć i przesycić indywidualną istotą jego osoby i jej tajemnego życia. Jest to coś takiego, jak jednorazowe wdarcie się w centrum osobowości, intuicyjne ogarnięcie jej zdroju a potem „życie" z tego centrum *(aus diesem Zentrum heraus)*[12], każdy swoim, tzn. zawsze przy-

[12] Swoistość języka religijnego: zgrzeszyli „w" Adamie, ukrzyżowani i zmartwychwstali „w" Chrystusie, „w" nim zbawieni i uduchowieni, „w" Chrystusie mają swoją substancję.

padkowym, pozytywno-historycznym „życiem". O to właśnie chodzi w wypadku owego wielkiego aktu „naśladowania", nie o przystąpienie z zewnątrz, jak to muszą robić historycy. Ta wiedza o Chrystusie jest całkiem inna od wiedzy historycznej, przekazywanej przez teologię. Jest to fakt o podstawowym znaczeniu.

Tym „centrum", które następcy w ów żywy sposób posiadali i z którego działali, jest właśnie święty, to, co można w nim pierwotnie określić tylko jako „święte". W ten sposób uwieczniają oni byt i życie jego osoby w wiecznym czynie, o ile ją przeżywają (*nachleben*) i współprzeżywają. Możliwość „samouobecnienia" świętego — i to w takim sensie, w jakim nie może jej nigdy posiadać geniusz, który żyje w swoim dziele — polega właśnie na tym, że tutaj b y t, d z i e ł o i c z y n z b i e g a j ą s i ę *(zusammenfallen)* w istocie osobowości. Właśnie dlatego „teraźniejszość" świętego, który jest bez reszty „osobą", nie zależy od losu dzieła różnego od jego bytu (jak jest w wypadku geniusza). On „sam" może prawdziwie być obecny i nie ogranicza go w tym jakiś materialny symbol. Ponieważ „materiał", przy pomocy którego święty pracuje i tworzy, to nie drzewo, kamień, czy farba, lecz osoba samego człowieka a zarazem wszelkich możliwych ludzi — może być on także zawsze obecny tylko poprzez o s o b y i w osobach. Lecz tutaj może on być p r a w d z i w i e obecny a to, co przeminęło i należy do przeszłości, nie stanowi „jego samego", ale jedynie jego historyczne zjawisko.

Jeszcze głębiej od aktów znajdują się w jądrze osoby bezpośrednio, naocznie dane jednorodne ukwalifikowania (*Einheitserfüllungen*) jego moralnej „możności" i „powinności", odniesionych do wartości (jeszcze bez treści obrazowych i pojęciowych odnośnego chcenia i czynienia). Mam na myśli „cnoty" (*Tugenden*). W nich — jak w rozmaitych promieniach, biegnących we wszystkich kierunkach — osoba jest bezpośrednio dana w swej wartości. Naśladowczo święty przede wszystkim współprzeżywa i przeżywa (*nacherlebt*) tę „możność" i „powinność" wzorcowo świętego; dzięki obecności w nim cnoty wzorcowo świętego akty i ich skierowania stają się w nim coraz bardziej spontaniczne i pierwotne — przeciwnie niż w wypadku, gdy tylko a k t y są współprzeżywane i odtwarzane *(nachgelebt)* — także akty i ich kierunki. Jego osoba staje się „zwierciadłem" cnót wzorcowo świętego, ale żywym zwierciadłem.

W dynamicznym, bezczasowym łańcuchu takich aktów naśladowania realizuje się wieczna teraźniejszość świętego, mianowicie w ten sposób, jak gdyby w każdym punkcie historii swych zwo-

lenników był on ukrytą historycznością (*Geschichtlichkeit*) tej historii, jak gdyby był pierwotnym działaniem, które ją dopiero wprawia w ruch od jednego momentu do innego, od a do b.

Jeszcze jednego, nader osobliwego dowodu obecności świętego można dopatrywać się w tym, że jest niemożliwe „n i e przypominać" sobie czy „n i e pamiętać" go. Święty może być jedynie „zapomniany" a — jak wiadomo — „zapomnieć" to coś innego niż „nie pamiętać". W zapomnieniu tkwi pozytywny akt; zapomnienie jest w przeciwieństwie do „niepamiętania" wyczuwalną obecnością pewnej rzeczy w pamięci (*Erinnern*), przynajmniej od strony jej wartości, oraz nabudowanym na tym popędowym (nie samowolnym) odwróceniem oczu od tego, co w ten sposób daje znać o sobie. Jednak obecność świętego jest tak przemożna i napierająca, że niemożliwe jest n i e pamiętanie o nim. Każdy musi go pamiętać tak mocno, że można o nim tylko w zupełności zapomnieć, można tylko wyrugować go z pamięci.

Toteż pierwotny założyciel-święty jest tym, kto posiada również m a k s y m a l n ą m o c (w ekstencji i trwaniu) nad duchami, który swoją istotą przesyca i zabarwia wszelki porządek prawny, wszystkie wartości duchowe, ich style, formy, treści i nosicieli, i to także wtedy, gdy ludzie nic nie chcą o nim wiedzieć, przy czym twórcy duchowych wartości nie muszą sobie tego jakoś uświadamiać [13]. Kto najmniej poszukuje mocy, ten ma moc maksymalną. Najsłabsze w intencji jest najsilniejsze, najłagodniejsze jest najpotężniejsze. Właśnie to jest w oddziaływaniu świętego najbardziej osobliwe, że jego moc obejmuje i działa również na nienawiść jego wrogów, na pragnienie prześladowania i jego prześladowców. W rodzaju wrogości i nienawiści jego nieprzyjaciół, w prześladowaniu jego prześladowców tkwi jeszcze cząstka jego samego, jego siły. Kto prześladuje, ten idzie za kimś (Nietzsche). Tak więc jego osobliwa właściwość dotyczy przyjaciół i wrogów. Można się rozwinąć na jego wzór lub wręcz przeciwnie, ale nie niezależnie od niego. Każdy sprzeciw i opór wobec niego jest sprzeciwem i oporem wobec czegoś uznanego potajemnie. W historii są bardzo nie-

---

[13] Święty obejmuje wszelkie inne formy ludzkiej wielkości, tak geniuszu i bohatera, jak dobroczyńcę w zakresie dobra cielesnego i zdrowia. Wszystkie inne panujące typy wzorów czerpią z wzoru świętego, np. antyczny ideał geniusza — mędrca — bohatera oraz chrześcijański ideał geniusza — mędrca — bohatera, antyczna tragedia oraz chrześcijańska tragedia. Wszystkie „zawody" mają w nim swoje źródło. Przez to oddziałuje on na wszystkie wartości życiowe i dziedziny kultury. Periodyzacja i podział historii świata ze względu na jego występowanie oraz zakres działania. Naśladowczo święci odciskają piętno swej religijnej formy istoty na całych generacjach: Benedykt, Franciszek, Dominik, Ignacy a także Luter, Kalwin.

liczni ci, którzy sprzeciwiają się np. Chrystusowi; oni jedynie różnie go wyinterpretowują.

Cicho i spokojnie realizuje się wieczna obecność świętego w jego uczniach i następcach. Ona jest zarazem możliwie najgłębszym poznaniem go. Wszystkie inne rodzaje źródeł wiedzy o nim — np. ustalenia autorytetu kościelnego, treści tradycji, treść świętych ksiąg, odnoszące się do niego formy kultu, a wreszcie najczęściej sama nauka historii — zachowują swą ważność jako p o c h o d n e, chociaż w rozmaitej mierze i w różnym stopniu, w stosunku do owego pierwotnego źródła.

Należy jeszcze pamiętać o jednym paradoksie. Podobnie jak wartości istnieją tylko w dobrach, tak typ świętego może istnieć tylko w r z e c z y w i s t y c h osobach. Święty jako postać pozytywna pod względem historycznym musi również mieć h i s t o - r y c z n ą r z e c z y w i s t o ś ć. To jest nawet związek istotny. Oczywiście nie miałoby sensu zaprzeczanie historycznej egzystencji Jezusa i jednocześnie czczenie go jako świętego, ponieważ na miejscu osoby stawia się „ideę". Z drugiej strony jest niemniej oczywiste, że nawet naśladowczo święty, w którym jest on bezpośrednio obecny, który w możliwie najdoskonalszy sposób posiada go w naocznej obecności, nie potrzebuje niczego wiedzieć o miejscu, czasie, otoczeniu, o wszystkich barwnych strzępach jego historycznej egzystencji i o jego realnej historii, ba, może paść ofiarą jakiegoś płynącego stąd złudzenia. Zatem jest jasne, że wszelka historyczna nauka o Jezusie nic zupełnie nie uczy nas o Ś w i ę - t y m Jezusie.

Max Scheler
tłum. A. W.

OBJAWIENIE BOGA

1

Historyczność Osoby Chrystusa nie budzi dziś wątpliwości nawet poważnych naukowców bezwyznaniowych. Świadczą o niej również źródła pozachrześcijańskie jak: Swetoniusz, Tacyt, Pliniusz Młodszy, Józef Flawiusz (Antiquitates *20, 9, 1, ale nie 18, 3, 3).*
Czy jednak nie uderza nas fakt, że długo trzeba było szperać po współczesnych Chrystusowi pisarzach, nim udało się ustalić listę ich niekwestionowanych wzmianek o Chrystusie i chrześcijanach?
Historycy ci mówią o Chrystusie marginesowo, jako o kimś małoznacznym. Wcielenie i Odkupienie były kosmicznym wstrząsem i pozostaną na zawsze życiem świata, dla współczesnych jednak ukazały się jako epizod trzeciorzędnej wagi.
Św. Paweł pisze do Kolosan: „Umarliście i życie wasze ukryte jest z Chrystusem w Bogu" (Kol 3, 3). U k r y t e z C h r y s t u s e m w B o g u... Chrześcijanom świeckim trudno jest uchwycić czasem sens życia klauzurowego, a nawet sens własnej egzystencji zagrzebanej wśród spraw błahych. A przecież chrześcijańskie życie ukryte posiada ten przywilej, że dzieli łaskę życia Chrystusa wśród świata. Słowo jako wyraz istoty Ojca jest Jego objawieniem: Splendor paternae gloriae, de luce lucem proferens, lux lucis, et fons luminis, diem dies illuminans, *mówi jeden z hymnów brewiarzowych, co w pięknym przekładzie Staffa brzmi:*

Odblasku chwały Ojca,
Ze światła światło ślący,
Źródło i światło światła,
Dniu dzień rozjaśniający.

Światło i chwała, piękno promieniujące wokół, to Jego atrybuty, które w pełni czasów dobrowolnie przyćmiły swój blask. „W Nim (Chrystusie) wszystkie skarby mądrości i wiedzy istnieją jako ukryte" (Kol 2, 3). Już Izajasz przeczuł, że taki będzie Oczekiwany: „Prawdziwie Tyś Bogiem ukrytym, Boże Izraela, Zbawco" (45, 15).

A jednak pokora ziemskiego życia Słowa, pozorna marginesowość Jego dzieła na tle historii świata nie ujmują nic wyrazistości Jego objawienia. „Bóg zajaśniał z przepięknego Syjonu, Bóg nasz przybył i nie milczy", powtarza za psalmem 49 (w. 3) liturgia Adwentu. W dziejach Chrystusa, w Jego działaniu wśród nas istnieje dialektyka ukrycia i objawienia.

Św. Jan Apostoł zaczyna swój pierwszy list wyznaniem, że widział Pana objawiającego się w całej wspaniałości:

> *„(Oznajmiamy wam to) co było od początku...*
> *Co ujrzeliśmy naszymi oczami,*
> *na co patrzyliśmy*
> *i czego dotykały nasze ręce*
> *— bo życie objawiło się*
> *i oglądaliśmy je" (1 J 1, 1—2).*

W prologu do Ewangelii powie, że i on i inni oglądali chwałę Słowa — Światłości, chociaż nie dostrzegł jej świat. Aby ujrzeć światłość Boga Zbawiciela ukrytego, trzeba pogrążyć się w Jego ukryciu. Bowiem tylko tam ona teraz rozbłyska.

Może najdobitniej mówi o tym uroczystość Epifanii, a zwłaszcza Izajaszowa lekcja: „Ciemność okrywa ziemię i gęsty mrok spowija ludy, a nad tobą jaśnieje Jahwe i Jego chwała jawi się nad tobą" (60, 2). Narodziny w Betleem, aż przerażające w swym zapoznaniu są także wspaniałym objawieniem. Liturgia Bożego Narodzenia mówi nam: „Ukazała się łaska Boga przynosząc zbawienie wszystkim ludziom" (Tyt 2, 11), „Ukazała się dobroć i łaskawość Zbawiciela, naszego Boga, nie dla uczynków sprawiedliwych, jakie zdziałaliśmy, lecz z miłosierdzia" (Tyt 3, 4—5). W Betleem Bóg objawił się tak dobrym, tak przystępnym, tak promieniującym łaskawością, że nawet bardzo od Niego oddaleni dostrzegają w tym dniu Jego miłość. Boże Narodzenie jest objawieniem, którego potędze niewielu potrafi się oprzeć. Słowo stało się Ciałem bez rozgłosu: „Współcześni dziennikarze nic o tym nie wiedzieli", jak to ktoś trafnie określił, ale pokora i słodycz Jego narodzin i tak zdobyły sobie świat.

Wspaniałym objawieniem jest również Męka. Nigdy tak jak wówczas nie widnieje świętość i sprawiedliwość Boga. Słowa litanii: Sanctus Deus, Sanctus fortis, Sanctus immortalis, *Święty Boże, Święty mocny, Święty nieśmiertelny, brzmią przejmująco. Adoracja krzyża powala człowieka w proch; zetknięcie się ze świętością Boga — unicestwia.*

W Wielki Piątek na myśl nasuwają się spontanicznie dwie pieśni. Pierwsza to modlitwa Habakuka:

> *„Bóg z Temanu przyjdzie,*
> *Święty z góry Paran.*
> *Majestat Jego okrywa niebiosa,*
> *a chwały Jego pełna jest ziemia...*
> *Słońce i księżyc zaćmiły swą jasność*
> *z powodu blasku lecących Twych strzał*
> *i wspaniałości błysku Twej dzidy...*
> *Wyszedłeś na ocalenie Twego ludu (3, 3, 11—12).*

Druga to kolęda Bóg się rodzi *(tak!), a zwłaszcza jej — czy raczej św. Leona Wielkiego — słowa:*

> *„Wzgardzony — okryty chwałą,*
> *Śmiertelny — Król nad wiekami”...*

Bowiem nigdy nie wypełniły się one tak jak na Golgocie. Konający i umarły pozostawał Królem wieków, a zawieszony na drzewie hańby uwielbiał doskonale Ojca i ani na chwilę nie przestała Go otaczać Jego chwała.

Betleem i Golgota objawiają wspaniale Boga ukrytego, odsłaniają wnętrzności Ojca i Serce Syna. Każde wydarzenie życia Chrystusa upamiętnione przez święto liturgiczne objawia Go na swój sposób. Trzeba tylko umieć patrzeć.

Istnieją także atrybuty Boga, których objawienie jest zaprzeczeniem tego, co zazwyczaj kojarzy się nam z tym słowem. Psalmista błaga Pana o ukazanie pogodnego oblicza (66, 2), co Wulgata tłumaczy jako prośbę o światłość: illuminet vultum suum super nos, *ale za wielką łaskę uważa i „osłonięcie osłoną Jego oblicza” (30, 21). Objawienie Boga dokonuje się w świetle i mroku. Czy możliwy jest inny sposób poznania Bożej niepojętości niż ciemność, owa „noc”, tylokrotnie opiewana przez mistyków, która ukazała im Niepojętego i Nieskończonego: „Twe światło zabłyśnie w ciemnościach, a twoja ciemność stanie się południem” (Iz 58, 10).*

Objawienie Pana dokonuje się w ukryciu, ponieważ Słowo dzieli się swą znajomością Ojca — „Ojca nikt nie zna, tylko Syn, i ten, komu Syn zechce objawić” (Mt 11, 27) — tylko za cenę pogrążenia się z Nim w przepaściach ukrycia.

Jeśli do dzisiejszego świata stosuje się skarga Ozeasza: „Zaginęła... znajomość Boga na ziemi” (4, 1), to dlatego, że ukrycie jest praktycznie nieznane. Szaleńcza reklama współczesności urzekła

nas wszystkich; niewielu uznaje skuteczność środków tak mało efektownych jak życie wewnętrzne. Większości wydaje się, że decydujące znaczenie dla aggiornamento *mają dyskusje, liturgia w języku narodowym, zmiana stroju zakonnic czy noszenie clergymana przez księży. Wartości, jakie zmiany te mogą rzeczywiście przynieść, ulegają degenaracji wskutek przeakcentowania aspektu wizualnego, który dla wielu jedynie liczy się jako objawienie istoty Kościoła.*

A życie chrześcijańskie i aggiornamento *są sprawą głębi. Święci są ludźmi głębi i ukrycia i mimo możliwej staroświeckości pozostają młodością świata. Trwają bowiem w sercu chrystianizmu, tam gdzie Chrystus uwielbia Ojca i ofiarowuje się za swój Kościół. I tylko przez nich dokonuje się prawdziwe objawienie Pana naszego Jezusa Chrystusa.*

Ukrycie musi się łączyć z miłością. Św. Paweł mówi o „pouczeniu w miłości" (Kol 2, 2). Wiedząc zaś, że objawienie Boga pozostanie na zawsze łaską darmo daną, błaga o nie w najpiękniejszej modlitwie na ten temat, modlitwie, której warto się nauczyć na pamięć:

„Przeto i ja, usłyszawszy o waszej wierze w Pana Jezusa i o miłości względem wszystkich świętych, nie zaprzestaję dziękczynienia, wspominając was w moich modlitwach, aby Bóg Pana naszego Jezusa Chrystusa, Ojciec chwały, dał wam ducha mądrości i objawienia, to znaczy w głębszym poznawaniu Jego samego światłe oczy dla serca waszego, tak byście wiedzieli, czym jest nadzieja waszego wezwania, czym bogactwo chwały Jego dziedzictwa wśród świętych i czym przemożny ogrom Jego mocy względem was wierzących" (Ef 1, 15—19).

2

Po arcykapłańskim powierzeniu Ojcu uczniów, Jezus otwiera szczytową fazę swej modlitwy; Jego ramiona stają się rozciągnięte szeroko, jak na krzyżu: „Przyciągnę wszystkich do siebie" (J 12, 32). M o d l i t w a z a K o ś c i ó ł stanowi szczyt Bożego objawienia. Mógł ją wypowiedzieć tylko Ten, który stanowi jedno z Ojcem i jedno z nami. Zbyt święta i wzniosła, byśmy mogli odmawiać ją we własnym imieniu, gdyż przemawia w niej Ten, K t ó r y j e s t, musi być jednak odmawiana przez nas często. Tylko to pozwoli nam wniknąć w misterium Jego — i odtąd już naszego — życia.

Słowo oddaje nam w niej nieomal wszystko, co jest Jego przywilejem u Ojca — j e d n o ś ć: „Aby stanowili jedno, tak jak My

jedno stanowimy. Ja w nich, a Ty we Mnie", chwałę: *„Chwałę, którą mi dałeś przekazałem im"*, „miłość: *„Ty ich umiłowałeś tak, jak Mnie umiłowałeś"*, przyszłe szczęście: *„Ojcze, chcę, aby także ci, których mi dałeś, byli ze Mną tam, gdzie Ja jestem"*, oraz poznanie, które jest życiem wiecznym: *„Objawiłem przed nimi imię Twoje i nadal będę objawiał... A to jest życie wieczne, aby znali Ciebie, jednego prawdziwego Boga, oraz tego, którego posłałeś, Jezusa Chrystusa".*

„Nadal będę objawiał"... Pan nasz Jezus Chrystus trwa pośród nas w misterium paschalnym, misterium śmierci i Zmartwychwstania, a więc także w misterium swej arcykapłańskiej modlitwy. Inaczej nawet być nie może. Wcielenie dosięgnęło wewnętrznego życia Boga. Oczywiście w Bóstwie Słowa nie zaistniały zmiany, ale to, co w języku fachowców określa się jako zmianę relacji Słowa do człowieczeństwa, nie daje pojęcia o tym, co się dokonało. Bowiem odtąd Słowem kieruje także pondus humanae naturae; *w Nim wszystko lgnie z równą siłą do Ojca i do braci w człowieczeństwie. Na to nie trzeba dowodów poza modlitwą arcykapłańską, a nawet poza znajomością praw natury — człowiek pozostaje zawsze sobą. Św. Paweł nie znając Chrystusa według ciała niewiele potrafił powiedzieć o Jego ziemskiej modlitwie, przeniknął natomiast tajemnicę Jego wszechpośrednictwa w niebie: „Zawsze żyje, aby się wstawiać za nami" (Hbr 7, 25), „Jezus Chrystus, który poniósł (za nas) śmierć, co więcej — zmartwychwstał, który siedzi po prawicy Boga, który przyczynia się za nami" (Rz 8, 34).*

Bo dobrze jest człowiekowi wiedzieć, że go otacza ta modlitwa. Nasza własna jest niegodna i zbrukana grzechem, ale wołanie Chrystusa ma zawsze dostęp do Ojca i przeniknięte jest współczuciem dla nas, braci według ciała. Modlitwa Chrystusa jest tym cieniem skrzydeł Pańskich, w którym kryjemy się z ufnością.

Benedyktynka od Nieustającej Adoracji

KARL RAHNER

CZY W KOŚCIELE JEST MOŻLIWY OTWARTY DIALOG?

Tadeuszowi Żychiewiczowi et Co
przekład ten poświęcam.
Tłumaczka

Kiedy mowa o dialogu chrześcijan katolickich na temat wiary i płynących z niej zasad, nasuwa się pewna trudność. * Mianowicie, nie chodzi w tym wypadku o dyskutowanie poglądów całkiem dowolnych, lecz o dialog o nauce, którą Kościół i chrześcijanie przyjmują wiarą za objawioną przez Boga i niezmienną. Na temat kwestii polityki i gospodarki, sztuki i kultury, można wymieniać poglądy, różnić się a jednak obcować przyjaźnie, można nawet i trzeba być tolerancyjnym, zakładać z góry, że nie musi się mieć całej racji i że w toku dyskusji pogląd, który reprezentujemy, da się zmodyfikować, lub zgoła zmienić na jakiś lepszy. Mówiąc krótko, dialog taki może i powinien być „otwarty".

Czy jednak chrześcijanie katoliccy mogą prowadzić taki otwarty dialog również w kwestiach wary? Czy też w tym wypadku cel rozmowy musi być ustalony już z góry i polegać tylko bądź na narzuceniu własnych przeświadczeń partnerowi, bądź na ucięciu kontaktu, przy czym obie strony pozostają „nienawrócone", czyli mają dalej te same przeświadczenia co przedtem? Innymi słowy — czy otwarty dialog jest w tym wypadku niemożliwy, a możliwy jest tylko spór, którego zamierzeniem jest pouczanie i nawracanie?

Z bardzo wielu złożonych przyczyn K o ś c i ó ł m o ż e, a n a w e t m u s i m i m o w s z y s t k o, p r o w a d z i ć o t w a r t y d i a l o g t a k ż e w k w e s t i a c h w i a r y. Niepodobna przedstawić tu *in extenso* całego tego problemu, stwierdzić trzeba jednak najpierw krótko i ogólnie co następuje: mimo że objawienie boskie uważamy za absolutne, absolutnym przystaniem wiary, i mimo że intencja Kościoła jest w ostatecznym i najgłębszym sen-

* Artykuł niniejszy pochodzi z miesięcznika „Stimmen der Zeit", 2 1967. Przekład zawiera niewielkie skróty. Podkreślenia są moje. am.

sie misyjna, Kościół ów musi prowadzić otwarty dialog ze wszystkimi ludźmi i grupami ludzi, dlatego po prostu, że może i musi być w tym dialogu także stroną, która się czegoś uczy. Nie przynosi to żadnej ujmy prawdzie boskiej. Przeciwnie, Kościół w stanie dialogu może pogłębić jej rozumienie, może oczyścić je z błędnych i pomniejszających interpretacji, może sam stać się bardziej wierzący i znaleźć bardziej konkretny, historyczny wyraz dla swej nadziei i miłości. Wyraz, który musi być znaleziony, jeśli dobra nowina Boga w Chrystusie ma być oznajmiana naszym czasom skutecznie.

Poniższe, bardziej szczegółowe uwagi chcę poświęcić dialogowi i potrzebie dialogu w specyficznej, dzisiejszej sytuacji. Dlatego nie będę rozpatrywał bliżej jego najważniejszego, stałego aspektu, to znaczy faktu, że stosunek wzajemny chrześcijan jako takich jest zasadniczo sytuacją dialogu *par excellence,* jest bowiem stosunkiem przyjaciół, braci i członków jednej wspólnoty, jednego ołtarza.

*

Wewnątrzkościelny dialog otwarty jest możliwy i jest potrzebny. Przede wszystkim dlatego, że Kościół musi prowadzić dziś dialog ze światem. Nie wolno zaś zapominać, że ów „świat” nie jest wcale tylko czymś na zewnątrz Kościoła, lecz jest w nim, jest w każdym z nas. Dlatego dialog rozstrzygający przebiega właśnie w płaszczyźnie wewnątrzkościelnej.

W pierwotnym i zasadniczym sensie, „świat” jako partner Kościoła w tak potrzebnym dziś dialogu, nie pojawia się dopiero tam, gdzie pojawiają się zorganizowane społecznie i skrystalizowane światopoglądowo grupy nie-chrześcijańskie. Już bowiem zanim takie inaczej uformowane grupy powstaną, istnieje pierwotna wobec nich przesłanka dialogu. Jest nią sama sytuacja duchowa człowieka dzisiejszego, którą charakteryzuje olbrzymi wprost pluralizm. Właśnie ten pluralizm powoduje kształtowanie się bardzo zróżnicowanych formacji światopoglądowych. Jest on zarazem faktem, który nie może być bez wpływu na wiarę i na Kościół.

Przez pluralizm duchowy rozumiem tutaj sumę doświadczeń, możliwości, informacji i dążeń ludzkich, we wszelkich dziedzinach życia. Sumę tę charakteryzują następujące właściwości:

1. Jest już dziś sumą tak olbrzymią i tak wielowarstwową, że pojedynczy człowiek nie może jej nawet ogarnąć, nie mówiąc już nawet o jakimś opanowaniu i zintegrowaniu w jednolity system.

2. Jej źródłami są obszary wiedzy i doświadczeń, które są bardzo różnorodne i również nieusystematyzowane. Mnogość tych obszarów

jest dziś tak wielka, że żadna aprioryczna teoria poznania nie może ich ująć w jakiś uporządkowany system.

3. Nie istnieje żaden pojedynczy nosiciel całej tej sumy doświadczeń i wiedzy, który mógłby nią całą autorytatywnie dysponować. Również Kościół nie jest takim nosicielem.

4. Wszystkie elementy tej amorficznej „sumy" mają jakieś, takie czy inne, znaczenia dla przeświadczenia wiary. Wszystkie stanowią współczynniki obrazu świata i samoświadomości dzisiejszego człowieka, a właśnie obraz świata i samoświadomość składają się na „sytuację wiary", stawiają jej pytania i kwestionują ją samą nieustannie.

Otóż świat tego „duchowego pluralizmu" istnieje dzisiaj także w Kościele, stanowi realną sytuację ludzi wierzących. Już dlatego potrzeba dialogu wewnętrznego jest oczywista. Świat homogeniczny, świat o zarysach, które wydawały się łatwo czytelne i klarowne, kończy się nie-tylko na zewnątrz, ale też wewnątrz Kościoła. W ciągu blisko stu lat, mniej więcej od połowy XIX wieku, w Kościele tym panowała jeszcze duża duchowa homogeniczność, którą umocnił dodatkowo Pierwszy Sobór Watykański, i która nosiła jak wiemy pewne cechy getta. Były to czasy neoscholastyki w teologii i filozofii, czasy wypracowanej w każdym szczególe teorii prawa naturalnego, uniformistycznego rzymskiego centralizmu w zarządzaniu Kościołem, jednej łacińskiej liturgii, jednego prawa kościelnego. Były to czasy prób zorganizowania życia kościelno-chrześcijańskiego na sposób autarkiczny, drogą odrębnych szkół, organizacji, literatury, czasy bardzo stosunkowo homogenicznego „nie" wobec wszystkiego, co było drogie duchowi współczesności, czasy dużej nieufności dla demokracji, i dla wielu przyszłościowych nurtów w polityce i w ekonomii politycznej, czasy gdy przeciwstawiano się dość powszechnie emancypacji kobiet, nowoczesnej egzegezie, badaniom historii religii, swobodzie w studiach historii dogmatu etc.

W takiej sytuacji dialog wewnątrz Kościoła był niebardzo potrzebny, gdyż i tak wszyscy „mówili jednym językiem" i musieli wobec tego przede wszystkim bronić go przed zewnętrznością. Nastawienia były więc głównie apologetyczne i defensywne.

Proces zmian trwał oczywiście w Kościele już od dawna. [...] Lecz mniej więcej do chwili śmierci Piusa XII nie dochodziło to jeszcze do świadomości przeciętnego katolika, któremu powolną lecz stałą ewolucję przesłaniał „kościelny monolityzm".

Od czasu pontyfikatu Jana XXIII i Drugiego Soboru Watykań-

skiego zmieniło się to jednak radykalnie. Już nie tylko dla garstki najprzenikliwszych, lecz dla przeciętnej opinii publicznej katolików stało się jasne, że duchowy pluralizm wtargnął do wnętrza Kościoła i żyje w nim na dobre.

Widać całkiem wyraźnie, że kościelna teologia i filozofia nie posługuje się już tylko językiem neoscholastyki, że problematyka i terminy filozofii współczesnych pojawiają się wewnątrz Kościoła, *że teologia protestancka przestała dawno być po prostu wrogiem, którego się zwalcza, lecz jest partnerem, z którym wspólnie przystępuje się do konfrontacji ze współczesną duchową sytuacją i od którego można się wiele nauczyć.* Nietrudno zauważyć, że także katolicka egzegeza przyjęła metodę krytyczną, racjonalną i historyczną w swym podejściu do Pisma św. i że dogmatykom stawiać trzeba w związku z tym pytania całkiem nieraz inne niż te, do których przywykliśmy. Odpowiedzi zaś nie zawsze są jednomyślne. Przeciętnym katolikom przyszło poczynić też inne odkrycia. Okazało się na przykład, że wcale nie jesteśmy wszyscy jednego zdania w niezliczonych kwestiach o głębokim znaczeniu dla naszych postaw i poglądów religijnych, w kwestiach dotyczących na przykład antropologii, kultury, sztuki czy ekonomii. Katolicy nie przysięgają już wierności jednej partii. Pojawia się architektura kościelna i dzieła sztuki, które dla jednych są „objawieniem", a dla innych czystą „zgrozą". Nie jesteśmy już jednomyślni co do tego, co właściwie znaczy chrześcijańska literatura i czym być powinna. *To co dla jednego stanowi konieczną i właściwą dla naszych czasów interpretację dogmatu, innemu wydaje się poglądem graniczącym z herezją. Okazuje się, że zasady chrześcijańskie, od wieków akceptowane, nie dadzą się tak łatwo i jednoznacznie jak dawniej przełożyć na konkretne imperatywy, które przyjęliby wszyscy.* Przytoczyliśmy tu tylko kilka przykładów z bardzo wielu, lecz wystarczą one by zdać sobie sprawę, że pluralizm duchowy, czy też „świat" duchowego pluralizmu istnieje wewnątrz Kościoła. Właśnie dialog wewnątrzkościelny jest potrzebny, i to mimo faktu, że jest trudniejszy i kłopotliwszy niż dawny dialog z zewnętrznym światem. Jest trudniejszy i kłopotliwszy po pierwsze, bo każdy „spór rodzinny", nawet prowadzony z umiarem i taktem, ma w sobie pewną gorycz. I po drugie, bo dialog na obszarze jednej chrześcijańskiej wiary i jednej społecznej organizacji jaką jest Kościół, jest dialogiem o „zawężonym polu" i nie pozwala na różne uniki, które są możliwe przy dialogu ze światem zewnętrznym.

*

Dialog wewnętrzny Kościoła o pluralistycznej duchowości jest potrzebny mimo że nie można (i nawet nie należy) się spodziewać, iż pluralizm, dzięki niemu, zostanie przezwyciężony [...] Dzisiaj bowiem chodzi o to, aby chrześcijanie pomagali sobie nawzajem w podejmowaniu sytuacji pluralizmu różnych duchowych rzeczywistości, które — w stanie niezintegrowanym — żyją w każdym z nas. Chodzi o to, aby pomagali sobie w przezwyciężeniu niebezpieczeństw, jakie przedstawia ten pluralizm dla czystości i dla siły inspiracji naszej wiary, i to nawet gdy zdaje się nie dotyczyć jeszcze bezpośrednio decyzji światopoglądowych, gdy jest jeszcze by tak rzec „neutralny". Właśnie dlatego, właśnie z powodu swej jednej wiary, chrześcijanie, których charakteryzuje dzisiaj pluralizm teologiczny, muszą rozmawiać o swojej teologii, muszą starać się stwierdzać, że pod różnicami istnieje jedność zasadniczego Wyznania. Co zresztą jest dziś o wiele trudniej stwierdzić niż zdawało się dawniej. [...]

*

Dialog jest więc potrzebny w Kościele dlatego, że istnieje dziś w nim sytuacja duchowego pluralizmu. I dialogu tego nie mogą zastąpić same akty Urzędu Nauczycielskiego czy Duszpasterskiego. W dawniejszych, bardziej homogenicznych czasach, wydawało się to możliwe. W istocie nigdy tak nie było. Obok orzeczeń Urzędu istniała inicjatywa jednostek, nigdy nie zredukowana bez reszty, istniały charyzmaty, które mogły i musiały się wyrażać bez uprzedniego zatwierdzenia. Dzisiaj, z wielu przyczyn, oba te zjawiska występują w jeszcze silniejszym stopniu. Jak powiedziałem jednak, dawniej mogło przynajmniej się wydawać, że akty Urzędu Nauczycielskiego i Pasterskiego mogą mieć miejsce bez uprzedniego dialogu, i że istotnie mają miejsce bez niego, jeśli nie liczyć pewnych konsultacji, które naturalnie były zawsze. Było to zrozumiałe. Sytuacja była wówczas stosunkowo homogeniczna, i nawet sprzeczności, jeśli istniały, przedstawiały się jak całkiem jasne antynomie, jak jakieś „tak" naprzeciw jakiegoś „nie". To co miało być przedmiotem rozstrzygającego orzeczenia, było przejrzyste, i zwykłe codzienne doświadczenie mądrych, dojrzałych ludzi wystarczało, by się z tym uporać.

Dziś jednakże jest całkiem inaczej. Przedmiot, co do którego ma być wydana decyzja Urzędu, nie przedstawia się już jak proste „tak albo nie", przy czym trzeba jedną część tego członu włączyć we własną autorytatywną doktrynę a drugą obłożyć anatemą.

Proponowane są liczne modele postępowania czy sposoby podejścia, i nie dadzą się one już uszeregować czy ustawić w jednoznacznym wzajemnym stosunku. Normalne studia, które się ukończyło, i doświadczenie życia nie dają już wystarczającego stanu poinformowania. Dialog staje się więc tym samym dla Urzędu konieczną podstawą decydowania. Właśnie dialog informuje, pozwala zrozumieć, co dokładnie mają na myśli teologowie, systematyzuje i opracowuje fakty i doświadczenia, pozwala wypowiedzieć się i sprecyzować uprawnionym tendencjom w Kościele. To więc wszystko, co się dziś ujmuje w zbiorowym pojęciu „dialog", stanowi narzędzie ludzkie, które Kościół — mimo pomocy Ducha Świętego — uznał za potrzebne nawet dla orzeczeń Urzędu Nauczycielskiego, nie mówiąc już o tym, że uważa je za nieodzowne dla właściwego sprawowania Urzędu Pasterskiego.

Dialog nie może oczywiście zastąpić Urzędu Kościoła. Ale dzisiejsza sytuacja (jakkolwiek rzecz się przedstawiała dawniej) sprawia, że Urząd uważa dialog za uprawniony środek znajdowania właściwych rozwiązań i sam przez się tego dialogu nie może zastąpić.

*

Istnieje też jednak wiele spraw, które nie podpadają bezpośrednio pod kompetencje Urzędu Nauczycielskiego i Pasterskiego, lecz które mimo to mogą i powinny być przedmiotem dialogu wewnątrzkościelnego. Jak powinna dziś wyglądać chrześcijańska literatura, co konkretnie ma sądzić chrześcijanin o poszczególnych partiach politycznych, co sądzić o współczesnych prądach w sztuce, lub o jakimś okresie w historii danego narodu, takie pytania i tysiące podobnych nie podpadają z pewnością bezpośrednio pod kompetencje Urzędu, lecz powinny być zarazem przedmiotem wewnętrznego dialogu chrześcijan.

Trzeba to stwierdzić, nawet gdy ktoś jest zdania, że w kwestiach takich jak te, chrześcijanie powinni przede wszystkim włączać się całkiem swobodnie w ogólny dialog laicki. Trzeba bowiem, aby rozmawiali o nich także między sobą, po to po prostu, by pomagać sobie nawzajem w lepszym ich zrozumieniu w krytycznym świetle Ewangelii.

Przy dialogu tego rodzaju będzie się nieraz okazywało, że różnice poglądów nie dają się przezwyciężyć, i partnerzy są i pozostają innego zdania. W tym wypadku należy przypomnieć sobie tekst Konstytucji *Gaudium et Spes* — (43) — „Niejednokrotnie sama chrześcijańska wizja spraw na świe-

cie skłoni ich do jakiegoś określonego rozwiązania w pewnych okolicznościach. Ale często się — prawomocnie — zdarza, że inni wierni, wiedzeni niemniejszą szczerością, inaczej będą osądzać tę samą sprawę. Wielu łączy rozwiązania stąd i stamtąd przedłożone, nawet niezależnie od intencji stron, z tym co głosi Ewangelia. Niech więc wszyscy pamiętają, że w podobnych wypadkach nikomu nie wolno domagać się sankcji autorytetu kościelnego wyłącznie dla swego zdania".

Nawet zresztą taki pozornie bezowocny dialog jest użyteczny: przy dobrej woli z obu stron stanowi wychowanie do swoistej pokory intelektualnej, do ostrożności w wyrokowaniu, a także wzbogaca, różnicuje i czyni światlejszymi poglądy, które w zasadzie dalej pozostają inne. Może się też często zdarzać, że właśnie dzięki dialogowi da się rozpoznać, która grupa w Kościele reprezentuje postawy i poglądy biorące górę w konkretnych orzeczeniach i posunięciach, i spychające z wolna przeciwne stanowisko w bezsilność i bezpłodność. I ten niewesoły proces bowiem jest elementem życia, które trzeba podejmować z cierpliwością.

Dialog wewnątrzkościelny wyraża się w najrozmaitszych układach i kombinacjach, i powinien tak się wyrażać. Bywa to więc dialog jednostek z jednostkami, dialog formalnych i nieformalnych grup w Kościele, dialog przedstawicieli Urzędu, ludzi świeckich i teologów, formalnie mianowanych rzeczników instytucji Kościoła i ludzi meldujących się do głosu samorzutnie. Również nie-katolicy i nie-chrześcijanie bywają wciągani w wewnętrzny dialog w wypadkach kiedy mogą, jako fachowcy, wnieść weń coś ważnego lub nawet niezastąpionego. [...]

*

Trzeba z kolei powiedzieć coś o istocie i granicach dialogu wewnątrzkościelnego, o kwestiach teologicznych w węższym sensie, a więc o problematyce teologii biblijnej, dogmatycznej i moralnej. Również taki dialog jest dziś potrzebny, gdyż także w dziedzinie teologii mamy sytuację duchowego pluralizmu. Nie istnieje już w praktyce jakiś jeden język pojęciowy i nie może zresztą istnieć, jeśli teologia służyć ma głoszeniu Ewangelii światu tak pluralistycznemu jak dzisiejszy. Żaden teolog nie może, nawet w jednej specjalności, opanować całkowicie wszystkich istniejących metod, źródeł, wyników i problematyki. O wszystkim trzeba dziś wiedzieć znacznie więcej i coraz więcej, tak że zakres, o którym teolog chciałby wiedzieć możliwie wszystko, staje się coraz węższy. Oczywista jest więc potrzeba pracy zespołowej i dialogu.

Teologia istnieje jednak nie jako sztuka dla sztuki, lecz po to, aby służyć Kościołowi. Wewnątrzkościelny dialog teologiczny wymaga więc pewnych warunków. Przede wszystkim jego uczestnicy muszą podporządkować się Pismu Świętemu, słyszeć zawsze co mówi, także gdy objaśnia się je lub przekłada na pojęcia bardziej dzisiejsze. Dogmat musi pozostawać jednoznaczną nicią kierunkową, nie zaś stawać się tylko „współczynnikiem interpretacji" zanikającym w toku debat. Musi tak być również wtedy gdy dogmat (w szerszym sensie) potrzebuje wyjaśnienia i interpretacji i nie jest niedostępny dla reformy, lecz jako autentyczne orzeczenie Urzędu Nauczycielskiego winien być traktowany z całą powagą jako wiążący we właściwym, w danym wypadku, stopniu. Nieunikniony i uprawniony element subiektywny w teologii musi być stale i uczciwie rewidowany z punktu widzenia nauki Kościoła, także gdy jest to bolesne lub niewygodne. Teologia musi być wrośnięta w szerszą świadomość religijną Kościoła, taką jaką jest ona w tej chwili, i znajdującą autorytatywny wyraz i moc w nauce Urzędu.

Może się zdarzyć, że biskupi, w sensie teologicznym i naukowym, nie znają się dobrze na jakiejś kwestii. Mają wtedy moralne zobowiązanie zasięgnięcia bezpośrednio lub pośrednio informacji u specjalistów, jeśli chcą lub muszą wydać w tej kwestii jakąś decyzję. Nie zmienia to jednak w niczym faktu, że w sprawach wiary i moralności sędziami są biskupi, nie zaś teologowie, i że biskupi muszą wydawać taki sąd, gdy wymaga tego sprawa jedności Wyznania lub czystości wiary. Taki jest jeden aspekt problemu. Trzeba jednak powtórzyć, że — z drugiej strony — autorytet Urzędu Nauczycielskiego nie może zastąpić dialogu. (...)

*

Uznanie, że potrzeba dialogu, jak też że jego granice mają źródło w całokształcie wiary Kościoła, powinno być zachętą i zobowiązaniem do cierpliwości, do słuchania i traktowania poważnie cudzych poglądów i do baczenia by dyskusja nie degenerowała się w krzykliwą paplaninę, w której dochodzi do głosu tylko przemądrzałość i zacietrzewienie, nie zaś szacunek dla spraw i ludzi. W dialogu chrześcijan musi być świadomość, że przebiega on w Kościele świętym, ale także Kościele grzeszników, że ma służyć zbawieniu i że przyjdzie zeń zdać sprawę na sądzie Boga. Jeśli to będzie pamiętane, dialog w Kościele może toczyć się śmiało. Jest bowiem — powtarzam jeszcze raz — rzeczą potrzebną.

Karl Rahner
tłum. Anna Morawska

KLARA I ANNA JAROSZYŃSKIE

PROBOSZCZ Z IZABELINA

1

UBÓSTWO

Motto

Jest takie czekanie, które już jest spotkaniem
Jakie takie całkowite wyzucie w ubóstwie, które już jest posiadaniem
Jest taka pustka, która już jest pełnością
Jest taka ciemność, która już jest światłością
Jest taka cisza w której już słyszysz Niesłyszalnego, Milczącego.

Bracie, który nie wiesz na co czekasz
i trzymasz się kurczowo tego czego sobie nie cenisz
jak rozbitek trzymający się deski na głębi oceanu.

I nie wiesz co robić z tym co masz
jeżeli czujesz pustkę wśród gromady
jeżeli chodzisz po omacku wśród blasków neonów i łukowych lamp...

Z zapisków księdza Aleksandra Fedorowicza
na kopercie, w nocy. Onkologia, czerwiec 1965.

Ksiądz Tadeusz nalegał na brata już pod koniec jego życia, żeby napisał swój testament. Przypominał mu, że jest to obowiązkiem każdego kapłana, żeby przed śmiercią miał uporządkowane swoje sprawy doczesne. Przypominał o tym wiele razy, a Ksiądz Aleksander, zawsze taki uległy, jakoś się ociągał i nie mógł się do tego zabrać. Wreszcie, już niedługo przed śmiercią poprosił o czysty arkusz papieru, pióro i choć ręka odmawiała mu posłuszeństwa wy-

---

Zamieszczone rozdziały pochodzą z przygotowywanej obecnie biografii ks. Aleksandra Fedorowicza (ur. w 1914 r. w Klebanówce, pow. zbaraskiego, zmarły 15 VIII 1965 r. w Izabelinie pod Warszawą). Czytelnicy „Tygodnika Powszechnego" i „Znaku" znają go z kilku jego artykułów, a TP nr 875 z 31 X 1965, zamieścił notę biograficzną i szereg wspomnień o Nim.

kaligrafował jak umiał najczytelniej: *Testament*, a pod tym: *Życie moje grzeszne oddaję Miłosiernemu Bogu. Poza przedmiotami osobistego użycia...* Tu tekst się urywa. Rozpoczęte zdanie nie zostało dokończone. Dlaczego? Czy ktoś mu przerwał? A może nie mógł sobie przypomnieć jakie posiada inne rzeczy „poza przedmiotami osobistego użycia"? Może w ogóle ich nie było? Faktem jest przecież, że na czystym, uroczystym arkusiku pozostały tylko te słowa.

Potem, podobno, próbował jeszcze ustnie pozostawić swoją ostatnią wolę. Pisać już nie mógł. Był to już kres jego życia. Wezwał więc księdza Bronka (Piaseckiego) i zaczął dyktować: *Moje grzeszne życie oddaję Miłosiernemu Bogu, a inne rzeczy...* Lecz znowu nie dokończył.

Nie mógł dokończyć. Naprawdę nie mógł, nie miał czym dysponować.

*

W roku 1951 prowadząc konferencje dla zakonnic o ubóstwie powie: *Ubóstwo na tym polega, by się do niczego nie przywiązywać, nawet do samego ubóstwa. Umiem mieć i umiem nie mieć.* Różnie się ta zasada w życiu jego objawiała. Pozornie nieraz niekonsekwentnie, jeśli się nie dostrzegało tego jedynego Porządku, któremu był wierny.

Ot, choćby sprawa pewnego brewiarza. Zachował się list Księdza z roku 1948, ważny między innymi i dlatego, że poddaje w nim analizie swój stosunek do rzeczy: *Odnośnie brewiarza. Jeżeli chodzi o prezenty, pamiątki, fotografie itd. to niestety nie umiem przywiązywać do nich wagi od kogokolwiekby pochodziły. Może to się łączy z tym, że nie jestem wyobrażeniarzem, ale mam sposób myślenia raczej intelektualno-abstrakcyjny. A może to po prostu jakaś insensibilitas — brak uczucia. Bóg wie. Kiedy się nad tym zastanawiam, to z przykrością zauważam, że jeszcze najwięcej wagi przykładam do takich pamiątek, które schlebiają memu snobizmowi.*

O tym, że siostra nie chciała, żebym oddawał brewiarz — nie pamiętam. Odstąpiłem go jakiemuś klerykowi, a co gorsza, wziąłem za niego pieniądze, 5000 zł, bardzo siostrę przepraszam. Proszę się nie gniewać.

A więc oddał, a nawet sprzedał komuś ofiarowany sobie brewiarz. Trochę w tym cytacie uderza oschły, rzeczowy sposób załatwienia drażliwej bądź co bądź sprawy. Wymieniona jest nawet suma pieniężna dokonanej transakcji. A przecież jest to tylko dopisek do listu. Długiego, serdecznego i dobrego listu, niosącego pociechę i pomoc: *Niech siostra będzie mężna. Życie trudne i skom-*

plikowane, pełne niebezpieczeństw, błędu i grzechu staje się proste i jasne, gdy się na nie popatrzyć przez pryzmat obowiązku chwili obecnej tak jak go sumienie dyktuje. Bóg niczego innego nie żąda i nie będzie sądził według wyników pracy, ale według spełnienia Jego Woli na każdy dzień.

Tak pisze w innych sprawach. Chyba bez śladu „insensibilitas". A „transkakcja" wyglądała podobno tak: jest rok 1948, a więc jeszcze w latach głodu książkowego. Ukazało się nowe wydanie brewiarza z pięknymi tłumaczeniami psalmów, które zostało natychmiast rozchwytane. Ktoś z przyjaciół Księdza egzemplarz taki zdobył. Znając Księdza upodobanie do piękna, a w szczególności do piękna słowa i to słowa wielbiącego Boga, można być pewnym, że wartość nowego brewiarza została właściwie oceniona ale nie jako pamiątki, nie jako wkładu starań kochających osób. Ten piękny brewiarz został odstąpiony komuś bardziej potrzebującemu. Dla Księdza bowiem o prawie do posiadania decyduje nie sentyment, a obiektywna potrzeba. Taki już był!

*

Potem, gdy życie Księdza stanie się tak bogato rozbudowane, tak bardzo pełne i wielkie, gdy na plan pierwszy wybije się koncepcja życia Mszą św., gdy sam na swoim ciele ukaże tajemnicę Golgoty, wówczas sprawa jego praktycznej i trzeźwej a dobrze zhierarchizowanej dobroci nabierze innych barw i odcieni. Na początku jednak jego działalności duszpasterskiej będzie występowała w prostej, zwykłej formie i nią będzie przykuwała uwagę otoczenia. Zwłaszcza, że będą to czasy wojny i będą to zwykli wsiowi ludzie, prości w swoich ocenach i widzeniu świata, praktyczni, trzeźwi, spracowani. To była Tywonia. Pierwsza samodzielna praca Księdza. Tywonia — wioska w sąsiedztwie rodzinnych majątków, dawny, rozparcelowany już wówczas majątek hrabiów Siemieńskich, gdzie jest kaplica — kościółek. Kiedyś wybudowana przez właścicieli majątku, potem zdewastowana, przed wojną nieco ożyła z chwilą pochowania w niej synka Siemieńskich, rocznego Kostusia. Kaplica ze zwłokami dziecka, do której czasem tylko zaglądali kapłani, stanie się regularnym kościołem ze stałym duszpasterzem.

W roku 1943 ks. Aleksander Fedorowicz został tam wyznaczony kapelanem lub rektorem, ludzie oczywiście nazywali go po prostu „Proboszczem".

Plebanii nie było, ale byli ludzie. To zupełnie wystarczy, żeby był dom i utrzymanie dla proboszcza.

Proboszcz jest cały dla ludzi, a ludzie dla niego — powie już

w Onkologii przed samą śmiercią i poleci wziąć od parafianki niezręcznie wciskany datek pieniężny.

Tak miało być — mieszkanie, pieniądze, czy żywność należały się proboszczowi. A jak on nimi dysponował? Tak jak powinien to robić proboszcz, który jest „cały dla ludzi".

Zresztą niech powiedzą o tym jego parafianie. Pamiętają dobrze swojego pierwszego „proboszcza". I to nawet zastanawia. Pracował wśród nich tylko dwa lata, potem był szereg jego następców i długi okres dwudziestu lat, który mógł zatrzeć w pamięci jego obraz, a przecież, gdy się wejdzie do którejkolwiek chałupy w Tywoni i wymieni nazwisko Księdza, natychmiast poruszenie, wzruszenie i żywe, proste opowieści, jak o kimś bliskim, dobrze znanym, niemal obecnym. O czym? O wielu rzeczach opowiadają poważni gospodarze i zapobiegliwe tywońskie gospodynie. Widzieli wiele. Najbardziej intymne sprawy z życia proboszcza nie uszły ich uwagi. Nawet, gdy w nocy klęczał samotny w swoim kościółku przed Najświętszym Sakramentem, to i wtedy znalazł się zawsze ktoś, kto zabłąkał się o tej porze, zajrzał do kościoła, popatrzał, postał chwilę, potem cicho odszedł. Ale pamięta. Do tej pory pamięta. Prawie każdy z nich pamięta jak się modlił: „Tak bardzo, tak okropnie się modlił". Może tak, jak w parę lat później mówi do zakonnic:

Czy jesteś gotowa swą miłość tak daleko posunąć, jak Bóg tego zażąda. Duszę obnażyć, ogołocić ze wszystkiego i stanąć przed Bogiem w prawdzie, ze szczerością, z otwartością, jak Chrystus się ogołocił ze wszystkiego, kiedy stanął pod krzyżem i pozwolił się przybić do niego.

Ale pamiętają też i inne zwyklejsze sprawy. W tych latach głodu, nędzy, zimna, chorób, szczególnie dobrze pamięta się najprostsze sprawy dotyczące ludzkiej egzystencji — jadła, odzienia, ciepłego pieca.

Ksiądz Proboszcz ustala tu dziwne normy, o których się łatwo nie zapomni.

Gospodarz Miś z Tywoni przypomina sobie, jak w nocy, w zawieruchę śnieżną Ksiądz niósł dla kogoś polana drzewa i węgiel w kieszeniach — cóż to musiały być za potężne kieszenie, z pół wiadra pewno się w nich zmieściło. Ksiądz Aleksander bowiem nie był z tych, co przynosił węgiel w bombonierkach.

Przypomina sobie też swój głupi dowcip, który Księdza zasmucił i jakieś proste jego życzliwe odezwanie, gdy poszedł z córką mu zakolędować, a potem zamyśla się i wypowiada wolno taką chłopską sentencję: „Tak, tak, nie znał świeckich rzeczy, myślał o tamtym świecie, a o tym to tylko tyle, ile mógł biednym pomóc, a samemu wycierpieć".

Obecny kościelny Tomasz Krzeszowski też pamięta, jak w mróz „proboszcz" ciągnął polana drzewa dla uciekinierów, choć sam przecież marzł bez opału. Pamięta, że chociaż była wtedy taka zawieja śnieżna i mróz, to nie miał rękawic. Może sprzedał je dla tego Edka, który potrzebował pieniędzy, o czym wspomina inna znów gospodyni. Pan Tomasz pamięta jeszcze głos Księdza, który się usprawiedliwiał, bo go przecież tak niespodziewanie „nakrył" na tej dobroci — „Ja... żeby się ugrzali, tam są dzieci". — I pamięta bułkę z masłem — dostał ją pewno za Mszę św., takie wówczas były stypendia mszalne, niełatwo zresztą w czasie wojennego głodu zapomnieć o bułce z masłem, którą się z lekkim sercem oddaje pierwszemu lepszemu wagabundzie. Kogoś wtedy taka nieżyciowa łatwowierność Księdza oburzyła. Więc pamięta się również spokojne słowa wyjaśnienia: — Panie Józefie, Panie Józefie, nikt niczyjej biedy nie zna. — Pamięta się również porządne spodnie, które z siebie ściągnął, a swoje stare mocno już podarte sam założył. „Nikt potrzebujący nie omijał jego mieszkania" — konkluduje pan Tomasz — kościelny.

„Od jednego brał, a drugim dawał" — mówi drugi pan Tomasz — Fleszer, gospodarz, u którego Ksiądz mieszkał.

„Dostał od parafian 25 kg mąki, którą zanieśli Księdzu na strych. Poszedł do wsi, spotkał kogoś, wraca — „Fleszerko, dajcie ze strychu tej mąki i już po mące!" A do Filipki: — „Filipko, dolejcie wody do zupy, żeby było więcej, bo on taki głodny".

A on sam: „Ani butów nie miał, takie tam coś na nogach, ani spodni... ale o siebie nie dbał tylko o innych" — mówi jego gospodarz. A znowu inny ktoś: „Chodził obdarty, nie miał ubrania na sobie tylko takie byle co, bo wszystko rozdawał". Albo: „Sam nie zjadł, a drugiemu dał, wygnańcom swoje jedzenie nosił i co tylko miał. W kościele marzł, bo tam było zimno, myśmy się okrywali, ale on nie miał ubrania". Gdy pojawił się Jan, jakiś Jan! „zdjął swój płaszcz — mnie niepotrzebny — i dał biedakowi, ale Jan nie chciał go wziąć, żeby robactwo nie przeszło z niego na Księdza".

Tak opowiadają pierwsi parafianie. Konkretne fakty, drobne zdarzenia przeplatane od czasu do czasu filozoficzną uwagą trafiającą w sedno: „Tam, gdzie było nieszczęście, tam on zawsze był".

*

Później wybuduje kościół w Izabelinie. Piękny, wielki kościół, też właściwie z niczego.

*

Zawsze wobec ludzi będzie stał z rękami otwartymi i pełnymi. Jaka była tego tajemnica? Jego rozrzutna, szczodra ofiarność

z siebie, swojego zdrowia, czasu, trudu, ze swojego jedzenia, snu, ubrania na pewno nie była trwonieniem. Na pewno: była normowana. Rozsądkiem, roztropnością, praktycznością? Trudno tu znaleźć określenie, żeby umiar nie kojarzył się z kalkulacją. Zwłaszcza, że to było coś więcej niż rozsądek, roztropność i praktyczność.

I nie to było ważne ile bułek z masłem, par spodni i kubełków z węglem rozdał ludziom, ale ważne jest czego ich tym chciał nauczyć. Uczył ich tego, co to jest ofiara. Chciał im, tak jak i sobie dać wielki dar — umiejętność dawania, jako wyraz miłości. Tego od nich żądał. Ten jego plan zarysował się już w Tywoni. Potem stawał się coraz jaśniejszy, coraz wyraźniej i konsekwentniej zmierzał do tego, żeby nauczyć ludzi bezinteresownej ofiary składanej Bogu samemu.

Niełatwą to sprawa, delikatną niteczką wplątana w życie ludzkie i nieławo ją spośród tej gmatwaniny wyróżnić. Stąd ta zaskakująca wielu postawa Księdza, która niejednych dezorientowała. Bo nie wiadomo było, co uważa za słuszne — czy tylko dawać czy też i brać. Czy zabiegać o dary, czy też je odrzucać. Kosztowny brewiarz, pamiątka, zostaje lekką ręką sprzedany. Prezentów nie lubi przyjmować. Dary z zastrzeżeniem, że tylko dla Księdza, są niemile widziane. Albo dajesz całkowicie i nie zgłaszasz pretensji, albo nie dawaj, ale jeśli już dałeś, to czemu krzywo widzisz, co ja z moimi pieniędzmi robię i że je daję innemu.

— Ja nawet i balonik mogę sobie kupić — tłumaczył w Izabelinie zasłuchanym, a ubawionym tym przykładem parafianom.

Jeśli dajesz, niech tego twojego czynu nie psuje pycha, ambicja, próżność. Niech ci będzie wszystko jedno, kto cię przy tym widział i jak cię ocenia: *Zauważyłem* — mówi do swoich parafian — *że jak chodzę sam z tacą, to datki są większe. Pamiętajcie, moi kochani, że moja rola jest stać przy ołtarzu. Bardzo was proszę, byście nie przywiązywali wagi do tego, kto chodzi z tacą. Ofiary wasze składacie samemu Bogu.*

A w czasie budowy kościoła w Izabelinie: *Ktoś mi doradzał* — mówił — *żebym zbierając pieniądze na kościół starał się bardziej grać na ludzkiej ambicji i miłości własnej. Ludzie dadzą, tylko się chcą pochwalić, że dają, żeby innym zaimponować. Wiem, drodzy moi, że ten, kto mi radził w ten sposób, dobrze zna ułomność ludzkiego serca. Mnie się jednak zdaje, że Jezus nie czułby się dobrze w ścianach, które postawiła ludzka pycha. Kościół Chrystusowy ma być zbudowany z ofiary i miłości. W ten sposób cała świątynia stanie się jedną nieustającą modlitwą. To będzie dom rodzinny.* A w tym samym komunikacie trzykrotna natarczywa prośba: *Proszę gorąco... i jeszcze raz proszę... i po raz trzeci proszę gorąco; przyjdźcie z pomocą.*

Bo sprawą mojego sumienia jest jak najwięcej dawać, ale i sprawą twojego też. Muszę ci o tym przypominać. I dlatego z całą prostotą przyjmuje, ba nawet upomina się o datki. *Moi kochani* — mówi do swoich parafian już w Izabelinie — *mam pieniądze na kartofle na zimę, ale nie mam na smołę, którą trzeba dach kościoła posmarować i papą tu i ówdzie dach załatać. No więc, albo wy mi dacie kartofle na zimę i wtedy się dach załata, albo kupię kartofle, bo jeść coś trzeba.* Oczywiście dali kartofle. Odtąd też zaczął się zwyczaj izabeliński, że w czasie kopania kartofli z każdego pólka jeden koszyk idzie „dla proboszcza".

Nie było obawy, żeby się nimi przejadł, ani żeby ich nadmiar mu zgnił. Kto znał izabelińską plebanię i duży, ciemny, drewniany stół bez obrusa, ale w obramowaniu gęsto przy sobie stojących nakryć, kto widział ciągle inną, ale zawsze liczebnie bogatą gromadkę osób przy nim zasiadających, ten mógł się nie martwić o nadmiar produktów w izabelińskiej spiżarni. Nawet jej wcale nie było. Siostra prowadząca gospodarstwo pisze: „Kuchnia bez żadnej spiżarni i piwnicy. W kuchni była jedna półka, na której mieściły się »zapasy«. Jeśli się chciało, żeby Ksiądz coś pożywniejszego zjadł, to trzeba było podstępnie działać" — wyznaje poczciwie. A „pieniędzy było brak, bo budowa kościoła się posuwała, zapasów żywności nie było, a mimo to chyba nikt nigdy od nas głodny nie wyszedł... Kupowaliśmy parę litrów mleka, głównie dla Księdza Proboszcza, bo mu to było potrzebne na zdrowie, a on tak hojnie nim częstował, gdy kto zmęczony przyszedł, jakby miał z pięć krów. ...Wszystkich głodnych prosił do jednego stołu, wszystko jedno czy to był biskup czy kominiarz, czy żebrak czy parafianin i nie wolno było nikogo wyróżnić w rodzaju posiłku, chyba, że był chory..."

Dobra siostra zapisuje cztery bite stronice o izabelińskim gospodarowaniu, na których podziw dla dobroci Proboszcza miesza się z troskami kobiety-gospodyni, którą postawiono wobec nie lada zadania. Przy tych prostych, sympatycznych relacjach gospodarującej siostry uderza wstęp, w którym się przedstawia, że przez trzy lata prowadziła gospodarstwo na „tak zwanej plebanii". Czy przypadek, czy plebania była naprawdę „tak zwana"?

Ona chyba naprawdę była „tak zwana", a w każdym razie nie był to prywatny dom Księdza czy księży parafialnych. Dom ten łącznie z zawartością kuchennej półki i wszystkimi przedmiotami nie należał do nikogo, lub raczej do wszystkich, którzy przekroczyli jego próg. Gość — a każdy kto się znalazł pod dachem plebanii stawał się najmilej witanym gościem — miał do tego domu całkowite prawo. Nawet gdy był to gość zbiorowy a szczególny, jak na przykład grupa niewidomych i niedorozwiniętych chłopców z Lasek. Najserdeczniej, najradośniej przyjmowane chłopaki, które natych-

miast rozpełzały się po domu biorąc w swoje ciekawe, a bynajmniej nie najroztropniejsze ręce wszystko, co po drodze napotkały. Ale to na pewno ani przez chwilę nie zaniepokoiło Gospodarza. Żadna bowiem z rzeczy w jego domu nie miała większej ceny niż trochę radości kalekich, upośledzonych dzieci.

Ksiądz Proboszcz zresztą nie mieszkał na tak zwanej plebanii, a w osobnym 6 metrów kwadratowych liczącym pokoiczku, który dało się wykroić przy budowie dzwonnicy kościelnej.

Owo mieszkanko Księdza, maleńkie i ulokowane w tak niespodziewanym miejscu, intrygowało odwiedzających. Było uważane za symbol jego ubóstwa. Nazywano je „gołębnik", opowiadano o wąskim, spartańskim łóżku i drabinie, po której się do niego wchodziło. W rzeczywistości pokoik istotnie był maleńki, ale wszystko w nim było, nawet mikroskopijna łazienka i wcale nie łóżko, a tapczan, trochę nawet za szeroki. Prowadziły zaś do niego wysokie wprawdzie i niezbyt wygodne, ale zwyczajne schody. Ksiądz cieszył się swoim mieszkaniem, ale widząc jak ludzie kiwają nad nim głowami powiedział kiedyś uśmiechając się figlarnie: — Mnie to tu jest bardzo wygodnie, ale... sława rośnie!

Znano powszechnie dobroć Księdza, jego nonszalancję w stosunku do swojego mienia, jego bezinteresowność, dobroczynność, pamiętano o skromnej „tak zwanej" plebanii i „gołębniku", zauważano niedbały strój i „obęrwaną" sutannę. I dlatego niemałe zdziwienie ogarniało wszystkich jego kolegów po fachu, zwłaszcza tych, którzy wypowiadali angeliczne teorie o bezinteresowności pracy kapłana, gdy Ksiądz Aleksander wygłaszał swoje w tej dziedzinie poglądy.

Jest jakieś zebranie proboszczów, pełen zapału kapłan nawiązując do ubóstwa proboszcza z Ars mówi, że u siebie w parafii nie pobiera opłat za chrzty, śluby, pogrzeby tylko interesantom podsuwa się puszkę z napisem „Co łaska" — „Bóg zapłać". A Ksiądz wyraźnie się temu przeciwstawił. Nie trzeba tak robić. Parafianie nie robią nikomu łaski. To oni otrzymują łaskę od Boga w sakramentach. Utrzymanie parafii jest ich podstawowym obowiązkiem, a nie łaską. Datki oczywiście muszą być dobrowolne. Wysokość ich każdy musi sobie sam wyznaczyć, ale w miarę swoich możliwości, a nie łaskawości.

Takie twarde stawianie sprawy z wyakcentowaniem obowiązku ofiary zadziwiło obecnych i dawało do myślenia.

A jak było z realizacją? Tak właśnie. Nie co łaska i nie taksa, a zwięzła informacja — obowiązuje opłata, jako zwrot kosztów, według wysokości, którą sobie każdy sam wyznacza znając swoje możliwości. A skutek? Siostra Vianeja prowadząca jakiś czas kancelarię opowiada, jak to kiedyś wszedł dość zadziornie wyglądający człowiek trzymając w ręku 50 złotych i tonem, który zdradzał

gotowość do targowania, zapytał ile płaci za chrzest. Gdy go poinformowano o zwyczajach parafii, rozchmurzył się i już zupełnie inaczej zaczął — „W takim razie..." Po czym schował 50 zł, wyjął 200 i podał szarmancko siostrze.

Ale „możność" jest miarą dość nieokreśloną, staje się sprawiedliwą, gdy sprawiedliwe jest sumienie. I to jest domena pracy Proboszcza. Więc taka sama scena znów z kancelarii. Przychodzą zamówić ślub i wyciągają jakieś 50 czy 100 zł. Ksiądz wtedy pyta: Ale ile wydajecie na wódkę w czasie wesela? — To trochę przybyłych miesza. Nikomu nie jest tajne, ile to pieniędzy poleci na wódkę, przynajmniej 5 czy 6 tysięcy.

— Pięć tysięcy i sto złotych na wasz kościół — mówi Ksiądz po swojemu wolno i rzeczowo.

To zestawienie wódki z sakramentem jest nieco drastyczne i nie może nie wywołać niepokoju. O ten właśnie niepokój chodzi. Chociaż pieniądze się też liczą. Są realną wartością, którą Ksiądz zna i akceptuje.

Też właśnie na jednym z kapłańskich zebrań: Gdy chodzę po kolędzie, to już nigdy wtedy nie przyjmuję żadnych ofiar pieniężnych — mówi jakiś bezinteresowny. A Ksiądz Aleksander tylko się roześmiał — A ja przyjmuję ile tylko mi dają!

Przyjmował! Na pewno przyjmował.

Siostry gospodarujące w Izabelinie pamiętają, jak w małej plebanijnej kuchence przez długie wieczorne godziny oczekiwały z niepokojem Proboszcza, który od rana nieraz chodził po kolędzie. Za oknem plucha, czy śnieg, czy wiatr, ale zawsze ciemno i pusto i gdzieś porozsiewane po Kampinoskiej puszczy osiedla ludzkie. Kilometr, dwa, pięć! Wreszcie około 9-ej, 10-ej czy około północy znane kroki, znana duża, ciemna postać. Wreszcie! Przychodzi roześmiany, wesoły i zaraz zaczyna opróżniać kieszenie. W jednej, drugiej, jeszcze może tu, może tam. Śmieje się, dowcipkuje. Cieszy się jak dziecko, że ludzie tacy dobrzy, tacy ofiarni. Wszystko zaraz oddaje w jedne ręce. Kasa w Izabelinie jest wspólna. Będzie potem po parę złotych prosić na autobus.

Jeść nie chce. — Co wy myślicie. Jak jestem głodny, to sam przecież proszę. — Prosi, zwyczajnie: — Głodny jestem, niech mi pani da kawałek tej bułki — i odłamywał kawałek i jadł na sucho, po prostu, z apetytem i gwarzył i patrzył i radował się ze swoimi parafianami. I martwił się i doradzał i pomagał.

— Ja nie rozumiem — dziwił się kiedyś potem, gdy już sam nie mógł chodzić po domach i musiał wysyłać innych — że się tak z tym ociągacie. — Dla mnie życie tych ludzi to najpiękniejsza, najciekawsza powieść. — Interesuje go ich życie, cieszy się, że są tacy prości i szczerzy wobec niego. Jak mogą to dają ofiary, jak nie

mogą to nie dają. Nie czują się zażenowani wobec tego dużego, prostego, życzliwego im człowieka. Dobrze czują, że nie przyszedł do nich po pieniądze, ale żeby przynieść im swoją życzliwość, przyjaźń, pomoc, i że tego samego od nich oczekuje.

Chce ich razem zespolić. Ze sobą, z Bogiem, między sobą wzajemnie. Wszystkich razem. Boga, siebie, ich.

Może tę właśnie intencję trzeba odczytać z wiejskiej opowieści sierakowskiej gospodyni: „Przyniosłam na Mszę św. A Ksiądz Proboszcz powiada, żebym wzięła te pieniądze i zaniosła do G., bo on chory, powiada, i musi pić dużo herbaty, a nie ma na cukier, powiada. To ja powiadam, »Proszę Księdza Proboszcza ja ofiarę dałam, a Ksiądz jak uważa«. To on co ducha cukru kupił i zawiózł zaraz na motorze do tego G."

I tak zawsze było — brał, dawał, zachęcał do dawania, przyjmował, oddawał. Lekko, beztrosko, bez buchalterii, ale przytomnie i roztropnie. I świadomie.

Postawa, którą przyjął i która tak na nim dobrze „leżała", była z dawna zaplanowana i konsekwentnie realizowana. Uważał, że taka właśnie obowiązuje kapłana. Przed święceniami, w czasie rekolekcji zapisał sobie takie słowa: *11. XI. 1942. Ubóstwo i umartwienie. Będę kapłanem, sługą, przyjacielem Pana Jezusa Ukrzyżowanego, ustanowionym dla ludzi, którzy są w większości ubodzy i żyją w bardzo ciężkich warunkach.*

A oto notatki z konferencji dla kapłanów z roku 1959. Urywane myśli, zaczęte zdania, punkty do omówienia, dla nas to już, w tej chwili test luk. Spróbujmy go wypełnić:

Ludzie już nie szukają księdza, ale jeszcze na niego czekają. Faktyczne ubóstwo jednym z warunków służby Bożej.

Kościół to nie przedsiębiorstwo.

Dawniej może i można było, dziś ksiądz chciwy na pieniądze... Proboszcz, opłaty, takt.

Sąd ostateczny: byłem głodny... odprawiałem, śpiewałem, organizowałem, budowałem... Tak, ale ja byłem głodny. A potem dyspozycja do przyjęć na Izabelińskiej „tak zwanej" plebanii. *Łuk. XIV. 12. Gdy urządzasz śniadanie lub obiad to nie zapraszaj swych przyjaciół ani braci, ani krewnych, ani bogatych sąsiadów, bo oni także cię zaproszą i odpłacą ci. Przeciwnie, gdy urządzasz przyjęcie sproś biedaków, kalèki, chromych, ślepych, a będziesz szczęśliwy. Brać Ewangelię dosłownie.*

I na zakończenie. Praktycznie: *Narzędzia pracy, aparat, motocykl, książki, zależnie od warunków.*

Wewnętrzna wolność

Niewola kapłana.

A w innej konferencji dla kapłanów:

Nie tak, ale idź mały i słaby.
Komu służysz — Ukrzyżowany a ty bogaty
Ubiczowany a ty w wygodach
Poniżony a ty wywyższony.
Ludzie potrzebują miłości, przebaczenia, a my chodzimy ponad ich głowami „wielcy".
Proboszcz, jabłka, wikary — kobieta, sześcioro dzieci. Żądamy bohaterstwa od innych, kładziemy brzemiona na innych. Jeśli Kościół chory to dlatego, że Jego za mało, za dużo nas.

Konferencje dla kapłanów oparte na tych urywanych zdaniach-notatkach zawierały niewątpliwie wiele treści, której już teraz można się tylko domyślać. Ale można ją też było zobaczyć w jego życiu.

W różnych formach — zwykłych i niezwykłych, wzruszających, wzniosłych jak i codziennych, prozaicznych i banalnych, pełnych swoistego wdzięku prostoty, cichego humoru czy dramatycznego napięcia.

A jak naprawdę było z tym ubóstwem? Jedna z relacji tywońskiego gospodarza kończy się dość zagadkowo: „Ksiądz nic o siebie się nie martwił, ale z groszem od nas odjechał".

A więc dorobił się?

Ksiądz odjechał z Tywoni 18 kwietnia 1945 roku, a w parę dni później przybył do Lasek, ale już z całą pewnością tywońskich groszy nie posiadał. Czy relacja jest nieprawdziwa, czy zdążył je już rozgospodarować? Siostra Vianeja, która go wtedy w Laskach witała, pamięta jak wyszedł z dorożki dość ekscentrycznie jak na księdza ubrany, bo w ciemno buraczkowej burce i ze zwykłą sobie rozbrajającą prostotą poprosił, żeby zapłaciła za dorożkę, bo sam pieniędzy nie miał. Pamięta również, że poza buraczkową, otrzymaną po bracie burką, miał jedną tylko koszulę, którą przez długi czas, dopóki nie zauważono tego braku, sam wieczorami sobie przepierał. O, bo ubranie Księdza Alego warte było uwagi.

Od chwili, gdy mógł w tym zakresie decydować, zastanawiało otoczenie. W ostatnich klasach gimnazjum koledzy i nauczyciele pamiętają go nieodmiennie w drelichowej bluzie z PW przepasanej paskiem skórzanym. Na ślubie brata Jurka wśród wyelegantowanej młodzieży wystąpił w swoim codziennym ubraniu. Niania Jurka tak pisze: „...pamiętam Alego przesuwającego się wśród gości z rękami założonymi lub z tyłu stojącego za wszystkimi. Nie tańczył. Nie miał ładnego ubrania, nigdy nie był elegancko ubrany, chodził najczęściej w jakiejś ciemnej marynarce i spodniach w paski".

Sądząc po fotografiach chodził raczej ubrany sportowo w noszonych wówczas przez młodzież spodniach — pumpach — i wiatrówkach, kurtkach, skafandrach. Potem jednak odpadnie problem

ubrania. Przyjdzie teraz jedyny strój — sutanna. Już do końca jednakowa, zwykła sutanna, bo żadnych godności kościelnych nie posiadał i ubierać się inaczej nie potrzebował.

Sutanna! Cenił ją sobie bardzo. Właściwie to nigdy jej nie zdejmował i nie ubierał się po świecku. Nie uważał tego przecież za zasadę większą od zasady praktycznej konieczności. Zdjął ją, gdy okresowo musiał opuścić seminarium z powodu choroby, a potem w czasie wojny. Zmienił ją na piżamę i szlafrok, gdy był w szpitalu. I to chyba wszystko.

Niedługo przed śmiercią wspomniał coś o potrzebie sprawienia sobie świeckiego ubrania. Czasy się zmieniły i takie ubranie w obecnej sytuacji stawało się kapłanowi niezbędne.

Ale bez takich konieczności zawsze chodził, pracował, odpoczywał w sutannie, zawsze gotów wystąpić jako ksiądz. *Ksiądz to dość wielki tytuł* odpowiedział komuś, kto go zapytywał, jak go ma tytułować. Zawsze był przede wszystkim księdzem i jego ubranie wyraźnie na to wskazywało.

Miały przecież te sutanny bardzo rozmaitą i bujną historię. Na prymicje pożyczył mu sutanny ksiądz prałat Szpetnar, bo „Ksiądz Fedorowicz był biedny i takowej nie posiadał" — pisze siotra Niepokalanka z Głębokiej, gdzie odprawiał jedną ze Mszy prymicyjnych.

Gdy po święceniach pojechał na jakiś czas do Krakowa pielęgnować chorego ojca, przebywającego w szpitalu, i zamieszkał u SS. Wizytek, dobre siostrzyczki były dość spłoszone widokiem przyodziewku wielebnego kapłana. Zaraz zabrały się do różnych reperacji i odnawiań sutanny i butów, tych butów nazywanych w Tywoni „takie byle co". Ksiądz się nie bronił. Podsunęli mu inną sutannę — włożył. Podali mu inne buty na tymczasem — chodził posłusznie w innych butach, choć sobie całe nogi pokaleczył, bo były za małe.

W 1949 roku już z Lasek pisząc do brata takie podaje rozliczenie ze swoich „osobistych" wydatków:

Ja ostatnio trochę pieniędzy przepuściłem. 2500 dałem do puszki św. Antoniemu, bo takie miałem z nim dawne, niewyrównane rachunki za jakieś pogubione i znalezione później rzeczy. Około 3000 Mamie. Coś tysiąc Andrzejowi. 2000 Kostkowi, bo kupował rower, żeby mieć na czym do szkoły jeździć. I jeszcze pewnie coś więcej, ale nie pamiętam. Za tysiąc kupiłem dwa wspaniałe z amerykańskiego demobilu chlebaki. Jeden Mama wzięła do Leśniczówki, a drugi posłałem Tatowi. Pelerynę już mam wspaniałą i wygodną. Siostra Joanna mówi, że powinienem kupić sutannę i pewnie ci o tym będzie pisać, ale ja uważam, że to całkiem niepotrzebne w tej chwili. Mam dwie trochę zniszczone, a jedną trochę niewygodną,

ale całkiem porządną i może mi służyć na paradne występy. Nie uważam, żeby to był moment odpowiedni, żeby wydawać pieniądze na takie rzeczy jak sutanna.

Nigdy nie był moment odpowiedni na „takie rzeczy jak sutanna". I tak chyba było do końca. We wszystkich wspomnieniach o Księdzu mówi się o jego ubogich ubraniach i o obdartej sutannie. Kiedyś przecież w czasie dwudziestu trzech lat kapłaństwa musiał sobie sprawić nową? Tego widać się nie zauważało. Pamięta się natomiast, że dwukrotnie zakupywane przez kogoś kupony materiału na sutannę ulatniały się wsposób tajemniczy, znany tylko Proboszczowi. A on nadal chodził w swojej „obdartej". Czy była istotnie taka obdarta? Ksiądz na pewno zabiegał o to, żeby taka nie była. Miał w swoim pokoju całe swoje „męskie" szycie — pudełko z nićmi i dużymi, męskimi igłami. Że przy ich pomocy nie uzyskiwał zbyt oszałamiających wyników, to nie tylko wina jego małych uzdolnień krawieckich — nie były zresztą takie małe, był bardzo zręczny we wszystkich pracach ręcznych i technicznych — ale też i zbyt wielkiego sfatygowania księżowskiego stroju.

Pochowany został w swojej najlepszej sutannie. W jego pokoiku pozostała jego stara sutanna, ciężka, sztywna, zrobiona z jakiegoś materiału jak na ścierki, kolorem trochę przypominająca czerń, ale bardziej już granatowa. Wisi też i peleryna. Ta peleryna, którą ludzie pamiętają i która się przewija w ich wspomnieniach: „Szedł chory już bardzo i utykał i ledwo mógł uradzić na sobie swoją pelerynę" — wspominają jakąś wędrówkę Proboszcza niedługo przed śmiercią, do któregoś z parafian, który mógł go potrzebować, jego chorego, ledwo już się wlokącego, ale ciągle Księdza, ale ciągle i do końca Proboszcza.

Ostatni raz założył sutannę w szpitalu, gdy odprawiał ostatnią swoją Mszę świętą na dwa miesiące przed śmiercią.

Wychodząc ze szpitala, żeby wrócić już do swojej parafii na śmierć, marzył o tym, że jeszcze raz ją włoży, że wejdzie jeszcze do swojego kościoła jako ksiądz, że może nawet wprowadzi tam swojego następcę. Był upał, zbierało się na burzę. Wyjazd ze szpitala planowany na południe, opóźnił się do wieczora. Ksiądz był cichy, cierpliwy. Początkowo dopytywał się o sutannę, ale gdy już dojeżdżano do Izabelina, poczuł się tak śmiertelnie znużony, że już nie mogło być mowy, żeby zdobył się na ten ostatni gest.

Musiał już do końca pozostać zwykłym, chorym, cierpiącym człowiekiem. Szpitalna piżama, przepocona, pokrwawiona uporczywymi krwawymi wymiotami musiała mu służyć do końca. Trzeba ją było w końcu jakoś z niego zwlec. Nie mógł przecież pozostać w tym pocie i krwi. Ale już się nie dało. Pokrajano ją, poszarpano na kawałki, założono jakieś płaty płótna.

Zmarł nagi. Strzępy piżamy, to wszystko co zostawił.

Pan Jezus — mówił kiedyś do zakonnic, a może do siebie — *Pan Jezus umie pomalutku w sposób czasem bardzo bolesny, a czasem mniej bolesny tak ogołacać, że w końcu znajdziesz się nagi, jak Chrystus rozpięty na krzyżu.*

Wiedział o tym. I całym swoim życiem mówił — *Amen.*

2

STOSUNKI Z LUDŹMI

Miłosierdzie. Boże miłosierdzie. To było czego najbardziej pragnął, najgoręcej wyczekiwał. On, jeden z synów Niebieskiego Ojca słowem tym żył w dniach konania. *Módlcie się o miłosierdzie Boże nade mną* — mówił z naleganiem i upomnieniem — *nie o zdrowie, nie o zmniejszenie cierpień, ale o miłosierdzie. Czy ty wiesz, czy ty rozumiesz, jak wielkie jest miłosierdzie Boże nad nami,* szeptał w najgorszych męczarniach.

Dla określenia przecież stosunków z ludźmi słowa tego używał niechętnie. Tak często było ono nadużywane, tak często oznaczano nim nie zwykłą braterską powinność, ale wręcz próby, żeby Boga i siebie oszukać dając miłosierne ochłapy zamiast pełni miłości. Między ludźmi istnieją inne powiązania.

Coraz bardziej zbliżał się do ich zrozumienia.

W ostatniej chorobie pisał:

Świat chorych to jest bardzo specjalny świat... Świat gorączki, bicia serca, potów, bólów, bezsiły i całkowitej zależności. Świat samotności trwającej miesiącami, albo też gromadnego życia na salach szpitalnych. Na stoliku przy łóżku przecięta cytryna, jakieś wafelki, pół szklanki zimnej herbaty, a w łóżku pod kołdrą czy kocem ciało któregoś z nas. Boleśnie przecięte i zszyte po ciężkiej operacji, rozgorączkowane, opuchnięte albo w plamach i wrzodach jakiejś skórnej choroby. Właściwie to wszystko jedno, czy ono jest moje, twoje, jego czy jej. Zastrzyk tak samo boli, bezsenność i wymioty tak samo męczą, guma sondy jest równie dławiąca, opatrunek równie bolesny... Na sali szpitalnej wszyscy wspólnie przeżywają każdy zabieg, każdą operację... Człowiek chory rozumie chorego, tak jak biedny rozumie biednego. Zdrowie i bogactwo ludzi nie jednoczą, ale choroba i bieda jednoczy i sprawia, że naprawdę można mówić o Komunii chorych. Pan Jezus... włączył się w tę komunię, dał się umęczyć, ukrzyżować. Cierpiał i współczuł...

Sam przeszedł przez wszystkie kręgi wtajemniczenia w cierpienie, w bezsiłę, zależność. Ale wtedy właśnie dorósł do napisania

tych słów. Mógł wtedy już powiedzieć, że to wszystko jedno czy cierpiące ciało było „moje czy twoje, czy też Jego rozpięte na Krzyżu".

*

Msza św. w Izabelinie. — Przy ołtarzu on, kapłan zwrócony twarzą do ludzi, skupiony, uważny, rozmodlony, nadający każdemu słowu, każdemu gestowi jego głęboki, właściwy sens. Mimo to, a może właśnie dlatego, widzi nie tłum wiernych, a każdego pojedynczego. Na Mszy św. odprawianej przez Księdza każdy czuł się w zasięgu jego spojrzenia i miłości.

I tak było istotnie. On sam pisze:

Ministranci wieńcem otaczają ołtarz. Trochę się kręcą, zwłaszcza ci najmniejsi, których mam przed sobą po drugiej stronie ołtarza... Za ministrantami widzę starsze kobiety owinięte w swoje szale, dalej młode mężatki i eleganckie dziewczęta, które jeszcze niedawno uczyłem w szkole. Po prawej ręce przysiadła gromada dzieci, jak stado wróbli spokojnych, ale każdej chwili gotowych do odlotu. Za nimi mężczyźni. Jakiś dwuletni brzdąc wyrwał się matce i z palcem w buzi wędruje ku ołtarzowi, bo zobaczył swego starszego brata wśród ministrantów. Znam ich i oni mnie znają. Wiemy wzajemnie o swoich słabościach i wadach, ale się kochamy i chcemy razem Boga chwalić. Nigdy się nie czuję tak bardzo z Parafią związany, jak wtedy gdy stoję przed nimi a dzieli nas i łączy tylko ołtarz, czekający na ofiarę Chrystusa. W czasie Mszy św. widzi każdego i jak sam mówił: *Wiele razy serdecznie pozdrawia obecnych wyciągając ku nim ramiona.*

Bo ksiądz Aleksander pozdrawiał i wyciągał ramiona mówiąc sakramentalne, wyprane już nieraz ze swego znaczenia: „Pan z Wami".

Ksiądz Aleksander patrzy, widzi. Ksiądz Aleksander słucha. Mało kto tak potrafił słuchać jak on. Pochylony, uśmiechnięty, uważny. Każdemu kto jest w obecności Księdza wydaje się, że jest mądry, interesujący, elokwentny, ba, nawet czasem ma uczucie, że nad nim góruje. Teraz przypominając sobie rozmowy z Księdzem, jakżeż żałuje swojej pustej paplaniny, swojego podniecenia i zatokowania się w sobie, które mu nie pozwoliło zapamiętać tych paru spokojnych, rozważnych słów, które powiedział Ksiądz.

Gdy ktoś podchodził do konfesjonału, Ksiądz zamierał w bezruchu. Można było mówić długo, jak długo się chciało, a nie drgnął, nie ruszył się, nie przerwał, dopóki nie powiedziało się, że koniec. Wydawało się, jakby go nie było. Pusty konfesjonał, a w nim Chrystus. I tylko słowa, takie, jakie były właśnie potrzebne: *Chodzi*

tylko o miłość. Dobrze przeżyć to, co Bóg daje na codzień. Bądź zwyczajnie dobry. Bądź dobry dla każdego. Zwróć uwagę na milczenie. Najlepsze przygotowanie do komunii św. to Ojcze nasz. Mów uważnie Ojcze nasz.

Milczenie wewnętrzne. Cisza i spokój duszy.

Czy jesteś gotowa swą miłość tak dalece posunąć, jak tego Bóg zażąda? A potem ręka dająca rozgrzeszenie i błogosławieństwo. A przecież te spowiedzi nie zawsze były dla niego łatwe. Ot taki zdawałoby się drobiazg. Od czasu szkarlatyny, którą przebył już jako młody chłopiec, źle słyszał na jedno ucho. To z czasem się potęgowało. Ludzie o tym wiedzieli i podchodzili do konfesjonału od strony zdrowego ucha. Jednak nigdy nie zwrócił uwagi, gdy ktoś zrobił inaczej. Od razu zmieniał pozycję, odwracał się, przechylał i tak pozostawał bez ruchu, oczekujący, uważny. Pozycja ta później w ostatnich stadiach choroby przysparzała mu szczególnych cierpień, miał przecież jedną część ciała obolałą, opuchniętą. Nigdy przecież, żeby ulżyć swoim cierpieniom nie popełnił czegoś, co mogłoby kogoś urazić, czy być cieniem jakiejś niedelikatności.

Wydawało się nawet, że może się w ogóle to jego cierpienie nie liczy.

Nie łatwa była operacja torakoplastyki w roku jeszcze 1947, kiedy technika lekarska stała o tyle niżej niż obecnie. Operacja była niełatwa, a choć powiodła się nadspodziewanie dobrze, to przecież Ksiądz pokrajany, obolały, nie prędko mógł wrócić do jakiego takiego samopoczucia. Ale już w trzecim dniu po operacji zsuwa się z łóżka na wózek szpitalny i przetacza go do umierającej chorej, z której drenami ścieka ropa. W jego sytuacji z otwartą jeszcze raną mogło to równać się śmierci. Spowiada ją, dysponuje na śmierć. Odwaga, poświęcenie, bohaterstwo, zdumiewająca fizyczna odporność? Tak. Wszystko to razem, ale przede wszystkim skąd wiedział, że jest tam potrzebny?

*

To wiedział zawsze. Było coś, co nim kierowało, jak instynkt podróżującego ptaka, czy matki, idącej na ratunek dziecka. A przy tym ludzie mieli zwykłą, prostą, ufną śmiałość do niego. Czuło się, że największą radością jest dla niego dawać ludziom Boga, jednać ich z Nim.

Personel szpitalny, zdyscyplinowany i wyćwiczony w oszczędzaniu chorych, Księdza jednego nie oszczędzał. Noc, czy dzień, sen, odpoczynek po ciężkim zabiegu, gorączka, osłabienie, wszystko jedno. Jeśli potrzeba, ktoś szepnie, że tu i tu, a wtedy...

Zawsze tak było. Kiedyś we Lwowie, jeszcze w czasie wojny, chodził do lagru, skąd wywożono Polaków do Niemiec. Jakoś się tam wkręcał. Znano go. Wchodził, pytał codziennie, niezmordowanie, czy kto nie zechciałby się wyspowiadać przed wyjazdem. Jedni chcieli, inni uśmiechali się ironicznie, z pogardą. Odpowiadał im uśmiechem serdecznym, spokojnym i nazajutrz przychodził znowu. Laskowska siostra opowiada, że gdy po wojnie przyjechał kapelanować do Lasek i gdy go powiadomiono, że „trzeba do chorego", wówczas natychmiast biegł. Zwyczajnie i po prostu biegł. Pędził. Uśmiechano się na tę gorliwość młodego kapłana. Potem w szpitalach różnie bywało. Z czasem ten „bieg" coraz częściej wyglądał jak mozolne przesuwanie się — o kiju, lub czepiając się ścian, z wysiłkiem opanowując bolesne skurcze twarzy. Ale do końca na pewno nikt potrzebujący kapłańskiej posługi długo na niego nie czekał. Sam pisze: *Tak się złożyło, że przed paru miesiącami byłem obecny przy śmierci kilku osób w tutejszym szpitalu, w czasie, gdy sam miałem znaczne dolegliwości i czułem się źle. Umierały pobożnie ale agonia była długa i ciężka. Lepiej wtedy zrozumiałem krzyż Chrystusowy i to, że śmierć jest największą i ostateczną ofiarą, którą człowiek składa. Ofiarą ciała, krwi, życia, prawdziwą Mszą św. Jedność chrześcijańska z Chrystusem ukrzyżowanym, staje się w tym momencie oczywista i niemal namacalna.*

*

Wydawało się, że im bardziej cierpiał, bardziej był chory, zmęczony, gdy siły go opuszczały, i obiektywnie trudniej mu było iść ludziom z pomocą, tym subiektywnie stawało się mu to coraz łatwiejsze, jakoś wychodziło samo, jakby go to coraz mniej kosztowało.

Jakieś dobijanie się po nocy, zajeżdża chłopska furka z chorą kobietą po krwotoku, do księdza, do sakramentów. Na plebanii dwóch młodych wikarych i siostry. W „gołębniku" zgorączkowany, ciężko chory Proboszcz. Są to już ostatnie miesiące życia. Wszyscy uśpieni. Młodzi księża, siostry opędzają się przed natarczywym pukaniem jak od sennej zmory. Nie mogą sobie uprzytomnić, że to rzeczywistość. Dopiero głos Księdza wyrywa ich ze snu. Jest już w sutannie, już przy chorej. Sakramenty — tak, szybko, ale prędko wieźć do szpitala, ratować człowieka.

Zaspani księża, zmęczone zakonnice wyrwane z pierwszego snu i on przytomny, rozważny, silny.

Idzie przez las, utyka, „ledwie niesie na sobie swoją pelerynę". Gdzieś w lasku przysiada. Kobiety ze wsi, wracające ze sklepu, tak go zastają. Tłumaczy, że idzie do Sierakowa do tych ludzi po wy-

padku z granatem. *Nic im nie pomogę, ale będę z nimi w ich nieszczęściu.* Kobiety nie mogą na to patrzeć, naradzają się, któraś wraca po taksówkę. Gniew nagły, dziwnie przejmujący u tego zawsze tak łagodnego człowieka: *Nie widziałyście prawdziwie zmęczonych*, mówi już łagodnie, *idźcie do Huty, zobaczycie waszych mężów.* Wlecze się dalej, sam, bez pomocy.

*

Kiedyś w Tywoni mógł ciągnąć polana drzewa, węgiel dla marznących w chałupach, mógł oddawać swoje jedzenie i chrupać samemu rzepę, lub wypraszać trochę gryczanej kaszy. Mógł ściągnąć dla kogoś swoje spodnie, okryć zawszonego biedaka własnym płaszczem, chodzić w obdartej sutannie i drżeć z zimna w nieopalanej kaplicy. Ale miał wtedy swoje dwadzieścia kilka lat i gorliwość świeżo wyświęconego kapłana i tylko gruźlicę. Potem i lat przybędzie a straszliwa choroba poczyni już ostateczne spustoszenia. Tylko pragnienie, żeby służyć ludziom, coraz wzrasta.

Bezsilność staje się coraz większą męką. Wydaje się jakby to jedno go trapiło. Nie ból, nie coraz to nowe udręki i cierpienia:
— Ksiądz przykuty do łóżka — szeptał w szpitalu — cóż to ze mnie za proboszcz, kiedy do swoich na własnych nogach pójść nie mogę — żalił się lekarce. Miał jeszcze nadzieję, że swoje nogi, coraz bardziej do niczego, zdoła czymś zastąpić.

Kupił motocykl. Jeździł na nim, docierał wszędzie, choć siedzenie na siodełku przy jego dolegliwościach nie było łatwe. Spróbował małego samochodziku inwalidzkiego, na trzech kółkach. Samochodzik sapał, wysilał się, lecz nie potrafił sforsować Izabelińskich piasków. A przecież mimo tych trudności wszędzie gdzie tylko jakaś bieda, a gdzież jej nie ma, jest i ślad bytności Księdza.

Utykający, czy na motorze, sam czy przez kogoś, ale wszędzie docierał. S. Anna prosi jakąś rekolektantkę, by poszła odwiedzić chorą staruszkę, na krańcach parafii. Leżała zupełnie sama a w izbie było czysto... bo... „Tu Ksiądz co dzień zagląda, napali w kuchni, wyleje brudną wodę, czystej nanosi". Kobieta prosi o przyniesienie jakiegoś lekarstwa z punktu aptecznego — „Ale jeśli pani nie znajdzie — uspokaja swoją przypadkową opiekunkę — to nic nie szkodzi, Ksiądz jutro przyniesie".

Jest inna staruszka, ma raka krtani. Przykra woń rozkładającego się ciała odpycha najbliższych. Mówi już tylko szeptem. Ksiądz często ją odwiedza. Siada na łóżku, przysuwa swoją twarz prawie do ust kobiety, wsłuchuje się w jej szept. Uśmiecha się przy tym tak zwyczajnie, tak po ludzku, a tak serdecznie. Doprawdy on kocha tę kobietę jak syn. Córka patrzy na to i płacze.

Jeżeli nie lubimy tego słowa „miłosierdzie", to dlatego, że za dużo przy nim pytań — ile i komu.

Ile? Nadwyżkę? Ale cóż jest nadwyżką i w stosunku do czego, w stosunku do potrzeb, czy do apetytów.

Komu? Potrzebującemu? Ale dlaczego on potrzebuje. Nieszczęśliwiec, pechowiec, próżniak czy też niedołęga? A może po prostu oszust?

Niepotrzebne pytania. Ksiądz często mówił w konfesjonale, czy na konferencjach: *Miej oczy otwarte na każdego. Mów* fiat *na każdą godzinę, na każdą chwilę. Mów nieustannie* Amen. *Miej oczy otwarte!* Wtedy dopiero można zobaczyć i komu i ile i jak. Oszust, próżniak, niedołęga, pijak, niespełna rozumu — może i tak. *Nikt niczyjej biedy nie zna* — mówił młody kapłan jeszcze w Tywoni i ludzie dotąd to pamiętają.

W Tywoni była mała debilna dziewczynka — Staszka. Przez wiele wieczorów Ksiądz ją uczył czytać. Czy nauczy ją, czy było możliwe ją nauczyć — nie wiadomo. Dziewczynka była szczęśliwa, to napewno. Dukała sobie nieporadnie elementarzowe zdanka, siedząc obok dużego, dobrego Księdza i czuła, że jest taka jak inne dzieci, może nawet ważniejsza. Rodzice Staszki, teraz po 20 latach, gdy dowiedzieli się o śmierci Księdza — płaczą. Wiele zatarło się już im w pamięci ale tego jednego nie zapomną, że był ktoś, kto rozumiał, że ich nieszczęśliwe dziecko warte było miłości i szacunku tak jak każdy. W Laskach jest pół widzący „Heniuś od osiołków". Jest w Laskach od małego dziecka i wszyscy mówią do niego po imieniu. Kiedyś, któraś ze sióstr zaszła do Księdza coś załatwić. — Czy to bardzo pilna sprawa, czy nie mogłaby siostra chwilę poczekać — prosi uprzejmie Ksiądz — Zaraz skończę rozmowę z panem Henrykiem. — I w tym nie było przesady. Heniuś od osiołków w rozmowie z Księdzem na pewno był panem Henrykiem.

*

Przystanek autobusowy w Laskach. Wiele ciekawych i ważnych osób na nim stoi. Laski nie byle kogo pociągają do odwiedzin. Stoi i niewidomy, niedorozwinięty chłopiec z zakonnicą... Nadchodzi Ksiądz Ali. Rozejrzał się i podchodzi do tej właśnie grupki i zaczyna prostą rozmowę. Ani cienia „zniżania się do poziomu" ani tej łaskawej pobłażliwości tego „lepszego". Zwyczajnie człowiek z człowiekiem. Chłopak opowiada z ożywieniem, zainteresowaniem, nie wydaje się wcale taki głupi, jaki był przed chwilą. To było tajemnicą rozmów z Księdzem, że każdy w nich stawał się ciekawszy, lepszy, mądrzejszy, ujawniał to co w nim wartościowe, choć może ukryte.

Ksiądz Biskup odwiedza Księdza w szpitalu: — Ekscelencja pozwoli — mówi Ksiądz zaraz po przywitaniu wskazując na współtowarzysza — mój przyjaciel, pan Cuprzyński. Ileż to pan Cuprzyński miał ciekawych przygód w życiu, był marynarzem, tyle podróżował. — Ekscelencja zwraca się z zainteresowaniem do leżącego obok chorego. A on przestaje być „chory", znowu jest zwykłym włączonym w normalną społeczność człowiekiem, który w dodatku miał „tyle ciekawych przygód w życiu".

Eksmarynarz chory na raka, niedorozwinięte dziecko, samotne przykute do łóżka staruszki, głodujące wdowy, to jeszcze nie wszyscy — są jeszcze i zdrowi, silni, mądrzy, bogaci i wpływowi. Czasem się o nich zapomina. A przecież oni nie mniej potrzebują miłości. Jest na przykład mądry, zacny Ksiądz Profesor. Pisze książki, wykłada na wyższych uczelniach. Jest pogodny, dobry, elegancki i niezmiernie kulturalny, i właśnie po wielu perypetiach, bo różnie tam się w życiu wiodło, był nawet i w obozach niemieckich, urządził sobie wygodnie, pięknie i ze smakiem mieszkanie. Z zaniepokojeniem oczekiwał pierwszej wizyty Księdza Aleksandra. Co powie ten skromny mieszkaniec Izabelińskiego „gołębnika". A Ksiądz ucieszył się serdecznie. Jak tu ładnie, jak miło, jak wygodnie, podziwiał oglądając z zachwytem piękne, kulturalne, wygodne mieszkanie zacnego kapłana, uśmiechając się do niego serdecznie i ciepło.

Są w szpitalu różne osoby — ważne i nieważne. Dla Księdza wszystkie ważne, wszystkie widzi.

Salowe! Może zacząć od nich, Tyle pięknych słów mówił Ksiądz właśnie o nich.

Włosy chusteczkami obwiązane, chodzą w szarych sukniach. Biały fartuch zbrudziłby się zbyt szybko. Jak duchy dobroczynne pojawiają się w każdej sali szpitalnej. Podają chorym wodę do mycia, poprawiają łóżka, zamiatają podłogę, wynoszą śmiecie, ogarki papierosów, pełne kaczki. One zamiatają korytarze, myją ustępy, spełniają przy chorym posługi, które nazywają najniższymi a które mają w sobie napewno pokorę, miłość i świętość.

Przygodnie zwerbowane kobiety i dziewczęta bez fachowego wykształcenia, a czasem bez żadnego wykształcenia. Pani Irka, Pani Krysia, Pani Tereska. Szare, niezauważone. Bez nich szpital nie mógłby istnieć.

W tej chwili pani salowa zaczęła robić porządki. Aby lepiej powycierać kurze wsunęła się na kolanach pod łóżko, choć już jest starszą kobietą, i wilgotną ścierką wyciera podłogę. Druga wnosi śniadanie. Wczoraj odprawiłem niedzielną Mszę św. Między innymi również dla salowych. Jesteśmy więc wszyscy ze sobą powiązani, jedni od drugich zależni. W momencie, gdy pisałem to zdanie przy-

szła pielęgniarka z zastrzykiem... Moi towarzysze rozmawiają przyjaźnie z panią, która wciąż jeszcze przesuwa się pod łóżkami.

*

Ksiądz leży. Jest chory, cierpi. Cierpi coraz bardziej. Gdy pisze słowa o salowej gwarzącej przyjaźnie z pod łóżka, pod którym wyciera kurze, ma przed sobą jeszcze miesiąc cierpień. Najgorszych. A przecież taki zbolały, umiał ją pod tym łóżkiem dostrzec i swą uwagą uczcić.

Starajcie się nie myśleć o sobie — mówi do chorych — *starajcie się wychodzić z tego podwórka, w którym człowiek jest sam — będziecie szczęśliwi i będziecie dużo dobra innym robili.*

On nie był zamknięty na swoim podwórku. Do końca był z ludźmi. W ostatnich dniach odżywiany był już tylko kroplówkami. Zakładano mu je już bez opieki lekarza, domowym sposobem, ułatwionym przez już gotowe przyrządy, służące do wykonania tego zabiegu. Przyszła jakaś znajoma dowiedzieć się o stan Księdza. Posłyszał jej głos, poprosił: Niech wejdzie, ona tak zawsze ciekawie opowiada. Spłoszona mocno kobieta, zwykle dość gadatliwa, wobec tego konającego człowieka, nie miała odwagi podjąć zwykłych tematów swojej paplaniny. Poruszyła parę razy ustami i chwyciła się pierwszego tematu, jaki wydawał się możliwy — powiedziała, że jej córka ciężko przechodzi ciążę, a bardzo pragnie drugiego dziecka. Mogłaby to zaryzykować, gdyby mogła takie kroplówki brać we własnym domu. Powiedziała to szybko, niepewnie i odrazu zamilkła, czując, że to nie był temat do konwersacji w tym momencie. Ale Ksiądz wcale tego widać nie zauważył, bo po prostu zaczął obliczać: Przez ile to miesięcy byłoby potrzeba, chyba trzy dziennie? Koszt jednej...

A przecież już właściwie konał, ale i to było ważne w tej chwili. Ważniejsze niż jego cierpienie, konanie.

*

Ktoś asystując Księdzu podczas jego wędrówki po parafii był zadziwiony sposobem, w jaki rozmawiał z ludźmi: „Mówił dobre, proste, krzepiące słowa. A wszystko to co robił i mówił było pozbawione wszelkiej pretensjonalności, wszelkiej nuty »paternalizmu«. Bliskość i bezpośredniość kontaktu z ludźmi, pogodny, czasem żartobliwy ton, to wszystko nie miało nic z fajnego chłopa, czy dobrego wujaszka, w który popadają czasem duszpasterze przez brak chyba — dojrzałości.

Nie było też nic z tego »rozdawania dobrych słów, świętych obrazków i głaskania dziateczek po główkach«, choć były i słowa dobre i obrazki dla dzieci i prosta wobec nich serdeczność. Ludzie patrzyli na niego... słuchali. On był »ich księdzem« — ufali mu i chyba więcej niż lubili".

Wędrówki po parafii to osobny rozdział życia Księdza. Było ich wiele. Właściwie działy się nieustannie. Ksiądz uważał je na pewno za najważniejszą i najskuteczniejszą metodę duszpasterską. „Uważał" — tak po swojemu — bez kalkulowania, teoretyzowania. Po prostu kochał ludzi, tych swoich parafian i czuł, że najbardziej im usłuży przez bezpośredni kontakt z każdym z nich w ich naturalnej społeczności, w naturalnych warunkach — po prostu w ich domu.

Więc chodził. Chodził niezmordowanie, nieustępliwie, w upał, w mróz, w pluchę. Gdy był zdrów i gdy ledwo wlókł się od chaty do chaty. I wtedy właśnie, gdy wybierał się w jedną z tych przechadzek po parafii, przyjechał niespodziewanie pewien młody mężczyzna szukać u niego ratunku. Był w rozpaczliwej, beznadziejnej sytuacji, w jednej z tych, w których wydaje nam się, że jesteśmy zapędzeni w ślepą uliczkę, że nie ma dla nas wyjścia, że wszystkie rozwiązania są grzeszne i gubią nas na wieczność. Chciał od Księdza rady, pomocy, albo lepiej decyzji, której on sam nie miał siły powziąć. Nie wiedział, że decyzję można podejmować tylko samemu a pomocny w tym może być tylko Bóg. I rzecz w tym, żeby Go nie stracić z oczu, żeby Go umieć dojrzeć.

A więc Ksiądz mu Go pokazał.

Właściwie obeszło się to bez słów.

Ksiądz właśnie wychodził. Poszli więc razem. Dzień był upalny. Chłopak w samej tylko koszuli, spodniach. Ksiądz w swojej ciężkiej, grubej sutannie. „Byłem zziajany — pisze — on chyba dużo więcej. Słuchał mnie uważnie, serdecznie, wnikliwie"...

*

„Szliśmy piechotą przez pola, zagajniki, zabudowania"...

Odwiedzali starych, samotnych, młode małżeństwa, rzemieślników wykonujących roboty do kościoła. I właściwie nic się nie dzieje. Ksiądz pyta, rozmawia, doradza ludziom, umawia się z robotnikami o robotę, a obok idzie młody mężczyzna ze swoją tragedią i rozterką i czasem mówi, czasem patrzy tylko i słucha.

Wie, że to wszystko nie było zareżyserowane, że bierze udział w zwykłej, codziennej pracy proboszcza, a przecież czuje, że Ksiądz Aleksander po prostu mu w jego cierpieniu towarzyszy, że dla niego idzie w tym upale przez parafię, że mówiąc dobre, proste, krzepiące słowa ludziom — mówił je do niego.

„Mogłem wtedy — pisze — skonfrontować swoje tragedie, powikłania i ciężary z potrzebami i bólami innych ludzi".

I wtedy staje się to najważniejsze, bo nagle uzmysławia sobie działanie Boże w Kościele, od którego nie jest przecież wykluczony.

A Ksiądz Aleksander milczy.

Słucha uważnie zwierzeń młodzieńca i spełnia swoje duszpasterskie funkcje, a przecież: „Rozumiał wszystko, wszystko widział i mówił bardzo serdecznie i bardzo pokornie, że się będzie modlił za mnie i za tego kogoś drugiego, o wyprostowanie drogi: Towarzyszył mi" — kończy swoją relację z jednej z wędrówek Izabelińskiego Proboszcza po parafii.

Towarzyszył mu do końca.

Przed samą śmiercią uśmiechnął się do swego młodego przyjaciela, gdy mu ten szepnął, że zrozumiał: że nie ma ślepych uliczek w życiu, gdy jest Bóg.

*

Jest jedna kategoria ludzi, do których jest zwyczaj odnosić się z uśmiechem ubawienia, czasem z pobłażaniem, czasem z drwiną a zawsze z pogardą. To pijacy. Pijaństwo to zmora społeczności podwarszawskiej. Ile krzywd, nieszczęść, rozpaczy, codziennej udręki i wielkich tragedii.

Wyciągnąć ludzi z tego strasznego nałogu, to chyba było to, czego Ksiądz pragnął najbardziej. Były różne akcje, dni specjalnych modlitw i specjalnych nauk, zachęty, prośby indywidualne i zbiorowe. Ksiądz żyjąc swoją parafią, będąc tak blisko każdego w niej człowieka, wiedział dobrze, co to jest pijaństwo i napewno nie uważał, że jest w tym cokolwiek zabawnego czy wartego pobłażania. A przecież... Jeden z kleryków pamięta prelekcję Księdza Aleksandra o pracy przeciwalkoholowej w parafii, którą wygłosił w Seminarium. Pamięta: Stół na katedrze, Ksiądz pochylony nieco do przodu, z lekko podniesioną ręką i z przymkniętymi powiekami. Mówił o parafianach, którzy bardzo pili, ale mówił tak ciepło, tak serdecznie, tak po ojcowsku. Młody ksiądz nie bardzo rozumie dlaczego ta prelekcja tak utkwiła mu w pamięci. Może była zaskoczeniem. Bo o potwornościach pijaństwa wszyscy dobrze wiedzieli i pewno uprzejmie tłumili ziewanie przy najbardziej przerażających opisach. Jednego przecież nie wiedzieli i to ich naprawdę zainteresowało. Tego, że pijaków można kochać. A on kochał ich. Zwyczajnie i po prostu. Zbierał po rowach, brał w pół, prowadził do domu czy na plebanię. Bywało, że sam ledwo szedł, zmęczony, schorowany, a przecież zawsze znalazł tyle siły, żeby takiego leżą-

cego przy drodze podźwignąć, wziąć w ramiona, uchronić przed zimnem, brudem, poniżeniem. Dla niego to nie był pijak, to był człowiek. Człowiek w dodatku cierpiący. Z własnej, czy nie z własnej winy, ale cierpiał, tym najgorszym z cierpień — cierpieniem duszy.

Ci ludzie tak często byli w rozpaczy. Trzeba było ich przede wszystkim przed nią ratować. Więc patrzał uważnie, słuchał, szukał, śledził, szedł nieraz za takim niespokojny, czy rozpacz nie zawładnie nim całkowicie i nie podsunie myśli o śmierci.

*

Dzisiaj — pisał z bólem — *ludzie buntują się przeciwko życiu i przeciw istnieniu. Są skłonni uważać życie za coś złego, niemal za krzywdę. Mając do wyboru byt i niebyt wybraliby bez wahania niebyt... i to jest najgłębszym sprzeciwem i buntem w stosunku do Boga, podobnym do buntu szatana, kóry nie chciał przyjąć tego, czym był z Woli Stwórcy.*

To go przerażało i wstrząsało nim najgłębiej.

Może dlatego tyle miłości i uwagi poświęcał tym nieprzytomnym, pijanym ludziom, leżącym po rowach, czy wlokącym się gdzieś bez celu z błędnym, pełnym rozpaczy i beznadziejności spojrzeniem.

*

Kiedyś odwożono go taksówką z jakiegoś wesela. Bywał na każdym niemal weselu parafian, zawsze też wypijał zdrowie młodej pary. Jednym kieliszkiem. Wszyscy o tym wiedzieli, że jednym. Raz, ale z całego serca. Wracał właśnie. Był już wtedy bardzo chory. Ale w pewnym momencie coś dojrzał w ciemności i poprosił kierowcę, żeby się zatrzymał. Leżał taki jeden w rowie. Nieprzytomny, brudny, bełkoczący obelżywe, nienawistne wyrazy. Ksiądz wysuwa się z samochodu, podnosi go, ciągnie. Szofer patrzy na te wysiłki z niecierpliwością i lekceważeniem. Ale coś jest takiego w tym chorym, ledwo na nogach trzymającym się kapłanie, ratującym tamtego nędzarza, że chociaż niechętnie i gniewnie, to jednak musiał mu pomóc. Pijak wygląda strasznie, zabłocony, siny z zimna. Ksiądz wciąga go do plebanijnej, ciepłej, jasnej kuchenki, sadza na stołku, rozciera zmarznięte ręce, przysuwa do ust, żeby je rozgrzać oddechem. Tamten trochę przytomnieje, więc wsadza mu w usta papierosa, przypala go. Patrzy uważnie.

W jednym z okresów nasilenia parafialnej akcji przeciwalkoholowej, w dniu modlitw ekspiacyjnych za grzechy pijaństwa, wraca z Lasek do Izabelina. W lesie spotyka leżącego na ziemi człowieka.

Próbuje go docucić, ale się nie udaje. Wraca do Lasek, czymprędzej mobilizuje ludzi, nosze. Chory, może ranny człowiek w lesie, sam w nocy w taką pogodę. Ratownicy przychodzą, świecą latarkami, patrzą. Nie mogą ukryć uśmiechu na widok „chorego". Po prostu upił się. Ksiądz też to widzi. Chłopak otwiera oczy, przytomnieje, poznaje. Proboszcz też go poznaje. Parafianin.

— Marianie — mówi wolno z wyrzutem, z bólem. Wszystkim się robi głupio. Doprawdy w takim dniu tak się spić.

Marianie — powtarza Ksiądz — przecież mogłeś się zaziębić. Potem przeprasza, odsyła zaalarmowanych ludzi, dziękuje. — Już sobie sami damy radę. — Otacza pijanego chłopca ramieniem. Nikną w zmroku, wsparci o siebie, zespoleni.

*

Dzieci bardzo kochał. Choć może „kochał" nie jest tu właściwym wyrazem. Po prostu jakby był jednym z nich. Gdy uśmiechał się do nich tym swoim dziecinnym, figlarnym, a trochę nieśmiałym, jak zwykle u dziecka uśmiechem, gdy mówił tylko takie słowa, które są w dziecięcym świecie znane, bliskie, zrozumiałe, to czuło się, że rozumie je dobrze, bo sam jest trochę tak jak one.

*

W Infirmerii długie tygodnie leżał mały, czteroletni Staś. Rozrastający się nowotwór spowodował kiedyś ślepotę, a teraz na szyi dziecka rosła narośl, która dochodziła niemal do rozmiarów jego główki. Ksiądz wiele chwil spędzał przy biednym maleństwie, dał mu Komunię, a nawet udzielił sakramentu bierzmowania, bo męstwo i inne dary Ducha św. były malcowi tak bardzo potrzebne na ciężkie ostatnie chwile.

Wieczorami nosił chłopczyka na ręku, a Staś opierał mu ufnie na ramieniu coraz bardziej potworniejącą, znękaną głowinę. Tacy byli razem szczęśliwi, tak im było razem dobrze. Właśnie razem. Bo to było chyba u Księdza Aleksandra charakterystyczne, że on zawsze był z ludźmi razem. Nie on i pijak, on i pomylona kobieta, on i mały Staś, a oni razem.

Ludzie potrzebują miłości, przebaczenia, a my chodzimy ponad głowami wielcy. Nie zniżać się. Wejść w tłum jak Jezus... razem cierpieć.

Czujaś bieda, cierpienie — to była jego bieda. Czyjś grzech, to był jego grzech. Nie był wcale wobec niego pobłażliwy, tak jak nie był pobłażliwy dla siebie.

Jakaś studentka chodząca wytrwale prze wiele lat co miesiąc z Warszawy do Izabelina, żeby po dwugodzinnym rekolekcyjnym marszu odbyć spowiedź u Księdza, którego osobiście ani nie znała, ani w inny sposób nie była z nim związana, mówi, że zadawała sobie ten trud dlatego, że Ksiądz traktował jej grzechy „poważnie i surowo".

Miłosierdzie Boże — to napewno, owo największe, które otrzymujemy. Nie ma więc mowy o potępianiu kogokolwiek. Ale na miłość Boską, odpowiedzmy Bogu na Jego Miłosierdzie. Tego pragnie przede wszystkim. To coraz bardziej staje się jego życiową pasją. Objąć wszystkich ludzi ramieniem, tak jak pijanego chłopaka na izabelińskiej szosie i razem iść z nimi do Boga.

Jest jedna kategoria ludzi, z którymi może najbardziej czuje się związany. To chorzy.

Każda świadoma chwila życia każdego człowieka może być czynem, ale chwila życia chorego jest czynem mającym szczególną wagę. Zrozumieć to i dać choremu do zrozumienia — to największy dar jaki mu można dać. Ksiądz nie lubił darów tandetnych. Chciał im dać ten — królewski. I jeden miał tylko kłopot. Nie czuł się dostatecznie do tego upoważniony i godny.

Co mówić ludziom niezdolnym podnieść chleba do ust, mającym ręce i nogi poskręcane najstraszliwszymi formami reumatyzmu czy innych chorób. Ludziom młodym, skazanym na dożywotnią bezczynność. Co mówić tym, którzy codziennie od rana do nocy, a często i przez całą noc przeżywają dramat swojej nieużyteczności... Ludziom tak wypełnionym cierpieniem, że się już zdają być samym cierpieniem.

Jestem onieśmielony — pisze na jesieni 1959 r. — *świętością i wielkością ofiary tych, którzy może te słowa będą czytać. Może je będzie czytał ktoś, kto już szereg nocy oka nie zmrużył, może matka kilkorga dzieci, której amputowano nogę, może ktoś, kto przez niedomknięte drzwi dosłyszał, że to jest rak i nie ma nadziei...*

I właśnie w parę tygodni potem słowa takie posłyszał on sam. Dotąd mógł tylko dawać słowa, które „stawały się płytkie i puste wobec jednego ataku bólu, spowodowanego atakiem kamicy żółciowej".

Był jeszcze widzem i odbiorcą — to on doznawał miłosierdzia od owych cierpiących: *Dziękuję Bogu, że mi pozwolił odprawić Mszę św. na Oddziele Chirurgii Kostnej. Oczywiście ja sam najwięcej korzystałem... sam jeden mówiłem do nich wszystkich, ale oni wszyscy mnie jednego uczyli.*

Ta jego nieśmiała wdzięczność wobec ludzi cierpiących to był jeden z większych dla nich darów. Bo dawanie nierówną ma wartość. Kiedy dajemy coś biedakowi — otrzymuje on wprawdzie ten

czy ów łachman naszej dobroczynności, ale czasem możemy go wtedy obedrzeć z czegoś bardziej cennego, ze świadomości posiadanego bogactwa, którym on sam, on ten pozornie nic nie mający, może się dzielić z innym. I wtedy staje się on prawdziwym nędzarzem. Ksiądz każdemu chciał dać pełną świadomość tego co posiada. Robił go bogaczem. Dziwni to byli bogacze — cuchnący gnijącym ciałem, opuchnięci, zgorączkowani, z połamanymi, amputowanymi, powykręcanymi nogami i rękami, z trudem ciągnący zagipsowane kłody swoich rąk czy nóg. Jakaś dziewczyna leżąca latami, nieruchomą twarzą do poduszki, jakiś młody mężczyzna z nogą na wyciągu, jakaś beznadziejnie chora matka. Właśnie oni. Do nich wszystkich mówił, ukazywał im to, co posiadają. Bo gdy ktoś z nich *wśród ciemnej, bolesnej, bezsennej nocy szepnie »dla Ciebie, Boże«, to stanie się coś wielkiego, coś, czego pogański świat nigdy nie będzie mógł zrozumieć.*

I nie potrzeba do tego ani słów, ani heroicznych gestów: *bezsenne noce, świdrujący ból, którego nie można znieść bez jęku, trwoga konania, płacz i narzekanie, skarga i prośba o skrócenie mąk* — to wszystko musi być. I nie to jest ważne. Ważne, owo najbardziej bolesne, na dnie duszy: Bądź wola Twoja!

I Ksiądz kiedy jest z nimi i mówi do nich: ... *prawda staje się ogromnie bliska i konkretna, dotyka się jej dłonią, drży w słowach. Nie ma już żadnej odległości między Chrystusem a nimi. Nie trzeba Go im przybliżać, jest między nimi i w nich. Msza św. wśród tych wózków, foteli, noszy, stała się czymś prostym, zrozumiałym, koniecznym. Krzyż Syna Bożego nie przerażał, ani wątpliwości nie budził. Swój między swoimi.*

Kiedy chodziłem z Komunią św. od łóżka do łóżka — pisze po Mszy św. na Chirurgii Kostnej — *zatraciła się gdzieś granica między ołtarzem, a salą, między Chrystusem a Kościołem, między Jego Męką na Krzyżu, a cierpieniem chorych.*

Już wtedy zresztą wiedział, że ma raka i może dlatego mówi tak śmiało.

3

OSTATNIA CHOROBA
(21. IV. 65 – 15. VII. 65)

Dr Żuławski stwierdził guz obejmujący tchawicę sięgający oskrzeli, który prawdopodobnie zaczął się już trzy miesiące temu. Ksiądz zapewne o tym wiedział, gdyż przed samym wyjazdem do szpitala, gdy dodawałam mu a właściwie sobie otuchy, że lepiej

teraz wygląda i że pewno lepiej się czuje, odpowiedział, że każde trzy miesiące nie dają się nawet porównać z poprzednimi tak bardzo jego samopoczucie zmienia się na gorsze.

27 kwietnia we wtorek rano, przed zaczęciem naświetlań naznaczono dokładnie miejsce, które mają naświetlać. Zobaczyłam wtedy duży, fioletowym ołówkiem nakreślony krzyż na jego piersi.

W szpitalu umieszczono Księdza w 8-mio osobowym pokoju. Stan był bardzo ciężki. Lekarze nie dawali więcej niż dwa miesiące życia i właściwie chorych w takim stanie przenoszono do separatek dwuosobowych. Lekarze nie chcieli tego jednak robić, wiedząc, że Księdzu sprawiłoby przykrość, gdyby ktoś musiał ustępować mu miejsca w separatce. Czekali więc, żeby się miejsce zwolniło.

W tym czasie Ksiądz wysoko gorączkował, towarzyszyły temu ogromne pocenia, poduszka była nieraz po drugiej stronie mokra, stale był zlany potem. Dostawał wtedy codziennie naświetlania klatki piersiowej kobaltem. Początkowo było to niezmiernie przykre, dawało obrzęki tchawicy, uczucie duszenia się. Kiedyś rano, gdy przyszłam Ksiądz był zupełnie siny, leżał bezsilnie po takim ataku duszności. Powiedziałam: „Jak ciężko jest patrzeć na to, jak się Ksiądz męczy". Odpowiedział: *Wszystko co jest, jest dobre.* Nie wiedziałam wtedy, że przyjdą wiele straszniejsze chwile i że odpowiedź do końca będzie taka sama.

W sobotę 1-maja i 2-go w niedzielę była przerwa w naświetlaniach. Podsunęłam więc myśl pojechania na dwa dni, dni ślubowań, do parafii. Teraz dopiero uświadamiam sobie, że tę myśl poddałam mu sama. Ksiądz nic o tym nie mówił, choć wiem, że bardzo tego pragnął. Potem zresztą wielokrotnie spostrzegałam, że Ksiądz coraz bardziej oddawał inicjatywę i wszelkie decyzje dotyczące jego osoby w obce ręce. Spełniał bez słowa wszystko, co mu proponowano, brał lekarstwa, zastrzyki, przyjmował zabiegi z zupełną uległością i nawet jakby bez zainteresowania. Teraz też nic nie proponował, ale się ucieszył. Stała się też rzecz zadziwiająca — Ksiądz tak bardzo cierpiący i bez sił w szpitalu, gdy znalazł się w swojej parafii jakby odżył. Miał sumę ze ślubowaniami Jasnogórskimi i z kazaniem. Trwało to dwie godziny. Potem położył się i do wieczora w swoim małym pokoiku na górze przyjmował parafian, dzieci, znajomych i przyjaciół, którzy go odwiedzali.

Trzeciego maja w dzień swoich imienin był po raz ostatni w swoim kościele i po raz ostatni odprawił tu Mszę św. Przed 11-tą trzeba było powrócić już do szpitala, bo do tej godziny była „przepustka". Od razu poszedł na kobalt.

Po 10-tym naświetleniu kobaltem poprawił się oddech, zmniejszył się nowotwór śródpiersia, natomiast bardzo szybko zaczął się rozrastać guz pierwotny porażający dolną część tułowia i lewą

nogę. Uniemożliwiało to siedzenie i mocno utrudniało chodzenie. Wstawał jednak codziennie, żeby odprawiać Mszę św. Ale 11-ego a potem 12-ego maja utrzymanie się w pozycji stojącej przy ołtarzu stawało się już dla Księdza niemożliwe. Trzymał się kurczowo ołtarza, wydawało się, że każdej chwili może stracić równowagę. Powiedziałam o tym dr. Żuławskiemu, który oznajmił Księdzu, że będzie musiał przerwać odprawianie mszy. Odpowiedział spokojnie, tak, jak wówczas, gdy mu proponowano wzięcie jakiegoś proszku: Jak pan doktor uważa.

Ta msza 12-ego maja była więc ostatnią mszą Księdza.

Przyszły teraz dni pełne napięcia. Lekarze chcieli za wszelką cenę Księdza ratować, zmieniano leki, zaczął dostawać nowe dawki leczących „trucizn" w postaci różnych leków cytostatycznych, wstrzymujących rozwój komórek nowotworowych, lecz jednocześnie niszczących krew. Z kolei ratowano krew transfuzjami. Było ich 18-naście. Ciągłe badania składu krwi, ciągle krew wykazywała skład, który praktycznie uniemożliwiał życie. Następowały wahania, chwilowe poprawy po transfuzjach, oczekiwane przez nas z napięciem. Przy tym wszystkim jedna osoba zdawała się tym nie interesować — to był Ksiądz. Łagodził nasze podniecenie, radość z chwilowej poprawy, czy rozpacz z pogarszania słowami: — Ależ tak, na pewno, wszystko jest dobrze.

Cierpiał coraz bardziej, mógł leżeć tylko na jednym boku, na którym zrobiła się odleżyna. Noga bolała go bardzo.

— Bardzo ksiądz cierpi? — pytałam się.

— Ja nie wiem czy to bardzo.

— Ksiądz sobie nic nie robi ze swoich cierpień — irytowałam się.

— Przeciwnie — odpowiedział — ja się bardzo boję cierpienia. Bał się chyba istotnie. Mówił, że gdy widzi jak lekarze po konsultacji patrzą bezradnie na siebie, to wtedy wyobraża sobie, jak strasznie będzie umierał. Środki uśmierzające bóle leżały przygotowane na stoliku. Rzadko jednak o nie prosił. Sama mu dawałam. Przyjmował je jak wszystko inne. Tymczasem coraz bardziej słabł. Nie chciał jednak pomocy przy myciu. 31-go maja prześcielając łóżko zobaczyłam przypadkowo odleżynę na nodze. Rozpłakałam się, miałam żal, że mi tego nie powiedział. Wtedy się przestraszył. — Doprawdy, nie wiedziałem, że to siostrę tak przejmie — tłumaczył się i obiecywał poprawę. 24 maja przywołał mnie do łóżka i powiedział tonem informacji: — Jest taki sakrament, który pomaga chorować — chciałbym go teraz mieć. Może Bronek Piasecki by mi go udzielił. Związałoby go to z parafią.

Nie odpowiedziałam, a Ksiądz już więcej o tym nie wspominał. Umówiłam się przecież z księżmi — Bronkiem, ks. Tadeuszem, ks. Santorskim na czwartek, 27 maja, na dzień Wniebowstąpienia.

Nie uprzedzałam Księdza, ale nie zdziwił się, że księża weszli. Chciał tylko zostać z bratem — swoim spowiednikiem — chwilę sam. To była długa chwila. Po udzieleniu sakramentu Ostatniego Namaszczenia istotnie poczuł się dobrze. Rozmawiał, dowcipkował z księżmi. Był wtedy jeszcze ks. prof. Stępień. Ksiądz Santorski opowiadał, że gdy on udzieli ostatniego namaszczenia, to najciężej chorzy odzyskują zdrowie. Ksiądz uśmiechnął się — To klęska dla parafii taki salwant. Wszyscy się śmieli. Zdaje się, że ja tylko płakałam.

Następnego dnia znowu nastąpiło pogorszenie i wtedy już zdecydowałam się pozostać na stałe w szpitalu. Ksiądz usiłował protestować:

— W najczulszych rodzinach robią to dopiero na dwa tygodnie przed śmiercią. Siostra chce za wcześnie zacząć. Czy to warto? Ale zgodził się. Miał ciągle nudności. Nie mógł już myć zębów, bo włożenie szczoteczki do ust prowokowało odruchy wymiotne. Język był spieczony, stwardniały. Nie mógł jeść. Martwiłam się tym i on to widział. Starał się zrobić mi przyjemność, czasem o coś poprosił, co kiedyś lubił.

— Dobre to jest — chwalił — ale jakoś już teraz inaczej smakuje.

Nie mógł wstawać, a musiał często:

— No kaczka, pantofle i laska i wio stary — zachęcał się do wysiłku. Ale raz mimo parokrotnego popędzania się jakoś nie poskutkowało. Mówił: „Wio, stary" i leżał. Zniecierpliwiony tym sąsiad zachęcał — „No, dalej, dalej, niech się Ksiądz zmobilizuje". Wtedy to po raz pierwszy wyrwało mu się — Mój panie, ja już tak trzydzieści lat się mobilizuję.

Tymczasem bóle stawały się coraz cięższe. W nocy nie spał. Słyszałam czasem zduszony szept czy jęk. Wsłuchałam się.

Ksiądz powtarzał *Deo gratias, Deo gratias.*

Zapytałam raz: „Czy bardzo boli?" Odpowiedział — Tak. Ale zaraz potem: Ale nie tak, żebym nie mógł wytrzymać. Właśnie to jest niewygodnie.

Na ogół jednak nie można było poznać, kiedy cierpiał bardziej. Usiłowałam to odgadnąć. Potem zdawało mi się, że chyba wtedy, kiedy się uśmiechał.

Zapytałam:

— Tak się Ksiądz dzisiaj uśmiecha. Czy więcej boli niż zwykle?

— Dotąd jak bolało — wyznał — rzeczywiście próbowałem się uśmiechać, ale to wcale nie tak łatwo. Teraz już tak nie potrafię, jakbym chciał.

Zaczynaliśmy już nie wytrzymywać nerwowo. My widzowie.

— Już nie mogę patrzeć, jak Ksiądz cierpi — skarżyłam się.
— To właściwie siostra cierpi. Ja obserwuję.
Istotnie, robiło wrażenie, że go bardziej obchodzą moje i innych troski niż jego własne cierpienie. Wiem, że modlił się za mnie. Przepraszał za swoje niecierpliwości. Chciałabym opisać te „niecierpliwości", żeby wyszło realniej, ale doprawdy nie mogę sobie ich przypomnieć. Do końca był cierpliwy, pogodny, zobiektywizowany, myślący stale o innych, do końca troszczący się o rozmaite konkretne ludzkie sprawy, choć wiem, że coraz było mu to trudniej. Wreszcie przyszła chwila, że powiedział: *Jużbym chciał, żeby nie było poprawy. Siostra wie, niełatwe było moje życie.*
A przecież cierpienia fizyczne to nie było całe jego męczeństwo. Zwierzył się raz doktor Dąbskiej, że dla kapłana, który jest unieruchomiony w łóżku, najgorsze jest to, że nie może służyć innym. Do końca też swojego pobytu w szpitalu nie dał się w tym łóżku unieruchomić. Gdy tylko mógł, wstawał i przesuwał się, trzymając się jedną ręką ściany a drugą opierając się na kiju, do innych sal, odwiedzał chorych, rozmawiał z nimi. Czy ja wiem zresztą co robił. Można było czasem coś wywnioskować. Raz na przykład weszła do pokoju Księdza jakaś pani, położyła na jego nogach pęk wspaniałych goździków i rozpłakała się. Była to córka chorej, która niedawno umarła. Matka jej była wrogo nastawiona do religii, a po rozmowie z Księdzem zupełnie się odmieniła. „Wyrywała się do Boga, szła z otwartymi rękami na Jego spotkanie" — opowiadała płacząc nieznajoma pani. Pragnienie, żeby służyć innym, a siebie usuwać na dalszy plan nurtowało go ciągle. Prosił, żebym zobaczyła co jest z innymi chorymi, żebym im służyła, pomagała, martwił się, że tyle czasu mu poświęcam, zamiast pracować w parafii. Potem zorientował się, że to może wyglądać na niewdzięczność wobec mnie, więc wycofał się, dziękował, przepraszał. Raz po całym dniu niezmiernie przykrym i uciążliwym, pełnym upokarzających sytuacji, w jakich się nieraz chorzy znajdują, powiedział: „To była prawdziwie samarytańska praca, nie dałbym sobie rady bez siostry, z ciągle zmieniającymi się salowymi". Już nie wspominał o mojej pracy w parafii.
Momentów, gdy jego człowieczeństwo, ludzka godność, naturalne poczucie wstydu było poniżane przez rozmaite konieczne, ale jakże przykre sytuacje szpitalne było wiele. W takich sytuacjach Ksiądz — taki wrażliwy, delikatny, wstydliwy, nieraz się załamywał. Kiedyś, gdy bardziej niż kiedy indziej był „jak mięso wyłożone na ladę", wyszeptał z goryczą: To szmata nie człowiek. Powiedział tak i słyszeliśmy, ale wydaje mi się, że to nie było w czasie ostatniego pobytu Księdza w szpitalu i że nawet w tym ostatnim okresie już takie słowa nie były możliwe. Akcent już

teraz coraz bardziej się przesuwał. Człowieczeństwo coraz mniej wiązało się ze stanem jego ciała. W czasie tego pobytu zdarzyło się coś innego. Też jakieś przykre zabiegi przy pielęgnowaniu owej „szmaty". Ksiądz martwi się, że przy tej okazji pobrudzi materac. Był to cenny materac drogerowski, przeciwodleżynowy. Uspokajam Księdza:

— Podłożyłam trzy prześcieradła.

— Jak na ołtarzu — szepnął.

Gdy to piszę przypomina mi się wiele słów Księdza — wszystkie nacechowane są niezwykłą prostotą, zwyczajnością, ściśle zawsze oddające prawdę bez upiększeń, bez jakiejkolwiek przesady. Jego informacje o własnym zdrowiu były proste, zupełnie uczciwe, a tak obiektywne, jakby mówił o kimś innym i tak zwyczajne, że czasem uchodziły naszej uwagi, choć byliśmy wyczuleni i chcieliśmy mu służyć i przynosić ulgę.

Podobnie prosto i zwyczajnie zachowywał się wobec modlitwy.

Odmawiał brewiarz prawie do końca. Trudno było na to patrzeć. Usiłowaliśmy go nielitościwie od tego odwieść. Gniewał się, mówił, że może jeszcze go odmawiać, że brewiarz, jak każda modlitwa jest ciężarem, ale i radością zarazem. Kiedyś przecież powiedział: „Nie wiem, czy to lenistwo, ale już nie mogę". — Na parę dni przed śmiercią znowu go jednak wziął do ręki.

— Co Ksiądz robi! — zgniewałam się.

— Ja tylko popatrzę sobie w niego — tłumaczył się pokornie.

Któregoś dnia, gdy bardzo cierpiał, poprosił o różaniec. Ale po chwili odłożył go.

— Nie, nie mogę. Może, siostro, radio!

A potem uśmiechając się bezbronnie —

— To dobra zamiana, zamiast różańca piosenki z radia.

Ksiądz Tadeusz niedługo potem powiedział: „Ali, jakżeż ty niepobożnie umierasz, żadnych pobożnych westchnień, żadnych modlitewek". Ksiądz uśmiechnął się tylko do brata. Mnie przecież kiedyś zganił: — Wcale się Siostra nie modli, na Mszę siostra nie chodzi. — Odpowiedziałam, że ksiądz Tadeusz powiedział, że moja modlitwa i moja msza święta to łóżko Księdza. — A to dobrze Tadzio rozwiązał! — ucieszył się. Sytuacja stawała się coraz bardziej tragiczna. 19 czerwca był nowy zabieg — wycięcie jednego z guzków, które zaczęły pokrywać ciało Księdza.

— Może będzie teraz lepiej, może lekarze znajdą nowe sposoby leczenia po zrobieniu analizy — mówiłam, mając jeszcze iskierkę nadziei.

— Nie wiem czy ta analiza będzie lepsza i czy co da, ale wiem, że to co będzie, będzie najlepsze.

A owo „najlepsze" coraz się przybliżało.

Leżał zbolały, z przymkniętymi oczyma, coraz częściej przysypiał. Zaczęły się objawy zatrucia moczem, które dawały ten nienaturalny sen. Zdawało się, że jest prawie bez życia, że cierpi, że już nigdy chyba nie będzie w stanie odezwać się czy poruszyć. A przecież odzywał się czasem zupełnie niespodziewanie, poważnie, mądrze, głęboko lub żartobliwie, dowcipnie z tą domieszką sztubackiej figlarności, którą tak w nim zawsze lubiliśmy, a która go nawet w tych tragicznych chwilach nie opuszczała. Zwłaszcza, gdy mógł nią służyć innym. Zdarzył się wtedy jeden uroczy incydent, który proszę zrozumieć z całym podtekstem, który mogą kryć nawet... tzw. „wyrazy".

Ksiądz spał: leżał bez czucia z bolesnym skurczem twarzy, nad którym już półsennie nie panował. Jego szpitalny towarzysz dreptał niespokojnie po pokoju oczekując od godziny na próżno karetki pogotowia, która go miała zawieźć na jakiś zabieg. Nagle Ksiądz otworzył oczy i powiedział: Psiakrew, cholera, niech pan powie, to od razu panu ulży. Wszyscy się roześmieli, napięta atmosfera znikła. Naprawdę ulżyło!

Tak było zawsze. Każda wizyta, każda potrzeba drugiego człowieka wyrywała go natychmiast ze stanu półśmierci, w który coraz częściej zapadał. Zawsze znalazł się uśmiech, żywe zainteresowanie potrzebami odwiedzającego, doskonała pamięć, trafna, trzeźwa rada. Po prostu nie wierzono, że jest tak bardzo chory. My w szpitalu wiedzieliśmy i zapatrzeni w postępującą groźną chorobę zaniedbywaliśmy małe, uciążliwe dolegliwości Księdza. Ot, choćby ten palec. Pękał mu i boleśnie dokuczał. Kiedyś poproszono o radę dermatologa. Zapisał jakieś maści, które zapomnieliśmy mu zastosować. Po paru dniach pokazując obolały palec powiedział uśmiechając się: Pierwszy raz potraktowano niepoważnie moją chorobę.

Ksiądz, choć tak mało wymagający, lubił ładne rzeczy. Gdy mu raz chciałam dać trochę wina w kubeczku do zębów, dał mi żartobliwie do zrozumienia, że to nie jest obojętne w czym się pije wino. Pobiegłam do kuchenki szpitalnej i tam o dziwo! znalazłam kryształowy kieliszek. Ucieszył się szczerze.

Mimo tych odprężeń choroba ciągle postępowała naprzód. Walka o życie Księdza ciągle trwała, lekarze ciągle próbowali nowych sposobów leczenia i nie mogli zdobyć się na rezygnację, zwłaszcza, że postawa Księdza wobec leczenia była zawsze pozytywna. Wiedział, że umrze, wiedział, że cierpi i cierpieć będzie, ale też wiedział, że każda chwila życia nawet w tak obolałym ciele ma swoją wartość. Wierzył, że jeszcze to i owo ludziom powie, że jeszcze zdąży.

Tymczasem kres życia się zbliżał. Lekarze uważali, że w tym stanie może przeżyć najwyżej dwa tygodnie. Żadne lekarstwa już nie skutkowały, wyniszczały tylko organizm i dodawały bezużytecznych cierpień. Podjęto decyzję wypisania Księdza ze szpitala, do którego już nie miał nigdy wrócić. Ksiądz sam nie był o tym przekonany. Zapytywał, czy będzie mógł dostać tę samą separatkę, gdy wróci. W dniu wypisania ze szpitala, w sobotę 26 czerwca odwiedził Księdza ojciec Piotr Rostworowski. Obaj przyjaciele rozmawiali ze sobą długo, chyba z półtorej godziny. Ojciec Piotr wyszedł wstrząśnięty i wzruszony — „On już taki dojrzały" powiedział. Jednocześnie jednak powtórzył nam słowa Księdza, który informując go o swoim zdrowiu dawał do zrozumienia, że liczy się z tym, że ma jeszcze przed sobą parę miesięcy życia. A jednak, gdy przed samym opuszczeniem szpitala przyszła do Księdza dr Madejczykowa i gdy po jej wyjściu weszłam do pokoju zastałam Księdza głośno łkającego. Spojrzał na mnie i powiedział łagodnie:
— To nic, to nerwy nie wytrzymały.

Przy tym wyjeździe ze szpitala nieszczęsne nerwy były narażone na nową szarpaninę i to przez nadmiar naszej troskliwości. Wreszcie o godzinie piątej karetka podjechała. Ksiądz przesunął się ze swego łóżka na szpitalny wózek. Winda była zepsuta, dalszą drogę po schodach musiał zrobić na noszach, niesiony przez sanitariuszy. To była niezwykła droga. Na pierwszym podeście schodów zebrał się tłum chorych, którzy chcieli pożegnać Księdza. Również chorzy ustawili się wzdłuż schodów, aż do wyjścia. Ksiądz uśmiechnął się, podniósł rękę i błogosławił.

W ciągu całego dnia Ksiądz myślał tylko o swojej parafii. Odprawiało się wtedy w parafii 40-godzinne nabożeństwo. Ksiądz marzył jadąc, że wejdzie do kościoła, zobaczy parafian i wprowadzi księdza Santorskiego. Troszczył się czy sutanna jest blisko, szukał laski. Gdy przyjechaliśmy było jednak inaczej. Nie było tłumów ludzi, którzy mieli przyjść na owo nabożeństwo, a Ksiądz był śmiertelnie znużony. Na noszach wnieśliśmy go do pokoiku, tego samego, w którym umarł i którego małość trochę go niepokoiła w zestawieniu z jego dużą, choć już w tej chwili mocno wychudłą osobą. Niepokoiła, bo nie wiedział, jak go z niego „wyniosą". Drzwiami czy oknem. Bał się widać kłopotu, który mógł sprawić, wtedy, gdy go będą „wynosić".

To już był koniec czerwca, a więc dwa tygodnie przed śmiercią, gdy zdarzył się mały incydent z komarem. Niby nic wielkiego. Po prostu go zabiłam. Ksiądz zareagował na to niewspółmiernie do wypadku, ale współmiernie do tego, co go nurtowało, tym bardziej, im bardziej przybliżała się już ostatnia chwila. Mówił, myślał, pisał o życiu. W czasie choroby i cierpień napisał niedawno piękny list

do matki, dziękując jej za dar życia. Ostatnie jego kazanie było o życiu. Kochał je, znał jego wartość. Teraz, gdy pozbawiłam małe, uprzykrzone stworzonko jego mizernego istnienia, niespodziewanie zaprotestował: — To było życie, proszę Siostry, to rzecz bezcenna, to dar wielki.

Wszystko już teraz zmierzało do końca. Przestał jeść. Już w szpitalu było to całe zagadnienie. Mała gra jego miłości i delikatności wobec ludzi. Wiedział jak nam wszystkim zależy na tym, żeby jadł. Chciał nam zrobić przyjemność, czasem o coś poprosił.

W Izabelinie problem jedzenia odpadł. Już tylko pił wodę i to łykami. Lekarze odżywiali go kroplówką. Ale przecież raz jeszcze coś przełknął — kawałek pomarańczy — bo był to kawałek dziecięcego serca. Dał mu tę pomarańczę doktor Żuławski od swego synka Jasia. Ksiądz nie lubił pomarańczy, a od dłuższego czasu miał do nich szczególny wstręt. Ale wtedy zjadł i to całe dwie cząstki. To był prezent dla Jasia.

Teraz tylko kroplówki odżywiały organizm. Miał je zakładane najpierw dwa razy, potem już tylko raz. Ostatnią zakładano w przeddzień śmierci, ale już się nie udało tego zrobić. Męczyliśmy go szukając żył, kłując nadaremnie. Spojrzał wtedy na swoje zsiniałe paznokcie i powiedział: — To zakrawa na zabawę. Przerwaliśmy to ostatnie miłosierne okrucieństwo.

Jeden z lekarzy zdobył się na jeszcze jeden dar wobec Księdza. Dziesięć dni przed śmiercią, gdy przyjechał, pochylił się nad Księdzem i szepnął: „Byłem u Komunii". Ksiądz zrozumiał. Z doktorem łączyły Księdza szczególne więzy, szczególna wspólnota — byli właściwie sobie obcy, tak jak lekarz i pacjent, a przecież było o tyle więcej. *Komunia* — powiedział Ksiądz wolno — *jedność z Bogiem i ludźmi.*

Sam Ksiądz jeszcze miał siłę przesunąć się do kaplicy domowej. Raz wysłuchał Mszy św. stojąc oparty o stół. Przyjmował kilkakrotnie jeszcze w pierwszym tygodniu Komunię św. przysuwając się do ołtarza, stojąc, oparty rękami o ołtarz. Kiedyś wysunął się do kaplicy po południu. Po chwili usłyszałam głośny płacz. Kiedy przybiegłam, powiedział: Niech Siostra mnie zostawi.

Pozostał sam. Potem jednak mnie przywołał. Może zorientował się, że może jeszcze stać i że tą swoją resztką siły może komuś służyć. Już nie płakał, zaproponował mi tylko: Mógłbym jeszcze siostrę wyspowiadać, ale już na stojący.

Rozpoczął się ostatni tydzień życia, odrębny od wszystkich innych. W południe przyjechał doktor Żuławski. Po badaniu Ksiądz go zatrzymał. Widocznie pytał o to czy już jest koniec i czy będzie bardzo cierpiał. Doktor Żuławski wyszedł po tej rozmowie wstrząśnięty, chodził ze mną naokoło kościoła, żeby się

uspokoić. Mówił, że zapewniał Księdza, że choć nie udało się lekarzom choroby odwrócić, to jednak potrafili tak nią pokierować, że już nie będzie bardziej cierpiał. Ksiądz powiedział tylko: Dziękuję panu doktorowi. Prosił również, by mógł nie mieć zastrzyków morfiny, po której czuje się jakiś niepełny psychicznie. Odtąd zaczęła się już ostatnia wędrówka. Następnego dnia powiedział do mnie, że gdyby to było potrzebne dla doświadczeń, to niech doktor Żuławski zrobi sekcję. Zaprotestowałam gorąco, tak bardzo go kochaliśmy. Ksiądz powiedział — No cóż, przecież to kawał mięsa, a taka sekcja mogłaby przydać się komuś cierpiącemu. Ale nie nalegał. Nie nalegał również, gdy mówił mnie i ks. Tadeuszowi o swoim pogrzebie. To było w nocy z soboty na niedzielę. Prosił, żebyśmy do niego przyszli, żeby przypomnieć, o czym już mówił poprzednio, że chciałby być pochowany tak jak każdy zwykły mieszkaniec parafii, w kolejności na miejscowym cmentarzyku. Ksiądz Tadeusz zrobił uwagę, że to zrobiłoby przykrość ludziom. To oczywiście było dla Księdza argumentem. Nic nie odpowiedział. Nie chciał robić sztandaru ze swojej prostoty i pokory.

I znowu niedziela w parafii. Ostatnia. Po każdej mszy wszyscy szli żegnać się ze swoim Proboszczem. W ciszy, tłumiąc łzy, przechodzili przez pokój, przyklękali, całowali nogi Księdzu, ręce. On podnosił rękę i błogosławił. Ręka mdlała, słabła, podpierał ją drugą. Błogosławił, kreślił na czołach krzyżyki i po swojemu z ludźmi gwarzył. Poznawał, mówił imię i każdemu po parę słów takich właśnie, jakie im były potrzebne.

— Kochajcie się.

— Żyjcie ze sobą dobrze!

— Miłosierdzie Boże, pamiętaj!

— Co z Olesiem. Proszę pamiętać zwrócić się z tym do siostry, ona poradzi!

Ludzie rozeszli się, poszli tłumnie do kościoła. Modlili się za Proboszcza. Powiedziałam o tym Księdzu. Zaniepokoił się. Zaczął prosić natarczywie — Niech siostra im powie, niech się modlą o miłosierdzie Boże dla mnie, niech się modlą tylko o miłosierdzie Boże!

Wieczorem szeptał do siebie: Taki jestem szczęśliwy, taki szczęśliwy. Co to za szczęście... Zdołałam to usłyszeć. Zapytałam więc może dziecinnie:

— Czy widzi Ksiądz Boga?

— Nie, nie widzę, ale wiem. Jakie wielkie jest Miłosierdzie Boże. Wy tego nie wiecie... Potem dalej szeptał — Rozumiesz, rozumiesz to. Myśmy całe życie tego jednego uczyli, jaka wielka jest miłość Boga.

Potem usnął trzymając ręce trochę wzniesione jak do błogosławieństwa czy jak przy ołtarzu. Bałam się, że gdy mu ręce opadną może uderzyć się o kant stołu. Więc trzymałam swoje w pogotowiu, żeby w razie czego oparł się o nie. Rzeczywiście ręka mu opadła. Otworzył oczy i trzymając ręce w moich rękach powiedział — Przepraszam!, a potem jakoś miękko i serdecznie — Za to i za wszystko!

To były ostatnie spokojne chwile.

Od następnego dnia rozpoczęły się przeróżne dolegliwości. Przede wszystkim niezmiernie męcząca uporczywa czkawka, której nie można było żadnymi sposobami lekarskimi uspokoić. Lekarz doradzał łykać lód, Ksiądz łykał, skutkiem czego dostał zapalenia krtani, a czkawka nie ustawała. Bez przerwy wstrząsała całym ciałem. Trudno było na to patrzeć. Ksiądz nas uspokajał — To nic, to nic! powtarzał.

Pozostawał nadal przytomny, a przecież trudno było już mu znaleźć właściwe słowo do wyrażenia myśli. Było to zresztą chwilowe, ale męczył się tym bardzo. Zawsze tak dobrze wiedział, czego chce, zawsze to co mówił i robił było tak bardzo jego, tak bardzo jego własną, odrębną drogą. Chciał ją jeszcze raz wypowiedzieć. Szukał słów, gdyśmy zaś dopowiadali, tak po naszemu głupio, banalnie, wówczas stanowczo zaprzeczał. To nie było to. Ja wiem co chcę powiedzieć, ja wiem co chcę powiedzieć! — powtarzał.

W poniedziałek rano odjechał ksiądz Tadeusz na rekolekcje kapłańskie. „Poczekaj na mnie do czwartku!" powiedział, żegnając się z bratem. Zdrętwieliśmy. Wydawało nam się, że męczarnie Księdza nie mogą trwać tak jeszcze długo. Ale ksiądz Ali był posłuszny. Poczekał. Umarł właśnie w czwartek. Ale te trzy dni bez brata, spowiednika i kapłana, były tym bardziej ciężkie. Nie mówił o tym, ale czuliśmy to wszyscy. Może dlatego w poniedziałek w nocy przyszły ciężkie chwile. Nie te najcięższe fizycznie. Te dopiero miały przyjść, ale straszliwe cierpienia psychiczne.

Nigdy nie będziemy wiedzieli dlaczego oczy Księdza zaczęły wyrażać przerażenie, rozpacz, jakąś straszliwą szarpaninę i niepokój. Słyszeliśmy urywane słowa jakiejś rozmowy, jakiegoś ostatecznego rozrachunku: *Nie, tego nie robiłem... to było... tak... tak... zdarzało się.* Naraz wykrzyknął: *Nie, nie, nigdy!* I znowu spokojnie: *Nie pamiętam, nie wiem...* I wreszcie: *A jeśli cała ta powieść okaże się nieprawdziwa, a ja największym zbrodniarzem, to co?*

Byliśmy przerażeni, spłoszeni. Wzięłam wtedy garść wody święconej i chlusnęłam na Księdza. Uspokoił się. Uspokoił się nagle. W nocy przez cztery godziny wymiotował krwią. Wymiotował na nerkę, na łóżko, na mnie. Ataki wymiotów przychodziły nagle,

nie mógł chyba nad tym panować. A przecież czasem szeptał: Przepraszam. Ale kiedy się na to obruszyłam, że za co przeprasza, powiedział: — Ja wiem, że nie zawsze, ale tym razem mogłem bardziej czuwać i tym razem zapanować. — Trudno było w to uwierzyć. To była norma nie dla nas, ale dla Księdza. Czy to wola żelazna czy miłość? Wtedy, gdy patrzyliśmy na niego, takiego umęczonego, zlanego krwią, która chlustała z niego i nad którą chciał jednak panować, zrozumieliśmy wiele dziwnych spraw z okresu choroby.

We wtorek rano po raz ostatni wymówił swoje zawołanie, które go w chorobie mobilizowało i pobudzało do wysiłku — Wio, stary — Chciał coś wziąć, czy podnieść rękę. Nie pamiętam. Brzmiało to żałośnie.

Tego dnia przyjechała najmłodsza siostra, Anielcia. Poznał ją, przywitał. Miał też przy sobie matkę. Chciałam wtedy, żeby podpisał zaczętą dedykację na mojej Ewangelii, wiedziałam, że już dłużej nie mogę czekać. Wziął ją w rękę, potem przyciągnął mnie do siebie i wyszeptał: *Wszystko to jest wielkie miłosierdzie Boże, to miłość Boża we wszystkim. Wiesz, że tak jest, rozumiesz?* Kiwnęłam głową. Już więcej nie prosiłam o podpisanie mojej książki.

Nie wiem, gdzie się w czasie mieściły najstraszliwsze chwile cierpień Księdza. Czas był nimi tak szczelnie wypełniony. Ale te były najgorsze. Może właśnie we wtorek wieczór. Żeby uniknąć powtórzenia napadu wymiotów krwią, które się zdarzyły w nocy poniedziałkowej, doktor założył mu przez nos sondę do żołądka, żeby wypompowywać krew, która go podrażniała do wymiotów. Ksiądz, który przez cały czas choroby miał twarz przemienioną wprawdzie bólem, ale też i dziwnym jakimś pięknem zarazem, teraz został zeszpecony, zniekształcony, sondą, plastrami. Teraz już nie miał nawet swojej ludzkiej twarzy. A przecież w środę, gdy już wydawało się, że jest już samym cierpieniem, gdy wszedł doktor i przywitał go Pochwalonym odpowiedział głośno i wyraźnie: Na wieki wieków, i wyciągnął ręce mówiąc: to wielka radość!

Po wyjściu doktora zaczęły się ostatnie cierpienia. Leżał rzucony na pościel nisko, mokry, spocony, skurczony, ręce skuliły się, pomarszczyły, były jak rączki dziecka. Każdy ruch koło niego powodował bolesny skurcz na twarzy, chwytał spieczonymi ustami zmoczoną gazę, wysysając łapczywie wilgoć. „Kiedyż tego będzie koniec" — jęczałam. Jutro — odpowiedział przytomnie. Wierzyliśmy. O pierwszej w nocy zapaliliśmy gromnicę. Była przy łóżku Anielcia, obaj księża miejscowi i my siostry, oraz pielęgniarka z onkologii. Modliliśmy się. Ksiądz leżał cicho, bez jęku, skulony, drobny, żaden. Oczy otwarte, przytomne. Co dwie godziny dostawał morfinę.

Rano w czwartek przyjechał doktor. Czekaliśmy na niego. Ksiądz poznał go, ale już nic nie mówił.

Było wpół do jedenastej, gdy doktor powiedział — „Ja wiem, że Ksiądz już nie może mówić, ale jeżeli będzie bardzo bolało niech Ksiądz da znak. Niech Ksiądz zamknie oczy". Spojrzał szeroko na doktora i wolniutko zamknął oczy. Raz jeszcze dostał podwójną, choć w sumie bardzo maleńką dawkę morfiny.

Byliśmy przy Księdzu wszyscy. Matka trzymała go za rękę. Oddech stawał się coraz cichszy. Nawet matka nie zauważyła, gdy Ksiądz życie zakończył. Była godzina 12.20. Dzwony kościoła zaczęły bić.

4

ZAPISKI

Słowa świętość ksiądz Aleksander prawie nie używał — ale prowadził ludzi do zjednoczenia z Bogiem — do świętości. Aby dać pewne pojęcie jak według niego ma brzmieć odpowiedź człowieka na miłość Boga i jak ma wyglądać pełne życie chrześcijańskie, przytaczamy urywki niektórych konferencyj, fragmenty listów do chorych oraz notatki po rozmowach z nim.

Motto (zapisek ręką Księdza na skrawku papieru. Szpital czerwiec 65 r.)

Wszelkie mówienie o miłości jest jałowe i niestrawne, jeżeli nie jest samym życiem.

Urywki z konferencyj — 1960 rok.

Właściwie lepiej by było, gdybyśmy się modlili, a nie mówili, ale ponieważ słowa być muszą, więc będziemy mówili o Bogu. Najpierw musimy stanąć przed prażródłem wszystkich rzeczy. Bóg jeden jest celem i sensem drogi i istnienia i nas samych. Trzeba mieć odwagę stanąć przed Tym, który jest. I tu słowa się kończą. Jest miejsce na modlitwę. Jeśli człowiek aktem wiary jest przed Bogiem, musi się modlić, musi kochać, ufać. I do tego zjednoczenia z Bogiem poprzez akt wiary, nadziei, miłości wszystko dąży. Akt wiary — akt umysłu — ten akt jest bardzo niedoskonały. Idziemy w ciemności. Bóg dla nas jest ciemnością. Po omacku Go szukamy. I Bogu dzięki, że tak jest. Gdybyśmy Go mogli pojąć, to znaczy, że nie byłby Bogiem nieskończonym. Mamy tak stać na granicy

czegoś niepoznawalnego, nie starać się sobie nic wyobrazić, bo to nie ma sensu. Nie chcieć z siebie wyduszać przeżycia. Wystarczy akt wiary, że jest, to wystarczy aby Go kochać. To Jego najważniejsze dane mi przykazanie. I to jest wszystko. Bo miłość jednoczy. A o to tylko chodzi. Jest się u źródła i celu. Tu tylko modlitwa może zaprowadzić. Modlitwa, która jest miłością.

Boga pomieścić w umyśle nie możemy. Ale wola jest w szczęśliwszym położeniu, bo nie stara się zamknąć w sobie, jak umysł, ale wychodzi do przedmiotu umiłowanego. I nie jest ograniczona. Może się zatopić. Rzucić w tę wielką Nieskończoność. Na to potrzeba odwagi. Oddać się Mu w ciemnościach. Ufając. I ku temu zdąża całe życie chrześcijańskie. On jest — Jeden, prosty, doskonały, wieczny. Wszystko w Nim obecne. Nie wyobrażajmy sobie Pana Boga, nie róbmy Mu kapliczki w sobie. To nie to. Trzeba wyjść na wielkie szlaki Boże i tam Go szukać. W nieskończoności. On mieszka we mnie, jest bliższy niż cokolwiek. I mogę Go w sobie szukać. Ale nie jest na obraz mój zrobiony. Jestem na to aby Go kochać. Miłość, cała męka, życie Chrystusa po to, abym ja Go kochał. Szukajmy Boga. To droga uciążliwa, jeśli się szuka Boga w nim samym. Łatwo jest chodzić po kałuży, po płytkiej wodzie pobożności — ale wtedy nigdy się nie spotkamy z Bogiem. Trudno się rzucić z łódki, gdy nie ma gruntu. A On jest tajemniczy, ale i woła jak otchłań.

To jest droga do świętości. Pustka, jałowość, męczące godziny liczenia dziur w ścianie, desek w podłodze. A właśnie wtedy człowiek się wyzuwa ze wszystkiego, oczyszcza. Jeśli promień wpada przez okno i jest pył — to widać promień. Jeśli pyłu nie ma — to promienia nie widać. I tak bywa z Bogiem w naszym życiu. Bóg prowadzi poprzez ogołocenie. Trzeba cierpliwości, nie można się zrażać, choć często się człowiekowi zdaje, że jest gorszy, bo jest bardziej oschły. Ale wolą jest bliski Bogu i nikt go od Niego nie oddzieli. Doskonałość — to miłość.

... Stańmy na krawędzi stworzenia i spójrzmy na Tego, który jest. Musimy się w Nim zakochać. Prośmy o tę miłość, bo sami z siebie możemy tylko przez wyrzeczenie, pokutę, pokorę, oczyścić i przygotować duszę. Ale ta miłość to nie skutek naszego wysiłku. Możemy tylko przyjąć miłość jaką On w nas wlewa. Abba — Ojcze...

*

Najważniejszą sprawą naszego życia to — abyśmy Boga stale odszukiwali. Bo jest niebezpieczeństwo religii wypranej z Pana Boga. I to tak zraża ludzi. Formy stają się bezsensowne, ogłupiające, bolesne. Naczynia bez zawartości.

Bóg jest całkiem inny niż stworzenie. Wiemy, że jest. Stoimy bardzo realnie wobec tej wielkości, świętości. Trzeba sobie uprzytomnić — kim jest Bóg. — Bóg jest jeden. Jedna Mądość. Jedna wola. Jedna miłość. Absolutna Jedność. Myśmy trochę zatracili poczucie tej jedności. W praktyce tak jakoś oddzielamy Osoby Trójcy św. I „dajemy sobie radę" z Bogiem — Ojcem, Synem i Duchem Św. Często zatrzymujemy się na drodze do Boga, — święci, Matka Boska, sakramenty — zamiast iść do Niego.

Gdy nasze życie wewnętrzne będzie ciągle świadome Jego Wielkości — to wtedy będzie miało sens. Bo inaczej nasze życie wewnętrzne będzie młóceniem słomy.

Św. Józef, św. Teresa, Matka Boska — tak, tak, — ale to droga. Człowieczeństwo Pana Jezusa to też tylko droga. Poprzez tajemnice Kościoła, Liturgii mamy iść do Boga. Przed tym Bogiem musimy być w wiecznym uwielbieniu. I gdy to zrozumiemy, wszystko zaczyna żyć, znika wszelka drętwość życia religijnego.

Życie chrześcijańskie to nie jest życie na naszym wewnętrznym podwórku. To Bóg nas stworzył i porwał nas przez chrzest w głębię swojej natury, w głębię tej miłości między Ojcem, Synem, i Duchem św. To jest religia. To jest prawda, to jest moc.

Trzeba stale tego szukać, przedzierać się. Bo rzeczywistość ziemska nas odrywa. Bóg jest poza czasem. On stworzył czas, te miliony lat. A my poprzez fale czasu płyniemy ku temu oceanowi wieczności. Trzeba uważać, żeby nie zatracić tego. Nawet na drodze do Boga możemy się zagubić. Możemy dojść wysoko, a nawet jak owca na dobrym pastwisku osiąść, potłuścieć i być zadowolonym — „mam Boga".

A tymczasem kocha się swoje modlitwy, swoją miłość. Człowiek — jak owca — zapomina, że trzeba iść dalej. „Chcę Ciebie, Samego Ciebie! Na nic mi wszystko, jeślibym Ciebie nie miał". Wtedy będę stał na prostej drodze. Może będzie skalista. Niech będzie najkrótsza. Busolą jest miłość do Boga. Ile razy się odchylę, będę czuł ból. Nawet małe odchylenia będą bolały. Bo to zwłoka.

Nie chodzi o to, żebym ja był doskonały, święty, ale żeby była świętość Boża we mnie. Chodzi o to, bym Boga kochał.

Praca wewnętrzna nad sobą jest potrzebna. Ale sens jeden — oddać się całkowicie Bogu. Zawsze więcej się cieszyć Bogiem niż martwić sobą. Bóg jest wspaniały, wielki, piękny, dobry. Misericordias Domini...

Przecież nasza nędza nie przeszkadza cieszyć się Bogiem. Szukać Boga — wśród dnia i nocy, w świetle i w ciemnościach. Dusza musi szukać. On chce być szukany, miłowany.

Wśród ciemności idziemy. Nie można się niczym zrażać, nawet grzechami. Grzech jest rzeczą straszną, ale i grzechy są odpuszczone. Czasem nam pomagają do większej miłości.

„Zmarnowałem życie, pokrzyżowałem plany Boże" — głupota, bezsens. Opatrzność Boża wszystkim rządzi, wszystkim kieruje. Każda chwila jest ważna. Nie martwić się, nie dreptać koło siebie, nie zajmować się sobą. Na Boga spojrzeć. Starać się Jego jak najbardziej kochać. Aż nadto zobaczymy wtedy grzech. Nie trzeba się dłubać w drobiazgach, chodzić ze świeczką po kątach duszy. Ale otworzyć okna, drzwi, wpuścić światło i słońce — ono samo uporządkuje. Zerwać dach!

*

Msza św. tworzy Kościół. Z jednej strony ofiara jest źródłem życia Kościoła, a z drugiej jednoczy nas z Chrystusem i nas między sobą. Dlatego Msza św. jest czymś najważniejszym w Kościele.

„Missa est" — „jest rozesłanie". Tę naszą komunię między sobą i z Bogiem idziemy przeżywać w naszym ludzkim życiu. Idziemy do ludzi. Mamy tę miłość brać z Eucharystii i nieść ją ludziom. Jak będziemy mieć kontakt rzeczywisty z Ofiarą Chrystusa to będziemy promieniować Nim. Możemy nawet o tym nie wiedzieć, nie czuć tego. Nasza Msza św. się nie kończy, tylko zaczyna. Bóg nas posyła, abyśmy świadczyli. Dalszym ciągiem Mszy — praca. I już nie jest się samemu, ale razem z innymi w Kościele.

Msza św. to nie jest jeszcze jedna forma pobożności, ale to nasze włączenie w to, co się dzieje między Chrystusem a Bogiem, włączenie w Kościół.

Jest jakieś podobieństwo między naszym życiem a życiem Apostołów. Zwykli ludzie, nie zabrani ze świata — jak Apostołowie — mamy żyć życiem zwykłych ludzi, ale życiem chrześcijańskim. Kwas ginie w cieście. I my tak powinniśmy ginąć wśród ludzi. Trzeba być człowiekiem świeckim, a jednocześnie człowiekiem duchowym. Właściwie Ewangelia wystarczy. Jeśli będziemy naprawdę żyć Ewangelią — będziemy święci.

Pan Jezus i Apostołowie to ludzie wśród ludzi, — zwyczajni.

Powinniśmy być tymi więzami, które łączą ludzi z Bogiem i między sobą. Gdybyśmy byli całkowicie wolni, nie skierowani ku sobie, jak św. Franciszek — to nie byłoby problemu kontaktu z ludźmi. Bóg działa przez małe narzędzia. Nie można obnosić swojej wielkości po świecie, bo wtedy nie możnaby nieść Chrystusa.

Największe braki Kościoła — brak miłości i brak pokory.

Trzeba się ukrywać. Bo mamy być kwasem ukrytym. Kto jest wielki, ten jest sam i nie przybliży Boga nikomu.

Trzeba włączyć się w sytuację każdego człowieka. Szukać człowieka. Pokochać świat. Wszystko co ludzkie ma być bliskie. Trzeba człowieka zrozumieć. I tę panią z wymalowanymi, wykręconymi rzęsami i tego kominiarza co wejdzie za chwilę na dach, a może boi się żony i boi się wracać do domu. Nic nam nie może być obce. Grzech też nie może być obcy. Wszędzie można się zbliżyć, nawet w błoto wleźć, jeśli będzie się nastawionym w duchu Chrystusa, jeśli się nie zatraci łączności z Nim. Trzeba kochać to nasze życie. Jesteśmy posłani, by rozwinąć w pełni chrześcijaństwo w sobie i w ludziach. Przez Eucharystię — miłość, w jedności z Chrystusem i z ludzmi — wszędzie. Nie może być dla nas obcych ludzi. Mamy być braćmi wszystkich ludzi. Musimy pamiętać o krzyżu, o Tym, który chciał umierać między ludźmi dobrymi i złymi. On nagi i oni nadzy. Bóg wśród ludzi, wśród umęczonych, cierpiących. Jeśli o Nim będziemy pamiętać, to wtedy cały świat nam będzie bliski, bo wtedy w Chrystusie znajdziemy człowieka, a w każdym człowieku Chrystusa. W miarę jak będziemy wszczepieni w Chrystusa, Chrystus będzie wchodził w świat. Trzeba iść za Nim. Idzie się za Chrystusem żywą wiarą i gorącą miłością. Związać się z Nim — naprawdę aż do męczeństwa. Jakaś całkowitość. Jeśli sprawa miłości Boga i ludzi nie będzie najważniejsza — to całe życie chrześcijańskie — osobiste będzie spudłowane. My już naprawdę należymy do Chrystusa, życie jest nie naszą sprawą ale Chrystusową.

Drogi człowieka do Boga są właściwie proste, jeżeli człowiek ich sam nie pokręci. Są proste, bo Bóg jest prosty, bo miłość jest prosta, a ona jedyną drogą do Boga.

27. IX. 1951.

Jest wielka głębia Boża i w niej trzeba być zakorzenionym, nie w sobie, bo my bardzo płytcy jesteśmy. A z tego zakorzenienia w Bogu płynie pokój. Bo jeżeli jesteśmy w ręku Boga, a Bóg jest wszechmocny — to gdzie miejsce na niepokój? Może być żal, cierpienie, ale niepokoju być nie może. A jeśli był grzech i krzywda wyrządzona bliźniemu? — To też tylko żal. Bo czym się niepokoić? I nasze grzechy są objęte ramionami Opatrzności. A nasze życie? Przestańmy myśleć, że mamy dojść do czegoś. Nasze życie nie ma być wiecznym czekaniem, dochodzeniem do celu — nie. Ma być po prostu życiem na codzień w Bogu.

I konieczna jest przede wszystkim wiara. Przez nią mamy się tak ugruntować w Bogu, żeby żyć w każdej chwili dla Niego. I jak przez wiarę zakorzenimy się w Nim, to będziemy mogli Jego nieść, a nie nieść siebie, obnosić swoją świętość po świecie.

*

1960 rok.

Stoimy wobec Boga Najświętszego, który jest z nami. Jest tak blisko, że nawet przedstawić sobie tego nie można. Powiecie może: „Czy to możliwe, że jestem tak blisko Boga? Przecież jestem grzeszny, jestem zły." — Wszyscy jesteśmy źli. Ale właśnie to jest najcudowniejsze, że Bóg w naszych grzesznych sercach mieszka. Brakuje nam żywej wiary i dlatego jest za mało radości w naszym życiu. Musimy się nauczyć więcej się radować z Boga, niż martwić się sobą. Bo naprawdę ważniejsze jest to, że On jest dobry, niż to, że my jesteśmy źli. Być chrześcijaninem, to znaczy prowadzić życie w przyjaźni z Bogiem, być w przymierzu z Bogiem.

Życie chrześcijańskie to jest zatem życie człowieka, który wierzy i kocha. Dlatego też życie religijne jest rzeczą równie dostępną dla człowieka niewykształconego, który czytać i pisać nie umie, ale umie wierzyć i umie kochać, jak dla wielkiego teologa czy uczonego. Bo sama istota życia religijnego, życia chrześcijańskiego jest niesłychanie prosta. Trzeba Bogu uwierzyć i Boga pokochać. W miłości nie chodzi o przeżycie, nie na tym polega istota zjednoczenia z Bogiem. Wielcy święci latami, dziesiątkami lat żyli w jakimś całkowitym odrętwieniu wewnętrznym, oschłości, tylko wolą się trzymali, tym, że chcą. Nie o nasze przeżycie chodzi, tylko o chcenie. Najwspanialsze przeżycie jest niczym w porównaniu z Bożą rzeczywistością, która jest w nas.

Sprawa życia chrześcijańskiego to jest sprawa — jak powiedziałem — bardzo prosta, chodzi o to, żeby człowiek pokochał Boga więcej niż siebie, a innych ludzi jak siebie.

Gdyby pootwierać nasze serca, wszystkich tutaj obecnych na sali, co by Pan Bóg w nich znalazł? Nie trzeba ani siebie ani innych kanonizować. Wszyscy jesteśmy na tych samych warunkach, z tego samego miejsca startujemy, to znaczy z grzechu pierworodnego i z grzechów naszych i idziemy ku Bogu, ku miłości. I to właśnie jest naszym życiem chrześcijańskim. Zjednoczenie woli człowieka z Wolą Bożą to jest właśnie miłość. I w miarę jak wola każdego z nas będzie się pokrywała z tym, co Pan Bóg dla nas chce, miłość będzie coraz pełniejsza, coraz doskonalszą. Póki zwierciadło jest zwrócone do słońca, póty jest jasne, póty ma w sobie światło. Z chwilą kiedy się zwierciadło odwróci, od razu staje się ciemne. I tak samo jest z duszą człowieka. Gdy wola człowieka jest nastawiona na Boga, odbija w sobie światło Boże i Bóg w tej duszy mieszka, jest w niej obecny przez miłość i łaskę uświęcającą.

W ten sposób stopień zjednoczenia naszej woli z Wolą Bożą jest stopniem świętości. Matka Najświętsza, która nie miała żadnego najmniejszego grzechu, żadnej skazy, była tak święta, że była pełna

Boga. I nic Jej Boga nie przesłaniało. Możemy powiedzieć „Zwierciadło Sprawiedliwości" — to znaczy to zwierciadło, które w sobie odbija sprawiedliwość Bożą całkowicie, bez reszty. Zwierciadło tak doskonałe, że już go nie widać, ale tym bardziej jaśnieje to, co się w nim odbija — Bóg.

My nie jesteśmy tacy, jesteśmy grzesznikami. I w tym jest tajemnica dobroci i miłosierdzia Bożego, że przez Krew Pana Jezusa, przez ofiarę Syna Bożego, przygotowuje i oczyszcza nasze serca, żeby także stały się mieszkaniem Boga.

Takie właśnie jest ustawienie wewnętrzne człowieka, który pragnie Boga kochać. Ale człowiek jest strasznie bezradny w swojej słabości. Ciągle się coś dzieje w naszej duszy takiego, że musimy powiedzieć: peccavi, zgrzeszyłem, minąłem się z Wolą mojego Boga. Zrobię postanowienie... No tak, ale tych postanowień już tyleśmy robili, codziennie postanawiamy i codziennie te postanowienia łamiemy. Co zrobić? Jaki dla nas ratunek? Modlić się, prosić. Niech postanowienia będą modlitwą. Pokornie Bogu powiedzieć: „Boże ja chcę, ale jestem słaby. Liczę tylko na Ciebie. Chcę i postanawiam, ale przy Twojej pomocy. Ty musisz tego dokonać". Jeżeli taka modlitwa będzie wytrwała, cierpliwa, przez lata całe — w końcu się słabość człowieka przełamie. Bóg sam w duszy dokona tego, co człowiek postanowił.

Wszyscy jesteśmy w jakimś stopniu nienormalni. Pan Bóg nas takich stworzył i z takich chce mieć świętych.

Nie myśleć o swoich sprawach — bo to nieważne. Ważny jest Bóg i na modlitwie Jemu się przypatrywać i z Nim obcować, a nie ciągle o sobie Mu mówić.

Nie grzebać się w tym, co było. Przeszłość ma być dla nas tylko nauką. Ważne jest TERAZ. Sytuacja każdorazowego „teraz" jest Wolą Bożą. Nawet jeżeli ta sytuacja jest skutkiem naszych grzechów. Bogu nie mogło się nie udać.

Ważna jest chwila i Wola Boża w obecnej chwili. To jest świętość.

Pan Jezus nakazał nam doskonałość, ale nigdzie nie nakazał nam dążyć do doskonałości. Chodzi o to, by nie koncentrować się na sobie, na swojej świętości, ale na Bogu. Bóg jest!

Ważne, że jest świętość, a nieważne, kto jest święty. Zamiast martwić się sobą, cieszmy się świętością Marii.

Świętość to nie spokój i plan, ale miłość i czyn.

Wyjątki z listów do chorych:

Ofiara nie jest celem sama w sobie. Zarówno Chrystus jak i Jego Kościół starają się, gdzie tylko można, nieść ulgę cierpiącym. Nie mniej jednak ofiara przyjęta i Bogu złożona jest jedynym pewnym sprawdzianem i świadectwem miłości. Chorzy, którzy kochają Boga ponad wszystko, mają na dnie duszy bolesne „Bądź Wola Twoja" nawet w najcięższych chwilach, w niekończących się nocach bezsennych, wśród świdrującego bólu, którego nie można znieść bez jęku, wśród trwogi konania. Nawet wtedy, gdy płaczą i narzekają, gdy skarżą się i proszą o skrócenie męki, na dnie duszy są pogodzeni. Tą samą drogą szedł Zbawiciel. Chciał przeżyć smutek śmiertelny, trwogę konania, poczucie straszliwego opuszczenia w męce, skargę żałosną, zeszedł na dno ludzkiej udręki, żeby ofiara była pełna i stała się wyrazem Jego nieskończonej miłości do Ojca. Jeden jęk wydobywający się z ust chorego pogodzony z Wolą Bożą daje większą gwarancję życia w łasce i miłości niż zachwyty i słodycze doznane na modlitwie.

*

Każdy człowiek niezależnie od wieku, zawodu, majątku, wykształcenia i stanu zdrowia musi wykonać jeden najważniejszy czyn, a mianowicie musi przeżyć dzień. To samo dzieło musi wykonać minister jadący rano do swego urzędu i robotnik idący drogą.

To samo zadanie stoi przed lekkoatletą ćwiczącym rzut dyskiem i przed chorym, któremu siostra szpitalna wsuwa rano termometr pod pachę. Wyjść naprzeciwko nadchodzącego dnia, wynurzającego się z tajemnicy niebytu i ciemności, przyjąć go z ręki Stwórcy. Ten dzień z wdzięcznością przeżyć, kładąc na nim znaki miłości i ofiary, aby znów oddać Bogu, w którego ręku leży tajemnica całej przyszłości, to największy czyn człowieka.

Przyjąć tę rzeczywistość, która nadchodzi z poddaniem i wdzięcznością z ręki Stwórcy i Ojca, to jest miłość Boga ponad wszystko i ponad siebie....

ZDARZENIA – KSIĄŻKI – LUDZIE

JAK TO WIDZIMY?

RUBRYKA MŁODYCH

W czasie rekolekcji wielkanocnych w jednym z kościołów warszawskich rekolektanci obrali za temat wspólnych przemyśleń sprawę ubóstwa. Jak w tej dziedzinie realizować maksymalizm, o którym tak często mowa w Ewangelii?

Zespół dyskutujący stanowiła grupa młodych po studiach. Zaczynali pracę, planowali organizację własnego domu. Nurtowały pytania — czy mam prawo urządzać własny pokój, w którym będzie radio, książki i płyty, a w oknach kolorowe cepeliowskie zasłony? Tylu ludzi w najbliższym kręgu zaspokaja z trudem elementarne potrzeby, a istnieje jeszcze krąg dalszy, który można stale rozszerzać, obejmując narody, gdzie ludzie giną z głodu...

Każda z osób dyskutujących inaczej rozumiała swój obowiązek dzielenia się z innymi, swoje prawo do gromadzenia sobie „skarbów ziemi", czyniąc sobie ziemię poddaną.

W Ewangelii obok zakazu gromadzenia dóbr podany został równocześnie nakaz pozytywny: „Nie gromadźcie sobie skarbów na ziemi, gdzie mól i rdza niszczą i gdzie złodzieje włamują się i kradną" — ale „gromadźcie sobie skarby w niebie, gdzie mól ani rdza nie niszczą i gdzie złodzieje nie włamują się i nie kradną. Bo gdzie skarb twój, tam i serce twoje". (Mt 6 19—22)

To co posiadamy i posiadać będziemy, ma nam służyć, ma czynić nas pełniejszymi i wolnymi. Stanowi tylko narzędzie naszego rozwoju.

b. d.

*

Obrady soborowe, choć toczyły się w Rzymie, były dokonywaniem przemyśleń nad sprawami przeżywanymi w całym Kościele. Nie tylko doświadczenie osobiste biskupów reprezentujących wszystkie regiony świata, ale także memoriały i uwagi nadsyłane do Rzymu stanowiły ważny akompaniament dyskusji w auli. Pozwalały one czasem aż w sposób wyraźny zrozumieć i dojrzeć to, co dotychczas dla wielu wydawało się „wymysłem zawsze niezadowolonych".

W liście wysłanym z Nazaretu pod datą 1 maja 1965 roku pisał

o. Paweł Gauthier do biskupów katolickich o Jezusie Chrystusie, o Kościele i o ubogich.

Tego dnia w kościele zwanym „warsztatem św. Józefa" w Nazaret odprawiana była Msza św. przeznaczona na święto św. Józefa robotnika. Uczestniczyła w niej nieliczna garstka wiernych, kilku zaledwie robotników. Tuż obok kościoła znajduje się źródło, z którego wedle tradycji Maria czerpała wodę i w dzbanie trzymanym wschodnim obyczajem na głowie nosiła do odległego o kilkaset metrów domu. Z tego właśnie miejsca o godzinie 9,30 ruszyła defilada przybranych w czerwień komunistów: mężczyzn, kobiet, dzieci. Nieśli czerwone sztandary i transparenty głoszące sprawiedliwość i pokój dla ludzi. Przemaszerowali wokół całego starego Nazaret — tego, gdzie Jezus, Zbawiciel Świata, Mesjasz Ubogich, pracował przez kilkanaście lat jako syn cieśli i sam — rzemieślnik. Pochód rozpoczął się i zakończył się przy źródle Marii — żony robotnika i matki Robotnika.

Ci komuniści — pisze o. Gauthier — są w ogromnej większości ortodoksyjnymi chrześcijanami. Ale ci ludzie nie są w Kościele, oni krążą wokół niego. I jakoś trudno im uwierzyć, że jest on nie tylko domem Józefa — cieśli, i Jezusa — rzemieślnika z Nazaretu, ale i ich domem. Trudno im przede wszystkim uwierzyć w to, że ci, którzy tego Jezusa reprezentują, są naprawdę ich braćmi i sprzymierzeńcami. Że Kościół jest przede wszystkim ich domem, domem ubogich.

W *Rozważaniach o ubóstwie* pisała kiedyś Bortnowska, że między ubóstwem a poszukiwaniem Królestwa Chrystusowego jest bardzo ścisły związek, że istnieje przeciwieństwo między przyłączeniem się do Chrystusa a przywiązaniem do posiadania. Nie chodzi tylko o posiadanie materialne. Czy można nazwać ubogim tego, kto zamknął się w swoim małym kręgu spraw i nie dostrzega problemów drugiego człowieka, kto nie odczuwa braku, który może być zaspokojony tylko przez kontakt z drugim człowiekiem, poprzez pomoc udzieloną drugiemu?

Ubóstwo chrześcijańskie nie opiera się na wyzbywaniu się pieniędzy, na niechlujnym stroju (po którym niestety tak często można odróżnić tak wiele „pobożnych dusz"). Czy nie wyraża ono po prostu potrzeby uzupełnienia człowieka przez człowieka, przez wychylenie ku człowiekowi, przez ducha wspólnoty — konkretnej wspólnoty rodzinnej, kręgu pracy, grona przyjaciół.

Ludzie krążący wokół Kościoła. Są niedaleko, walczą o słuszną sprawę, o sprawę istotną także w wymiarach widzenia Kościoła — a przecież są z zewnątrz. Nie wchodzą do środka. Wydaje im się, że nie ma tam miejsca dla ich spraw. Więc nawet jeśli przychodzą, to zostawiają na progu te wszystkie swoje problemy.

Jak wyjść z zaklętego koła? Jak przeniknąć barierę nieporozumień? Jak dostosować do naszych warunków to, co było praktyką dnia codziennego gminy jerozolimskiej w czasach apostolskich: „A wszyscy,

którzy wierzyli, byli razem i mieli wszystko wspólne. Sprzedawali też majętności i dobytek i obdzielali nimi wszystkich, według tego, ile kto potrzebował. Codziennie także przebywali pospołu w świątyni, po domach zaś łamiąc chleb pożywali pokarmy z weselem i prostotą serca, chwaląc Boga i zyskując łaskę u całego ludu" (Dz. Ap. 2, 44—47).

a. k.

*

Ubodzy duchem — kogo dotyczy to błogosławieństwo? Poza wykrętnymi interpretacjami obejmującymi ludzi dobrze uposażonych materialnie, byleby „nie przywiązywali się do dóbr tego świata", można znaleźć inne rozumienie tegoż błogosławieństwa — może bardziej zgodne z duchem całej Ewangelii. „Uczcie się ode mnie, żem jest cichy i pokornego serca..." Jest to błogosławieństwo ludzi cichych. A pokorni?

Ubóstwo duchowe niekoniecznie ma oznaczać infantylizm lub niedorozwój umysłowy. Raczej — jeśli spojrzymy na tę rzecz w aspekcie odczuwania swoich ograniczeń — ubóstwo duchowe jest wprost proporcjonalne do genialności. To ludzie o najszerszych horyzontach myślowych i najgorętszym sercu najboleśniej obijają się o ograniczenia natury ludzkiej. To oni najmocniej przeżywają konieczność odrzucania stu możliwości nie mieszczących się w granicach jednego życia. To im dokucza najbardziej nieubłagana wymierność czasu teraźniejszego. To są najwięksi buntownicy — ludzie nie mieszczący się w ludzkiej skórze. Jeśli któryś z nich przyjmie dobrowolnie granice swoich możliwości, jeśli uzna determinizmy sytuacji istot cielesnych — kruchych, zniszczalnych i jeśli potrafi w tych kategoriach dojrzeć wartość egzystencji ludzkiej — jest na drodze do obietnicy: „... a znajdziecie odpocznienie duszom waszym". Pokora jest akceptacją prawdy, prawdy o własnym ubóstwie.

i. s.

*

Na jesieni ubiegłego roku prasa doniosła o zagrażającej szeregowi stanów Indii klęsce głodu. Wiadomość ta wzbudziła w Polsce, podobnie jak i w innych krajach, współczucie i zaniepokojenie. Wiadomo bowiem, że i tak w „normalnych" latach w Indii miliony ludzi są niedożywione. Nic dziwnego, że wkrótce pośpieszyły z obietnicą pomocy wyspecjalizowane agendy ONZ, jak FAO czy UNICEF. Związek Radziecki zaofe-rował na dogodnych warunkach dostawy zboża, a Stany Zjednoczone pod naciskiem opinii publicznej ogłosiły, że wznowią eksport nadwyżek rolnych do Indii, wstrzymany przed kilku miesiącami w wyniku niezadowolenia z linii politycznej rządu indyjskiego.

O sytuacji w Indiach informowała nasza prasa na podstawie doniesień innych agencji, a także w reportażach własnych korespondentów.

I tak np. korespondent „Życia Warszawy" opisał swój pobyt we wsi położonej w jednym ze stanów zagrożonych głodem. Nastrój ludności polepszył się tam znacznie po nadejściu transportów zboża w ramach pomocy rządu centralnego. Rozdziałem zboża wśród mieszkańców wsi zajmował się miejscowy nauczyciel. Dziennikarz goszczący u niego stwierdził, iż blisko połowa zmagazynowanych zapasów została zniszczona przez szczury. Okazało się, że nie było to żadnym niedopatrzeniem, lecz nauczyciel ten, podobnie jak reszta ludności uważał, że szczury jako żywe stworzenia też muszą żyć.

Wydaje się, że korespondencja ta wywołała wśród większości czytelników reakcję typu: „po co pomagać komuś, kto sam sobie pomóc nie potrafi". Słyszałem np. uwagi: „należałoby ich nauczyć, jak rządzić społeczeństwem, ... czy oni dorośli do niepodległości, przecież to prymityw..., po co oni się tak mnożą, powinno się tam wprowadzić sterylizację ojców rodzin mających ponad troje dzieci..."

Wątpię, by ktoś mógł przypisać autorowi korespondencji chęć wywołania takich właśnie reakcji. Czy to oznacza, że informacje tego rodzaju wcale nie powinny się ukazywać? A może przeciwnie, jest ich za mało? Kiedyż wreszcie myśląc o Indiach, czy też o innym mniej lub bardziej odległym kraju, nauczymy się pamiętać o różnicach między kulturą, w której narody te wyrosły, a kulturą naszą, europejską czy nawet ściślej — polską. Jak łatwo nam przychodzi kwestionowanie, czy wręcz odrzucanie dorobku obcych kultur, jak dalekie wnioski potrafimy z tych ocen wyciągać...

Jeśli pewne pojęcia, wierzenia czy obyczaje są według nas niesłuszne, a nawet wręcz społecznie szkodliwe, powinny zniknąć lub przeobrazić się pod wływem przenikania się kultur, co na przestrzeni dziejów wielokrotnie zdarzało się, a dziś jest procesem o zasięgu światowym. Tymczasem obowiązuje nas normalna, ludzka solidarność i wszelkie odżegnywanie się od niej będzie tylko objawem braku tolerancji. Tak jak zapowiadane w ubiegłym roku przez USA wstrzymanie eksportu nadwyżek rolnych miało oznaczać niezadowolenie z linii politycznej rządu Indii, tak nasza obojętność będzie oznaczać niezadowolenie z istnienia obyczajów i wierzeń, których nie próbowaliśmy nawet zrozumieć.

m. k.

*

Z listu księdza Adama Wiśniewskiego, dyrektora St. Martha Hospital w Bangalore i inicjatora akcji wysyłania paczek żywnościowych dla głodujących w Indiach: „...pragnę podziękować Wam za dary Waszych rąk i Waszych serc — paczki, których dotychczas otrzymaliśmy około siedmiu i pół tysiąca, co stanowi około 75 ton różnej żywności. Często

spotykamy się z podziwem i wyrazami wdzięczności dla wielkiej ofiarności polskiego społeczeństwa.

Nauczeni doświadczeniem, zdecydowaliśmy scentralizować odbiór paczek do znanego Wam już Bangalore. Tu żywność będzie wysortowana i następnie w określonych ilościach jako ryż, cukier, mąka, kasza itd. będzie dostarczana do miejsc przeznaczenia. Praktyczne dla transportu i dla rozdziału okazują się paczki zawierające tylko jeden artykuł żywnościowy. W Bangalore zorganizowaliśmy zespół ludzi, którzy piorą płótno, szyją z niego bandaże, okrycia dla trędowatych dzieci, dorosłych i biednych.

Otrzymane z Polski okrycia, bielizna ciepła i letnia dla dzieci i dorosłych, jak również i lekarstwa — rozprowadziliśmy w niewielu dniach i mamy dalsze zapotrzebowanie. Pragniemy jednak zaznaczyć, że tylko używana odzież i bielizna nie podlegają ocleniu w Indiach. Dlatego — gdy wolno — prosimy o używaną, ale jeszcze w dobrym stanie odzież i bieliznę. Do paczek żywnościowych, z odzieżą i z lekami prosimy dołączyć po dwa zeszyty, dwa ołówki zwykłe i dwie gumki do wycierania pisma..."

*

W środę 10 sierpnia 1966 roku na ogólnej audiencji w letniej rezydencji papieskiej w Castel Gandolfo zgromadziło się przeszło dziesięć tysięcy pielgrzymów, przybyłych z Belgii, Brazylii, Wielkiej Brytanii, Francji, Hiszpanii, Holandii, Irlandii, Japonii, Kanady, Libanu, Malty, Niemiec Zachodnich i USA.

Duża sala audiencjonalna wszystkich nie zmieściła, pielgrzymi zajęli pałacowy dziedziniec i zewnętrzny plac przed pałacem. Witając obecnych papież zwracał się do nich kolejno w językach francuskim, angielskim, niemieckim i hiszpańskim, wymieniając przy tym poszczególne grupy pielgrzymów. Entuzjazm był ogromny, okrzyki i śpiewy na cześć Ojca świętego były serdeczne i żywiołowe.

Gdy ustały już okrzyki i oklaski, Paweł VI usiadł na tronie i — chociaż wyraźnie był również przejęty tym entuzjazmem wiary — z głęboką zadumą w oczach wygłosił po włosku następującą egzortę:

„Gdy widzimy siebie otoczonego jak w tej chwili przez tyle nieznajomych twarzy, gdy pomyślimy, że wielu z tu obecnych spotykamy po raz pierwszy, oni zaś z tej centralnej stolicy Kościoła zapamiętają może jedynie scenę tej audiencji; gdy przypomnimy sobie, jak łatwo dla zwiedzającego przechodnia, śpieszącego się turysty lub powierzchownego obserwatora, osądzić na podstawie niezwykłych szczegółów, często mało znaczących, cały świat kościelny, jego historię, posłannictwo, obyczajowość i religijność — wtedy powstaje w duszy naszej wątpliwość: czy wrażenie, jakie to spotkanie pozostawi w sercach na-

szych odwiedzających, będzie rzeczywiście dobre, budujące i szczęśliwe? Jaki obraz, jakie pojęcie o Kościele i papieżu pozostanie w nich związane ze wspomnieniem tej chwili? Jaki będzie ich sąd i jaka postawa duchowa albo też praktyczna — w stosunku do katolickiego Rzymu?

Gdy z kolei pomyślimy, że obraz historyczny, oblicze ludzkie i zewnętrzne Kościoła rzymskiego pozwalają na oglądanie tylu braków, niedorzeczności i słabości — wtedy zapytujemy siebie, czy w wyniku tego spotkania wzrośnie czy raczej zmniejszy się u obecnych ich szacunek i sympatia dla Kościoła? Czy zostanie utwierdzona czy też osłabnie ich wiara? Gdy wreszcie uprzytomnimy sobie liczne krytyki, podejrzenia i uprzedzenia, jakie nowoczesna mentalność, nie wykluczając często ludzi mądrych i dobrych, żywi dla naszego urzędu apostolskiego i dla Kościoła, wtedy jeszcze raz pytamy siebie, czy nasze przyjęcie, tak proste i krótkie, nie wzbudzi u obecnych, zamiast sympatii i przywiązania, uczuć nieprzychylności i znudzenia?

Prawda, synowie ukochani, wasze okrzyki i inne oznaki pobożności i miłości, z jakimi występujecie, zapewniają nas o dobroci waszych intencji i o wierności waszych serc. Jednak nie chcemy zaniechać rozumowania, jakie tu zaczęliśmy snuć — mianowicie przypuszczenia, że wasze wrażenie z tej audiencji, jako jedno z doświadczeń o życiu Kościoła, może być negatywne. Czyż nie może się zdarzyć, że wszyscy tu obecni odniosą ujemne wrażenie o Kościele?

Cóż przeto wam powiemy? W czasie niektórych poprzednich audiencji robiliśmy przegląd wspaniałych przymiotów, jakie charakteryzują Kościół: Królestwo Boże, Dom Boży, Państwo Boże, owczarnia i trzoda Chrystusa, Oblubienica Chrystusowa. Podobnie wymieniliśmy niektóre aspekty działalności Kościoła: Kościół modlący się, Kościół misyjny i walczący, Kościół biedny i cierpiący — i tak dalej.

Dziś chcemy wam powiedzieć, że istnieje jeszcze inny aspekt Kościoła na tym świecie: aspekt Kościoła pokornego, Kościoła, który poznaje własne granice ludzkie i własne upadki, własną potrzebę miłosierdzia Bożego i przebaczenia ludzkiego. Tak, istnieje także Kościół pokutujący, który głosi i praktykuje pokutę, który nie ukrywa własnej niedoskonałości, lecz ją opłakuje, który chętnie łączy się z grzeszną ludzkością, aby z poznania ogólnej nędzy wydobyć silniejszy żal za grzechy, serdeczniejsze wołanie o boską litość i pokorniejszą ufność w oczekiwane zbawienie.

Kościół jest pokorny nie tylko w łonie wiernego ludu, lecz także gdzie indziej, przede wszystkim zaś na najwyższych szczytach hierarchii, która w sprawowaniu swej władzy nad Ludem Bożym jest świadoma swego obowiązku współpracy przez budowanie i przez służbę ludziom. I to aż do pierwszego stopnia, do następcy świętego Piotra, który określił siebie jako sługę sług Bożych, który czuje bardziej niż ktokolwiek inny dysproporcję między misją otrzymaną od Chrystusa, a własną słabością

i niegodnością, pomnąc zawsze na okrzyk Apostoła rybaka: „Odejdź ode mnie Panie, bom jest człowiek grzeszny" (Łk 5, 8).

Stąd jakże nadzwyczajny i zadziwiający przedstawia się nam jednocześnie fakt świętości i niewzruszalności Kościoła oraz obecność w nim Chrystusa — nawet wtedy, gdy ludzie służący Kościołowi zawodzą. Kościół Piotra cieszy się opieką Chrystusa i pomocą Ducha Świętego, który nie zezwoli na przewagę zła (Mt 16, 18). I również fakt, że cały Kościół nie przestaje być miłowany przez Chrystusa nawet w chwilach największej swojej ułomności ludzkiej. I wreszcie fakt, że Kościół w wykonywaniu swych funkcji pasterskich posiada świętość sprawczą, zawsze gotową do uświęcenia i zbawienia swoich członków, „dla budowania Ciała Chrystusowego" (Ef 4, 12).

Te refleksje, które w końcu doprowadziłyby do szczegółowego studium o działaniu Chrystusa w swoim Kościele, skłaniają nas do udzielenia wam dwóch zaleceń. Starajcie się dobrze poznać Kościół, poznać go lepiej — oto pierwsze zalecenie. Nie zadowalajcie się pierwszym, powierzchownym wrażeniem, nie osądzajcie Kościoła tylko z jego twarzy ludzkiej i z szaty zewnętrznej jaką przywdziewa, poznawajcie go w rozmaitości, bogactwie i w głębokości jego wielorakich aspektów, w ludzkiej i boskiej tajemnicy jego bytu wewnętrznego, w świętości i w konieczności jego posłannictwa dla zbawienia świata.

Wreszcie na drugim miejscu: braki i zło w Kościele — jeżeli takowe spotkacie — niech was nie gaszą, ale niech silniej zapalą waszą miłość do Kościoła. Powtórzymy słowa Chrystusa: „Błogosławiony, który nie zgorszy się ze mnie" (Mt 11, 6) i który odda Kościołowi wierność, świadczenia i usługi tym większe, im większe są potrzeby, jakie Kościół okazuje". * *a. p.*

*

Z kroniki religijnej za 25 lat: W „Tygodniku Powszechnym" z 28 lutego 1992 roku czytamy:

„Książka znakomitego teologa Baukubaki z Instytutu Teologicznego w Nairobi (Uganda) pt. „Kościół nieprzezwyciężonych stereotypów" — po fali protestów i oburzenia w kołach „katolickiego ruchu obrony tradycji" — zaczyna spełniać funkcję miernika wskazującego, jak dalece różne ugrupowania chrześcijan — parafie, zgromadzenia zakonne i organizacje świeckich — zdolne są do realizowania w praktyce zasad Królestwa Bożego na ziemi.

Przypominamy tu główne tezy książki Baukubaki. Kościół ubogich jest jego zdaniem jedyną możliwą formą autentycznego chrześcijaństwa, ale Kościół ubogich nie powinien i nie może być w rzeczywistości po-

---

* Przekład ks. prof. Aleksego Petraniego.

siadaczem bogactw materialnych, których nikt nie ma prawa naruszyć nawet w obliczu klęsk żywiołowych, czy klęski głodu. Dotyczy to przede wszystkim nagromadzonych przez wieki różnego typu drogocennych naczyń, szat, czy wotów, które na ogół nie są używane lub też mogą być z powodzeniem zastąpione przez zwyczajne naczynia i szaty. Autor analizuje, w jaki sposób pojęcie ofiary składanej Bogu straciło powoli swój charakter duchowy i powróciło do form przedchrześcijańskich, jak potem — już w okresie średniowiecza na skutek walki papieży o świecką władzę doszło do sakralizacji, a co za tym idzie i do nienaruszalności własności należącej do kleru i zakonów. Stopniowo zaczęło się formować pojęcie Boga — surowego właściciela składanych mu darów tak, jak gdyby Bóg stawiał wyżej nienaruszalność własnego depozytu od najoczywistszych potrzeb ludzi biednych. Baukubaki wskazał na konsekwencje takiego postawienia sprawy, udaremniające wiarę w duchowy charakter „bogactw" Kościoła i „duchową" hierarchię wartości.

Po dwóch latach dyskusji nad tą książką w kilku diecezjach francuskich, niemieckich i włoskich powstały ugrupowania, których celem jest zorientowanie się w zasobach kościołów „bogatych" i w różnych związanych z tym formach pomocy międzydiecezjalnych różnych krajów. W Polsce — 17 stycznia br. odbyła się narada przedstawicieli Episkopatu ze świeckimi przedstawicielami rad diecezjalnych. Postulowano stworzenie specjalnej komisji oceniającej napływające dary. Chodzi o zachowanie od zniszczenia prawdziwych arcydzieł sztuki sakralnej."

i. s.

PYTANIA

DAR JĘZYKÓW

1

Mimo usiłowań, by ożywić na łamach prasy katolickiej spór o katolicką literaturę (Włodzimierz Wnuk w „Kierunkach") nie widać oznak zainteresowania tym problemem. Osobiście sądzę, że jest to nawoływanie bez teraźniejszości i przyszłości. W każdym razie najbliższej. Nastąpiły jakieś zmiany, które uniemożliwiają obecnie dysputy na ten temat. Ich przedmiot wydaje się nieistotny, pozbawiony racji. Z terminem „powieść katolicka", „pisarz katolicki" utożsamia się przynależność ideologiczną, a nie artystyczną. Tymczasem to, co w religii pociąga wielu pisarzy (i częstokroć olśniewa), należy do innego porządku świata niż ten zorganizowany, ujęty w formuły. Z tęsknotą religijną, lub czcią dla świętości w zdesakralizowanym świecie spotkać się możemy poza krę-

giem kulturowym bezpośrednio związanym ze wspólnotą kościelną. Sztuka rodzi się w momentach i miejscach nie do przewidzenia. Tym bardziej trzeba pamiętać o tym dzisiaj, gdy potrzeba sztuki w pragmatycznych czasach nie jest odczuwana w tak oczywisty sposób jak dawniej. W wieku naukowej organizacji życia i techniki, przyzwyczajającej umysły do myślenia produktywnego, sztuka ze swymi nie dającymi się ani zorganizować, ani obliczyć przyczynami i skutkami jawi się jako element „anarchii" wewnętrznej. Jej bezustanny niepokój, niezaspokojone pragnienia, wrodzony nonkonformizm i chęć nieobliczalnego wybiegania ku przyszłości, by zaspokoić głód piękna i wiedzy o tajemnicach istnienia, nie da się podporządkować tak powierzchownym kwalifikacjom jak „katolicki", „niekatolicki". Był czas spontanicznej rehabilitacji katolickiej tematyki w literaturze. Zbiegł się on z okresem narastania reformistycznego ruchu w łonie Kościoła. Odrodzenie teologiczne i filozoficzne szło w parze z nawiązywaniem do tradycji wielkiej inspiracji chrześcijaństwa w sztuce. Powstała nowa architektura sakralna, nowe malarstwo i rzeźba, pojawił się nurt tzw. katolickiej literatury. Jego cechą szczególną i wyróżniającą było odkrywanie odwiecznego dramatu człowieka religijnego w nowym świecie, zdesakralizowanym, pochłoniętym samym sobą, na ziemi jałowej Eliota i pustyni Bernanosa. Bohater wielu tego rodzaju powieści był księdzem, człowiekiem oddanym całym sobą Niewidzialnemu, którego plany są trudne do odczytania. *Moc i chwała* Grahama Greena, *Pamiętnik wiejskiego proboszcza*, Bernanosa, *Chwała córy królewskiej* Marshalla, to przykłady takich utworów. Szukano człowieczeństwa w kostniejącej doktrynie, odkrywano personalizm przeciwstawiając się uniformizmowi Kościoła, otwierano to co zamknięte. Chociaż proces ten nie jest jeszcze zakończony w samym Kościele, i nie wiadomo zresztą, czy kiedykolwiek się skończy, to jednak to, co miało być powiedziane w tzw. „literaturze katolickiej" zostało już wypowiedziane. Mamy poza sobą odkrywanie Scobiego, który zdewaluował pouczające książeczki o lakierowanych wiernych, i Nikodema, szukającego ewangelicznej wiary intelektualisty-faryzeusza. Znajdujemy się już gdzie indziej. Gdzie? Oto pytanie, na które nie podejmuję się dać odpowiedzi. Warto jednak jej szukać oglądając się nie wstecz, lecz dookoła.

2

Pomocą do rozmyślań nad „literaturą katolicką" może być m. in. lektura Antologii polskiej modlitwy poetyckiej pt. *Z głębokości*, wydanej przez Instytut Wydawniczy Pax. Pochwały załatwmy jednym zdaniem — jest to publikacja wspaniała, owoc wielkiej i trudnej pracy poświęconej nie tylko ludziom. Andrzej Jastrzębski i Antoni Podsiad zebrali poezję modlitewną od czasów *Bogurodzicy* do dzisiaj, zrobili

z niej wybór, opatrzyli komentarzami, wstępem, bibliografią, przypisami, czyli całym aparatem filologicznym, który w dziełach fundamentalnych znajdować się powinien. Tematem niniejszej refleksji nie jest jednak sposób, w jaki opracowano antologię, lecz obraz, który z niej powstaje. Jeśli chodzi o przeszłość obraz ów prezentuje się ciekawie. Gdy jednak przeszedłszy przez historyczne części antologii poetyckiej modlitwy docieramy do czasów nam współczesnych coraz wyraźniej odczuwać poczynamy różnice w sile wyrazu i ciężarze gatunkowym wierszy. Jeszcze utwory z okresu wojennego posiadają intensywność liryczną, są przejmującymi świadectwami przeżyć religijnych autorów (Baczyński, Gajcy). Potem coś się załamuje. Publikowane teksty powojenne nie wnoszą wiele nowego tak w sensie artystycznym, jak i innym. Są poprawne, niekiedy oryginalne — nic poza tym. Zapoznając się z poezją modlitewną wcześniejszych okresów historycznych (bo teksty ułożono chronologicznie) wiemy jak modlili się ówcześni ludzie nie tylko w literaturze. Utworom współczesnym brak jest podobnych, organicznych związków ze swoim czasem. Jeżeli nawet one istnieją, nie sposób ich odtworzyć na podstawie antologii. Nie należy jednak za to winić jej autorów. Taka jest po prostu sytuacja w literaturze. Brandstaetter i ks. Twardowski, mimo urody swych wierszy, nie są odstępstwem od reguły. Sytuacja współczesnego człowieka, jego stosunek do świętych tajemnic życia jest bardziej dramatyczny niż te wiersze. Do paradoksalnych zjawisk zaliczyłbym modlitewny fragment *Paryskich rekolekcji* K. I. Gałczyńskiego, który posiada walor powszechności, tak dużo ludzi zna go na pamięć i cytuje przy rozmaitych okazjach. Widocznie lepiej odzwierciedla on ich wewnętrzną sytuację od innych, mniej „świeckich" poematów.

3

Czasem człowiekowi się zdaje, że żyje w takich czasach, w których wszystkie poprzednie czasy są obecne. Myślę o sztuce. Interesujący się nią człowiek, ma możność przy pomocy doskonałych reprodukcji uzupełniać swą wyobraźnię estetyczną zarówno rysunkami ludzi pierwotnych, jak totemami afrykańskich plemion, pompejańskimi freskami i abstrakcją Klee. Antologie poezji tłumaczonej dziś zmodernizowanym językiem i tak dobieranej, by ożyła ona literacko, a nie profesorsko-filologicznie, również czas przeszły zmieniają na teraźniejszy. Powołajmy się na najbliższy chociażby przykład tłumaczenia Starego Testamentu przez tynieckich Benedyktynów, które otwarło dostęp do niezbyt rozumianych ze względu na archaizmy ksiąg po części i poetyckich. Albo pierwszy tom *Antologii poezji francuskiej* w tłumaczeniu Jerzego Ficowskiego, to też jeden z przykładów, jak praca współczesnego tłumacza odmienia perspektywę patrzenia na przeszłość. Zresztą i wiele innych

czynników wpływa dziś na poszerzenie naszej świadomości kulturowej poza krąg i własnego czasu i naszej cywilizacji nawet. Mówi się o tym, że stajemy się dziś coraz bardziej na skutek rozwoju środków informacji obywatelami świata, a nie tylko własnego narodu. Stajemy się również członkami wspólnej historii. Uświadamiamy sobie tę przynależność także dzięki sztuce, będącej językiem porozumienia nie tylko na odległość, w przestrzeni, ale i w czasie. To pomieszanie się perspektyw zauważyć można również i w świadomości współczesnych chrześcijan. Ich Kościoły, wśród nich Kościół katolicki, jest depozytariuszem sztuki tylu epok, ile ich przeżył pielgrzymując przez historię. Od tysięcy lat śpiewane są w nim te same psalmy. Ciekawe jak brzmią one w świątyniach wzniesionych przez awangardowych architektów naszej doby? Związki Kościoła ze sztuką są jednak inne niż w wypadku instytucji świeckich. To co jest jego istotą, zrozumiałą jedynie dla wiernych, należy do porządku istnienia przerastającego wszystkie okazjonalne formy najwyższego nawet piękna. I w tym tkwi tajemnica oddziaływania na kolejne pokolenia zafascynowanych ciągłym nienasyceniem Kościoła artystów. Jeżeli tak się zdarzy, że dostaną się oni w orbitę odddziaływania wewnętrznego chrześcijaństwa, stają w obliczu zadania równie pociągającego, jak i niemożliwego do spełnienia. Polega ono na przekraczaniu granic tego co poznawalne i widzialne. Dziś częściej się zdarza, że pisarze wolą milczeć, niż mówić na ten temat. Może dlatego, że lepiej zdają sobie sprawę z ograniczoności sztuki, czego nauczyli się spoglądając wstecz na tyle wspaniałych, ale zawsze nieudanych prób. Wzbogacona przez historyczną świadomość wyobraźnia jest ciężarem trudnym do udźwignięcia.

Marek Skwarnicki

SOMMAIRE

TREŚĆ ZESZYTU

ZDARZENIA — KSIĄŻKI — LUDZIE

Cena zł 12.—

ZNAK

MIESIĘCZNIK